



KATARZYNA MARCISZEWSKA



**WIEDŹMI
HIMMLERA**

NOVAE RES

KATARZYNA MARCISZEWSKA

**WIEDŹMIY
HIMMLERA**



NOVAE RES

Dla Dziadka, Mamy i Roberta

26 lutego 1924, wtorek,
Landshut (Niemcy)

Paula Stölzle. Nieszczęsna Paula. Kiedyś ją lubił i szanował, a teraz myślał o niej z największym obrzydzeniem. Jakże daleko jej do jego wyśnionego ideału kobiety. Można rzec, że nawet nie padł na nią cień tego wzorca. Zachodził w głowę, co jego ukochany brat w niej widzi. Czy przez ostatnie trzy lata oślepl całkowicie i zmysły postradał? Już zeszłoroczny incydent z balu karnawałowego, kiedy pozwoliła sobie na flirt z innym mężczyzną, powinien dać Gebhardowi do myślenia. Tymczasem starszy brat poprosił go tylko o pośrednictwo w godzeniu się z Paulą. Wówczas on, Heinrich, dostrzegł swoją szansę. Szansę wybicia z głowy Gebhardowi tej niecnej kobiety. Napisał do niej przydługi list. Przypomnił sobie jeden z jego kluczowych fragmentów, ten, z którego był szczególnie dumny:

Mężczyzna musi być pewien, że jego narzeczona jest mu wierna każdym swoim słowem, spojrzeniem, dotknięciem i myślą, nawet jeżeli spędza całe lata daleko od niej i nigdy się ze sobą nie widują, a często nie mają wieści od siebie przez dłuższy czas, kiedy na przykład trwa wojna. Paulo, jeżeli chcesz, żeby twoje ewentualne małżeństwo z Gebhardem było szczęśliwe, musisz narzucić sobie moralną dyscyplinę. Mój brat był za dobry dla Ciebie i wiedział zbyt mało o naturze ludzkiej. Ktoś musi mu otworzyć oczy. I tą osobą będą ja.

Przypomnił sobie jej impertynencką odpowiedź. Tak jak się spodziewał, nic do niej nie dotarło. Wręcz przeciwnie, odpisała w sposób obraźliwy, dając Heinrichowi do zrozumienia, żeby pilnował swojego nosa. Kilka tygodni później jego nieszczęsny brat pogodził się z nią. Przez kolejne miesiące ta wiedźma triumfowała z uśmiechem na ustach, ale do czasu. Parę dni temu sąsiadka Stölzłów, a daleka krewna ich rodziny, opowiedziała Heinrichowi o zbyt częstych odwiedzinach przyjaciela z dzieciństwa Pauli, również pod nieobecność jej rodziców! Dla Heinricha to był wystarczający dowód na frywolność niedoszłej bratowej. Opowiedział o wszystkim ojcu, dodając od siebie nieco więcej pikantnych szczegółów, aby historia zrobiła na nim odpowiednie wrażenie. Następnie Heinrich zasugerował jedyne słuszne rozwiązanie. Gebhard powinien niezwłocznie zerwać z Paulą. Ojciec oznajmił mu, że musi sprawę dogłębnie przemyśleć. Szanował rodzinę Stölzłów i obawiał się pogorszenia wzajemnych relacji, a co za tym idzie zerwania wspólnych interesów. Jednakże dobro pierworodnego syna również miał na względzie...

Ktoś zapukał do drzwi pokoju Heinricha. To musiał być ojciec. Syn zaprosił go do środka. Ojciec bez słowa przywitania usiadł ciężko na antycznym, skrzypiącym krześle.

– Heini! – Jego syn wzdrygnął się na to zdrobnienie. Nie cierpiał, kiedy ojciec go tak nazywał. – Przemyślałem sobie wszystko, o czym mi opowiedziałeś. Jednak na moją decyzję ostatecznie wpłynęły poczynione przeze mnie obserwacje.

Jakżeby mogło być inaczej. Ojciec nie mógł mi tak po prostu przyznać racji – pomyślał gorzko Heinrich.

– Bardzo szanuję rodzinę Stölzłów. Ewentualne małżeństwo Gebharda z Paulą dodałoby blasku naszej rodzinie. Ale nie wszystko jest na sprzedaż. Jakkolwiek uważam, że Paula ma wiele zalet. Jest bystra, świadoma swojej wartości, wie, czego chce i dąży do tego. Ale czy taka żona byłaby idealna dla Gebharda? Szczerze wątpię. On nie potrzebuje kobiety-żołnierza, ale oddanej mu małżonki, która odpowiednio zadba o niego i ich wspólne potomstwo. Co więcej, po tych rewelacjach, z którymi mieliśmy do czynienia w ostatnim roku, oraz poczynionych obserwacjach, jaką kobietą jest Paula, uważam, że lepiej się stanie, jeżeli Gebhard z nią zerwie.

– Słuszna decyzja, ojciec – wydusił z siebie Heinrich, starając się jak najskrzętniej ukryć swoją radość.

– Nie rozumiem jednak tej twojej niechęci do Pauli. Skąd tyle jej w tobie? – drażył temat ojciec.

– Znikąd. Pragnę tylko dobra mojego brata.

– Trochę martwi mnie to, że zamiast zająć się swoim życiem...

– Ojczy! – wybuchnął Heinrich. Znowu to samo. To, że sam nie miał narzeczonej ani nawet kandydatki na nią, nie oznaczało przecież, że nie zna się na kobietach i nie może innym radzić w tych kwestiach.

– Heini, nie skończyłem jeszcze, proszę, nie przerywaj mi – powiedział stanowczym tonem ojciec. – Musisz zmienić nieco swoje podejście... Jest jakby oderwane od otaczającej nas rzeczywistości. Musisz zdać sobie sprawę, że nie ma kobiet bezgrzesznych. Choć przyznaję z ciężkim sercem, że Paula nie była i nie jest odpowiednią partią dla naszego Gebharda. A może twoja nienawiść do niej bierze się stąd, że w jakimś sensie również przypadła ci do gustu? Każdemu z nas zdarza się zbłądzić, choć Bóg nie pochwała tego typu pragnień.

– Ojczy, proszę, nie mów mi takich niedorzeczności. Nigdy nie spodobałaby mi się taka kobieta jak Paula. Takie jak ona palono na stosach nie tak całkiem dawno temu... Chociaż... – naszło go chwilowe zwątpienie.

– Jak sobie chcesz, Heini, choć twoja impertynencja w stosunku do mnie jest wprost niebywała. Dzisiaj porozmawiam z Gebhardem i przekonam go do zerwania z Paulą, a jutro napiszę uprzejmy list do jej rodziców. Niech dowiedzą się o tym fakcie ode mnie, a nie od rozplotkowanej ulicy. Zostawię cię już, musisz się przygotować do zajęć na uczelni. Mam nadzieję, że twoje wyniki na studiach nie rozczarują mnie i matki. Radziłbym w pierwszej kolejności na to położyć nacisk, a nie na wtrącanie się w sprawy brata – powiedział kąśliwie ojciec, po czym wstał i zostawił Heinricha samego.

We wnętrzu jego młodszego syna zawrzało. Oczyma wyobraźni widział piękną Paulę zmysłowo przygryzającą wargę. Prawą ręką przeczeswała swoje długie, lśniące włosy, a lewą przesuwiała po swoich kształtnych piersiach. Każdą, najmniejszą nawet cząstką swojego grzesznego ciała pragnął jej. Tak bardzo nienawidził siebie za to. Nie powinien był jej pożądać. Takie jak ona to przekleństwo tego padołu łez.

18 sierpnia 2014, poniedziałek,
Poznań

Obudził się na kilka minut przed budzikiem. Pierwsze, zaspane jeszcze spojrzenie skierował w stronę okna. Świat za nim nie wyglądał zbyt zachęcająco. Zapowiadał się kolejny deszczowy dzień. Następnie spojrzął na puste miejsce w swoim łóżku. Zapowiadał się kolejny samotny dzień. Dzień bardziej przejmująco smutny niż zwykle. Dzisiaj mija kolejna rocznica wydarzenia, o którym wolałby zapomnieć, chociaż nie powinien. Trzy lata temu umarła mu najcudowniejsza pod słońcem żona.

– Nie myśl o tym – zrugął sam siebie Roger Kalita. Wiedział, że to nic nie da. Najlepiej rzucić się w wir pracy. Zazwyczaj to pomagało. Po takiej konstatacji mężczyzna wstał i jak zwykle starannie pościelił łóżko. Nie byłby sobą, gdyby pozostawił bałagan. Prawdopodobnie przez cały dzień nie mógłby się skupić na pracy, wiedząc, że pozostawił po sobie skrajny nieporządek. Każda jego myśl wracałaby do rozgrzebanego łóżka. Niektórzy nazywali to chorobą albo przynajmniej zaburzeniem. On wolał uznawać to za niegroźne dziwactwo. Po zrobieniu porządku udał się do kuchni. Zamierzał sobie zrobić wielki kubek kawy rozpuszczalnej z dużą ilością mleka i odrobiną cynamonu. Zamiast tego odebrał telefon, który nieprzyjemnie zadzwonił, kiedy Roger akurat napełniał czajnik wodą.

– Mamy trupa, panie podkomisarzu – wyszeptała Joanna, koleżanka ze służby.

Trochę bawił go jej konspiracyjny ton. Jakby jakiś złoczyńca stał metr od niej.

– Gdzie? – zapytał o wiele głośniej.

– Na Okrąglaku. To morderstwo.

– Rozumiem. Postaram się tam być za jakieś dwadzieścia minut. Prokurator już jest? – zapytał, mając nadzieję, że zdąży pojawić się przed nim na miejscu zbrodni, ale Aśka szybko rozwiała jego nadzieje.

– Już jedzie.

– Kto?

– Zalewska.

Ucieszył się, słysząc to nazwisko. Co prawda w duchu nazywał panią prokurator Królową Śniegu z powodu bezsprzecznej urody i emocjonalnego chłodu, który od niej bił, ale doceniał to, że w odróżnieniu od kolegów po fachu pozwalała śledczym na dość dużą swobodę działania. Tak przynajmniej słyszał, bo jak do tej pory, nie miał z nią zbyt dużo kontaktu. Wiedział też, że Emilia Zalewska wywodziła się z rodziny o bogatych, prokuratorских tradycjach. Dziadek wsadzał do więzień żołnierzy wyklętych i uczestników Poznańskiego Czerwca, a ojciec – opozycjonistów podczas stanu wojennego. Ona na razie wsadzała tylko przestępców.

– Tradycje jak nic – mruknął sarkastycznie sam do siebie.

Doszły go też niepokojące, chociaż zależy dla kogo, słuchy, że pani prokurator ma mocno pravicowe poglądy. Dość zaskakujące. Na chwilę porzucił myśli dotyczące ponętnej Emilii i przywołał w myślach słowa Aśki.

– Powiedziała: „na Okrąglaku”? Co Aśka miała z polskiego w szkole? Jak coś... to w Okrąglaku, ewentualnie przed Okrąglakiem...

†

Wyszedł przed blok. W jego kierunku szła Grażynka Orłowska – miejscowa plotkara, która wiedziała wszystko o wszystkich. Właściwie to dlaczego ludzie zawsze zdrabiają imiona największych miejscowych wiedzów? Kiedy był dzieckiem, na jego ulicy królowała pani Helenka – kobieta patologiczna pod każdym względem. Wiecznie pijana, zaczepiała przypadkowych przechodniów, bo brakowało jej kilka groszy na wódkę. Rodziła hurtem kolejne dzieci, które zaniedbane błąkały się po śmietnikach, by w końcu trafić do domu dziecka. Nie przejmowała się niczym i wiodła dalej swój bezużyteczny żywot. Wracając jednak do pani Grażynki... Mieszkała na Dębowej chyba odkąd postawiono tam pierwszy blok. Czuła się królową tego osiedla. Może to poczucie wyższości wynikało

stał, że wiedziała wszystko o każdym. Był pewien, że posiadała specjalny brulion poświęcony mieszkańcom ulicy. Każdemu z nich poświęcona była osobna rubryka, w której Grażynka zapisywała sobie wszelkie plotki na temat danego delikwenta. On również miał w nim zapewne swoje zaszczytne miejsce...

– Dzień dobry, panie władzo – zaskrzeczała i podrapała się w głowę. Jej siwe, spięte plastikową klamrą włosy były zafarbowane na kruczą czerń, a prawie nieistniejące brwi – narysowane grubą, czarną kredką. Oto Grażynka Orłowska w całej krasie. Nazywała go zawsze „panem władzą”. Nie cierpiał tego określenia. Władzą powinno być społeczeństwo, a nie policja czy politycy. Dopóki Polacy sobie tego nie uświadomią, będzie tak, jak jest. Grażynka Orłowska przełknęła gęstą ślinę i prawie wypluła wraz z nią swoje pytanie:

– Sewerynka coś dawno nie widziałam... – Babsko było nie tylko ciekawskie, ale też bezczelne. Czyżby wyczuwała, że średnio radzi sobie z wychowywaniem synka?

– Są wakacje. Jest u babci – odpowiedział jej krótko.

– A co? Dużo ma pan władza teraz pracy? Jakies ciekawe sprawy? Zdradziłby pan władza coś pikantniejszego – zarechotała.

– Pani Orłowska, spieszę się. Muszę już jechać – wysyczał Roger i szybko wyminął wścibską staruchę.

Pewnie ma zapisane w swoim zeszytiku, że trzy lata temu umarła mu na raka Olka. Może dlatego zapytała go, jak sobie radzi z wychowywaniem synka? Znał odpowiedź na to niewygodne pytanie. Otóż szło mu raczej kiepsko. Był pracoholikiem. Służba w policji była dla niego całym życiem. Czasami, kiedy nie dawał już sobie rady z tym wszystkim, prosił o wsparcie swoją byłą teściową. Wówczas ta brała Seweryna do siebie, przynajmniej na jakiś czas. Wiedziała, że Roger potrzebował побыć sam. Wiedziała, że musi opróżnić kilka butelek, że musi kogoś przyprowadzić do domu na noc. Albo przynajmniej się tego domyślała. Trzy lata to długo. Może już zbyt długo. Westchnął i szybko wsiadł do kilkunastoletniego samochodu, niegdyś ściągniętego z Berlina. Rozejrzał się dookoła. Lubił swoje osiedle. Niby blokowisko, niby w wiejskiej dzielnicy, ale ta zieleń i te same, może nawet zakazane, ale jednak ciągle te same gęby. Wycofał samochód, wykręcił i ruszył w stronę centrum.

†

Okrągłak – charakterystyczny budynek w kształcie walca, uważany przez wielu poznaniaków za symbol miasta, gościł we wspomnieniach chyba każdego mieszkańca. Ci starsi pamiętali początki domu towarowego, młodszy chodzili tutaj do licznych klubów albo szkół językowych. Także Roger lubił tu bywać. Co więcej, to pod Okrągłakiem umawiano się na pierwsze randki z dziewczynami, które wcześniej poznawało się w miejscowych dyskotekach czy pobliskich barach. Nie inaczej było z Olką. Ją też poznał w Okrągłaku i na następną randkę umówili się właśnie pod tym gmachem. Wolał jednak do tego nie wracać. Nie dzisiaj. Po zaparkowaniu samochodu szukał wzrokiem Aśki. Zamiast niej zobaczył Kafla, czyli Adriana Kafelskiego. Był to chudy policjant z wytrzeszczem, który nigdy się nie uśmiechał, co niezmiernie drażniło Rogera. Adriana nie śmieszyły żadne dowcipy, anegdoty czy choćby zwykłe docinki. Roger przypuszczał, że miał trudne dzieciństwo, ale kto go nie miał? Może mało brakowało, a Kafel wylądowałby po drugiej stronie barykady? To jego by ścigali? Został jednak policjantem. I mimo że Kafel dopiero niedawno trafił do kryminalnych, Roger zdążył już go zniechęcić. Chociaż pewnie nie powinien.

– Cześć... Gdzie Aśka? – zapytał.

– Na dachu – odpowiedział z ociąganiem Kafel. Wyglądał ewidentnie na niewyspanego.

– A co ona tam robi? – zapytał głupio Roger, choć po chwili zrozumiał bezcelowość swojego pytania.

– No... tam jest denatka. – Roger dopiero teraz zrozumiał rzekomy błąd językowy Aśki – na Okrągłaku. To nie był żaden błąd. To nie mógł być błąd. Aśka była zafiksowana na punkcie poprawności swojej polszczyzny. Ona się nie myliła.

Jeszcze raz spojrzął na walcowaty budynek. Dwa lata temu zakończył się jego gruntowny remont.

Wielu miało obawy, czy inwestor sprostą zadaniu i podczas renowacji gmach nie utraci swojego charakteru. Na szczęście nic takiego się nie stało. Budynek tak jak za dawnych, dobrych lat olśniewał. Co prawda utracił swoje funkcje handlowe na rzecz biurowych, ale przecież nie mógłby konkurować z licznymi galeriami rozsianymi po całym Poznaniu. Jedyne, co nie podobało się mieszkańcom miasta, to fakt, że taras widokowy, umiejscowiony na dachu budynku, nie był ogólnodostępny. A widok, jaki roztaczał się z dachu Okrągłaka, ponoć zapierał dech w piersiach. Przynajmniej tak słyszał, bo nigdy tam nie był. Aż do teraz. Będzie mógł to sprawdzić.

Wszedł do wnętrza budynku. Spojrzał w górę. Te same schody, tylko piękniejsze. Wijące się na samą górę przez dziewięć pięter – jak w ogromnej latarni morskiej. On jednak nie mógł z nich skorzystać. Musiał jak najszybciej dostać się na taras, dlatego wybrał windę. Na górze czekały na niego Aśka i prokurator Zalewska. Pierwsza miała półdługie włosy koloru ciemny blond, spięte w kucyk. Piegowatą twarz przykryła grubą warstwą fluidu. Nie rozumiał dlaczego. Uwielbiał pieguski, zawsze wydawały mu się takie figlarne. Joanna Majchrzak w istocie taka była. Z jednej strony sporo w niej było uroku osobistego, z drugiej wyróżniała się dużą pracowitością i dociekliwością. Bardzo ją sobie cenił. Zalewska natomiast jak zwykle olśniewała urodą i elegancją. Jej długie blond włosy sięgały prawie do pasa, były doskonale wyszczotkowane i ułożone. Dyskretny makijaż świetnie podkreślał jej duże, niebieskie oczy.

Przywitał się, po czym we trójkę udali się na taras. Ofiara leżała na wznak w samej, dość staromodnej, mocno zabudowanej i prawdopodobnie wygodnej białej bieliźnie. Na pewno nie włożyła jej na spotkanie z kochankiem. Raczej spodziewała się wielu godzin w pracy. Ofiara wyglądała na około trzydzieści pięć–czterdzieści lat. Była stosunkowo szczupła i miała długie, gęste, rude włosy, które gdy żyła, musiały robić wrażenie na płci przeciwnej. Gdyby nie one, można byłoby ją uznać za osobę o co najwyżej przeciętnej urodzie.

Oprócz twarzy jej ciało wyglądało okropnie. Brzuch został rozpruty, inne części ciała – ponacinane. Jej nogi były rozbite na miazgę siekierą. Roger skrzywił się, ponieważ dojrzał również to, że do jej wnętrzości zdążyły dostać się już ptaki. Na udzie miała wyciętą nożem dużą literę H, a na nadgarstku liczbę 1511.

– Co wiemy o ofierze? – zwrócił się do towarzyszących mu kobiet, szybko odwracając wzrok. Jego policjantka i pani prokurator również nie patrzyły w stronę denatki. Żaden normalny człowiek nie jest w stanie przyzwyczaić się do takiego widoku.

– To profesor Małgorzata Staroń-Matuszewska. Jej zaginięcie zgłoszono w piątek rano, a więc trzy dni temu – relacjonowała Aśka. – Nikt do tej pory nie natknął się na ciało ofiary, bo większość pracowników zrobiła sobie długi weekend. 15 sierpnia w tym roku wypadł dość korzystnie, przynajmniej dla tych, co pracują od poniedziałku do piątku.

– Czyli nie dla nas – skomentował Roger, po czym wrócił do tematu zamordowanej. – Młoda jak na profesor...

– W tym roku stuknęłaby jej czterdziestka... – zauważyła Aśka.

– Coś mi mówi nazwisko Matuszewska... Kto zgłosił zaginięcie? – weszła jej w słowo Zalewska.

– Mąż. Grzegorz Staroń. Biznesmen. Ma własną firmę transportową.

– Powiedział coś ciekawego?

– W sumie to, co zwykle mówią zgłaszający zaginięcia. Że nie wróciła na noc, a wcześniej jej się to nie zdarzało. Co prawda Staroń dostał od niej wiadomość na komórkę, że nasza ofiara ma coś jeszcze do załatwienia tego dnia i wróci późno. Co dokładnie, nie napisała. Dlatego mąż nie czekał na nią i położył się spać. Ponoć był padnięty, bo miał dużo roboty w firmie. Rano się obudził, żony nie uświadczył, dodzwonić się do niej nie mógł, więc zaraz przyleciał do nas – relacjonowała dalej Aśka.

– Czyli prawdopodobnie nie ma alibi. Ktoś będzie musiał do niego podjechać i powiedzieć mu, że żona się znalazła – mruknął sarkastycznie Roger.

Zalewska lekko się uśmiechnęła. Czyżby pani prokurator lubiła czarny humor? Jakoś to do niej nie pasowało. Mimo to odwzajemnił jej uśmiech i skierował swoje kroki do pracującego jak w ukropie technika.

- Cześć Kaziu. Jak tam długi weekend? – zagaił.
- A dobrze. Byłem z moimi w Świnoujściu... A u ciebie?
- Nic ciekawego. Siedziałem w Poznaniu... Powiedz mi lepiej, co z ofiarą? Pierwsze wnioski?
- Wiesz dobrze, że nie lubię wyskakiwać przed orkiestrę... Poczekałbym z kategorycznymi sądami do sekcji, ale jak na mój gust kobitka została uduszona i przeleżała tutaj przez cały weekend, jak nie dłużej. Ptaszki, niestety, już ją naddziobały... Generalnie sprawca chyba tego chciał, skoro ją tak rozpruł. No i denatka musiała bydlaka znać, bo nie zauważyłem śladów walki...
- Może monitoring coś zarejestrował... – powiedział z nadzieją w głosie Roger. – Może nawet samego sprawcę? Aśka, wiesz może, gdzie jest dyrektor, zarządca czy ktokolwiek, kto odpowiada za tę budę?
- Zaprowadzę cię...
- Mnie też, proszę – powiedziała prokurator Zalewska i podążyła za dwójką policjantów.

†

Nowoczesne biuro dyrektora Okrąglaka niczym szczególnym się nie wyróżniało na tle innych podobnych pomieszczeń. Było wręcz nudne. Wynikało to z tego, że jego gospodarz był pozbawionym finezji przedstawicielem klasy średniej. Nie włożył ani odrobiny wysiłku, aby jakoś uatrakcyjnić swoje miejsce pracy. Nie włożył ani krzty wysiłku, aby uatrakcyjnić samego siebie. Był niewysokim mężczyzną z brzuszkiem i zbyt dużym zarostem jak na ten moment, stanowisko i miejsce. Nie zdążył się nawet ogolić po długim weekendzie. Tak niefortunnie się złożyło, że pokłócił się z żoną, a u kochanki nie miał przyborów do golenia. Chciał zaopatrzyć się w nie w pobliskim sklepie, ale nie zdążył. Dostał telefon, że na tarasie widokowym Okrąglaka znaleziono trupa... Gorzej być nie mogło. Miał poważne obawy, że odstraszy to potencjalnych najemców. Miał poważne obawy, że za to beknie.

– Nie rozumiem, jak mogło do tego dojść – ubolewał dyrektor Okrąglaka. Mówił to tonem telemarketera przyjmującego skargę od niezadowolonego klienta. To rozeźliło Rogera.

– Po prostu ktoś przyszedł do waszego biurowca i ją zamordował – powiedział z przekąsem śledczy.

– To nie mogło się stać tak po prostu. Nasz taras widokowy nie jest dostępny dla wszystkich. Mogą z niego korzystać jedynie pracownicy naszego biurowca. Trzeba mieć specjalną kartę...

– Świetnie. Poproszę o listę pracowników. Najlepiej na wczoraj – zażądał Roger.

– Może pan na mnie liczyć. Zlecę to mojej sekretarce...

– Wspaniale. Ale czy mają tu państwo jakiś monitoring? – zapytała przytomnie Zalewska.

– Mamy, ale... – powiedział z wahaniem dyrektor. Wiedział, że to im się nie spodoba.

– Ale?!

– Ale nie działa. Zerwaliśmy umowę z poprzednim wykonawcą, ponieważ monitoring był wadliwy, nie spełniał naszych oczekiwań i obecnie jesteśmy w trakcie jego wymiany. Przykro mi. – Znowu ten nieznośny ton telemarketera. Tym razem taki, jak w przypadku, kiedy reklamacja klienta jest bezzasadna. Roger miał ochotę zabić tego faceta. Bez tego, choćby wadliwego, ale działającego monitoringu będzie o wiele trudniej znaleźć mordercę.

– Proszę powiedzieć, jaka grupa pracowników korzysta z tego tarasu widokowego? – zapytała Emilia Zalewska.

– Pałacy. Głównie pracownicy ostatnich trzech, może czterech pięter. A i to nie wszyscy, bo z ich relacji wiem, że tam dość mocno wieje. Pozostali wolą palić przed budynkiem, choć walczymy z tym procederem i mamy na tym konczie niemałe sukcesy. Palenie zabija.

Roger spojrzął na faceta i stwierdził w myślach, że jest kompletnym idiotą. Po czym skomentował:

– Ale sukcesów za to brak, jeśli chodzi o walkę z prawdziwymi zabójcami. Nawet monitoringu nie macie.

– To tylko przykry zbieg okoliczności... – bronił się zarządca.

– Mamy jeszcze jakieś pytania do pana? – zapytała Zalewska. Spieszyła się, ale i Roger nie miał

już ochoty rozmawiać z tym pajacem.

– Wątpię... Proszę przygotować listę i jak najszybciej nam ją dostarczyć – rzucił, po czym on i Zalewska wyszli z biura dyrektora.

– Musimy omówić sprawę. Najlepiej zaraz – powiedziała bez ogródek Zalewska.

– Tak, a gdzie?

– Na dole w Okrągłaku jest restauracja. Dobre drożdżówki i kawę tam serwują. Chętny?

– Ciekawe... – Roger zamyslił się.

– Co ciekawe?

– Nie wyglądasz mi na amatorkę słodczy. Taka świetna figura...

– Daruj sobie te komentarze. Są nie na miejscu – powiedziała Zalewska z dziwnym uśmiechem na twarzy. Droczyła się z nim czy mówiła poważnie?

– Okej, daj mi piętnaście minut, proszę. Muszę zebrać zespół i szybko rozdzielić wstępne czynności.

– Będę czekać – uśmiechnęła się, puszczając mu oczko. A może mu się przywidziało?

†

Kwadrans później siedzieli w kawiarnio-restauracji Rotondo. Roger wydawał się jednak nie dostrzegać urody tego lokalu. W myślach analizował dalsze kroki, które zamierzał podjąć w śledztwie. Na pewno sprawdzi w bazach i Internecie informacje dotyczące ofiary. Jeśli prokurator wspaniałomyślnie zezwoli, to przesłucha męża pani profesor. Większość zbrodni jest popełniana przez najbliższych. Brzmi to jak banał, ale bardzo często pokrywa się z rzeczywistością. Czy tak będzie i tym razem?

– Co polecasz? – zapytał Zalewską.

– A co lubisz?

– Wszystko i nic – powiedział bez sensu, ale w tym momencie myślami był gdzie indziej i naprawdę nie miał pomysłu, czym mógłby się uraczyć. Ciągłe czuł w ustach posmak porannej kawy z cynamonem, której zresztą nie zdążył dopić.

– Weź mokkę.

– Mówisz? Nie wiem, czy moje policyjne dochody mi na to pozwalają... Ale w sumie nie mam teraz ochoty na takie rozważania. Powiedz mi lepiej, co planujesz? – Spojrzał na Królową.

Była ubrana, jakżeby inaczej, cała na biało, no dobra, kremowo, choć mężczyźni tacy jak on nie powinni zwracać uwagi na takie niuanse. Kremowe, eleganckie spodnie na kant i takiego samego koloru kaszmirowy sweterek ze sporym dekoltem. Jej piersi błagały w nim o wolność. Na chwilę zatopił w nich swój wzrok. Tymczasem podeszła do nich młodziutka kelnerka o sarnich oczach, przynosząc zamówione chwilę wcześniej kawy. Przyjrzał się filiżankom. Na jednej z nich dostrzegł małą plamkę. Przeciętny człowiek nie zwróciłby na to uwagi. Ale on pod tym względem nie był przeciętny. Z tego powodu trochę przeszła mu ochota na kawę. Zastanawiał się, czy będzie wielkim nietaktem, jeśli poprosi o mokkę w innej filiżance. Tymczasem pani prokurator odpowiedziała na postawione przez niego pytanie.

– To, co zwykle. Mam do ciebie zaufanie. Słyszałam, że jesteś dobrym śledczym. Zresztą mam dużo roboty... Podejmij standardowe czynności, rozpocznij przesłuchania. Jednocześnie chciałabym być ze wszystkim na bieżąco. Spotkajmy się jutro, jeszcze nie wiem o której, ale dam ci znać.

– Spoko, nie mam nic przeciwko.

– Pomysły? Morderca?

– Najprawdopodobniej ktoś bliski ofierze, kto próbuje nam wmówić, że za zabójstwem stoi jakiś seryjny zabójca. Te nacięcia, pogruchotane kości, wycięta litera i liczba...

– Jak w jakimś tanim kryminale... – podsumowała Zalewska.

Roger słuchał jej jednym uchem. Chyba jednak przemoże się i wypije kawę z tej filiżanki.

– Wiesz, że media się na to rzuca... Uwielbiają takie sprawy. Bardziej niż my – powiedział i spróbował mokki. Nie zachwyciła go.

– Dowiedzą się tyle, na ile im pozwolimy. Spokojnie.

– Słaba ta kawa – marudził Roger.
– A tak poza tym? Co u ciebie? – Królowa zignorowała jego marudzenie. Jej ton głosu był dziwnie ciepły. Nie pasowało to do niej. Coś się zmieniło.
– Dobrze, a dlaczego pytasz?
– Słyszałam, że trzy lata temu zmarła ci żona. Dokładnie trzy lata temu... – podkreśliła, dając mu do zrozumienia, że wie o dzisiejszej rocznicy.
Aśka musiała chlapnąć jęzorem. Nigdy nie słynęła z dyskrecji.
– To prawda, ale tak jak sama powiedziałaś, to było trzy lata temu. Nie ma do czego wracać. Trzeba żyć dalej. Zresztą... – urwał w połowie, bo chciał powiedzieć: Skąd możesz o tym wiedzieć, skoro nigdy nie wyszłaś za mąż i nigdy nie straciłaś ukochanego. Jak się po chwili okazało – dobrze, że ugryzł się w język.
– Wiem, co czujesz. Pięć lat temu straciłam narzeczonego. Rozbił się na motorze. Cholerna pasja.
Roger znów poczuł się zaskoczony. Przymiotnik „cholerny” w ogóle nie pasował do prokurator Zalewskiej. Poza tym pierwszy raz słyszał o tym, że miała narzeczonego, który zginął w wypadku. A zatem Królowa Śniegu musiała być kiedyś Wiosną.
– Współczuję – wykrztusił z siebie. Nie miał pomysłu na inną odpowiedź. Poczuł dziwne skrępowanie. Nie cierpiał tego. – Muszę już iść, obowiązki wzywają.
– Nie wypijeś za dużo tej kawy... Chyba faktycznie nie przypadła ci do gustu. Dziwne, mnie smakuje. Zresztą, nieważne. Mnie też gonią obowiązki – odpowiedziała. – Tak czy siak, jesteśmy w kontakcie. Daj znać, jakbyś dowiedział się czegoś istotnego.
– I *vice versa*. Miło było z tobą pogawędzić – dodał nieco niedbale.
Czuł, że postąpił z emocjami pani prokurator nazbyt obcesowo. Odpowiedziała mu zachęcającym uśmiechem.
Gdzie, do licha, podziała się Królowa Śniegu? – pomyślał z lekkim rozczarowaniem.

†

Godzinę później siedział u siebie, czyli w robocie, i przeglądał, jakżeby inaczej, bogate zasoby Internetu. Do wyszukiwarki wrzucił hasło: Małgorzata Staroń-Matuszewska. Wbrew oczekiwaniom nie znalazł zbyt wiele na temat czcigodnej pani profesor. Nie miała nawet konta na Facebooku, co dla jej studentów musiało być sporym *faux pas*. Za to w Wikipedii przeczytał bardzo krótką notkę informującą, że pani profesor, a właściwie doktor habilitowana, urodziła się 15 listopada 1974 roku w Poznaniu i była pracownicą Wydziału Historycznego Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Ciekawsza, jak dla niego, była informacja, że jej ojciec – profesor Michał Matuszewski, urodzony 13 listopada 1944 roku był dyrektorem Archiwum Państwowego w Poznaniu. W odróżnieniu od córki nie wykładał już na uniwersytecie. Miał też jeszcze jedną córkę – również po historii, która jednak, w przeciwieństwie do siostry i ojca, nie pracowała w zawodzie. Tak czy siak, Matuszewscy byli wielopokoleniową rodziną historyków. Ich również trzeba będzie przesłuchać.

Z Internetu dowiedział się także, że Małgorzata Staroń-Matuszewska była kierowniczką filii biblioteki uniwersyteckiej w Ciężeniu. Trochę dziwne jak na profesorkę. Skoro pracowała na uniwersytecie, to po co jej jeszcze fucha bibliotekarki gdzieś daleko, na wsi?

– Gdzie to jest? – powiedział sam do siebie. Wpisał do wyszukiwarki słowo Ciężęń. Szybko dowiedział się, że to wielkopolska wieś położona w powiecie słupeckim, licząca ponad tysiąc mieszkańców. W wiosce poza kościołem pod wezwaniem św. Jana Chrzciciela z 1535 roku warto było, przynajmniej według Internetu, zobaczyć późnobarokowy pałac biskupi, gdzie znajdowała się właśnie wspomniana już filia biblioteki uniwersyteckiej, którą kierowała ofiara. Wszedł na jedną ze stron poświęconych pałacowi. Zaczął czytać:

Kompleks został wybudowany w latach 1758–1768 przez architekta Józefa Sacco dla biskupa Teodora Czartoryskiego i jest jednym z najciekawszych w Polsce zespołów budynków utrzymanych w stylu rokoko.

Biskupi długo nie cieszyli się pięknym pałacem. Został skonfiskowany i przekazany adiutantowi cara Aleksandra I – Wacławowi Gutakowskiemu. Po kilkudziesięciu latach pozostawania w rękach tej samej rodziny często zmieniał swoich właścicieli. Po wojnie aż do 1964 roku znajdowała się w nim szkoła podstawowa. Potem przekazano go Uniwersytetowi im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Obecnie przechowywane są w nim jedne z największych zbiorów literatury masońskiej w Europie. Wśród nich warte odnotowania są zbiory łóż masońskich z Pomorza i Śląska, rzadkie druki różokrzyżowców z siedemnastego wieku, niemieckie, angielskie i francuskie encyklopedie wolnomularskie oraz wszelka literatura z tym związana, również polemiczna. Wśród zebranych pozycji są także głównie osiemnastowieczne i dziewiętnastowieczne mowy wygłaszane w lożach, konstytucje, statuty, katechizmy, instrukcje oraz rytuały systemów masońskich, poszczególnych stopni i obrzędów, a także dzieła zebrane najważniejszych autorów wolnomularskich. Poza typowymi masonikami sporo jest dzieł traktujących o różnych innych tajnych organizacjach, takich jak różokrzyżowcy, iluminaci, związki odwołujące się do tradycji zakonu templariuszy, żydowska organizacja B'nai B'rith, niemieccy druidzi, Schlaraffsi, rotarianie itd.

– Przyjemnego zbioru pilnowała pani profesor. Są masoni, są Żydzi. Brakuje tylko cyklistów – mruknął sam do siebie Roger.

Zamknął stronę pałacu biskupiego w Ciężeniu i kliknął na uniwersytecką podstronę poświęconą denatce. Był ciekawy, czym dokładnie zajmowała się pani profesor. Nie zaskoczyła go informacja, że specjalizowała się w różokrzyżowcach. To by tłumaczyło jej etat kierowniczką w pałacu. Łączyła swoje zainteresowania naukowe z pracą bibliotekarki. Po co robić za darmo kwerendy, skoro można to robić w ramach płatnej posady? Będzie trzeba więcej pogrzebać na temat tych różokrzyżowców, ale teraz nie miał na to czasu. Musiał jechać do męża ofiary. Już miał wyłączyć komputer, kiedy do pokoju wszedł Marek Gaworski – policyjny rzecznik prasowy. Nie ucieszyła go ta wizyta. Oznaczała kłopoty albo przynajmniej marudzenie.

– Nie wyłączaj. Wejdź na „Głos Wielkopolski” – powiedział mocnym głosem, bardzo niepasującym do jego niewysokiej, mizernej postury, rzecznik.

Roger westchnął i niechętnie wykonał polecenie Gaworskiego. Na stronie głównej internetowego wydania gazety największy z nagłówek informował, że znaleziono zwłoki szanowanej profesor historii.

– Cholera. Już? – zdziwił się Roger.

– A co ty myślałeś? Ktoś z twojego zespołu puścił farbę – syknął niezadowolony Gaworski.

– Równie dobrze mógł to zrobić ktoś z personelu Okrąglaka.

– Może, ale coś za dużo szczegółów znają. Wiedzą na ten przykład, że zaginięcie profesorki zostało zgłoszone przez męża w piątek rano. Pogadaj z zespołem, bo taki rozgłos wam na pewno nie pomoże w pracy. – Zwrot: „na ten przykład” zmroził Rogera. Jak policyjny rzecznik prasowy może używać takich wyrażzeń?! Już miał ochotę go poprawić, ale wydusił z siebie tylko:

– Co ty nie powiesz?!

– Dzwonią już do mnie z ogólnopolskich mediów. Kuśmierski się wścieka – powiedział Gaworski, mając na myśli komendanta. – Za chwilę będzie się zastanawiał, czy jesteś odpowiednią osobą do prowadzenia tak poważnego śledztwa...

– To niech się zastanawia. Ja muszę przesłuchać męża ofiary. Cześć – rzucił na koniec Roger, po czym ominął tego buca, Gaworskiego, sięgnął po sweter i czym prędzej wyszedł z pomieszczenia.

†

Trochę czasu minęło, zanim przebił się do północnej części Poznania, na osiedle Różany Potok, gdzie mieszkali Staroniowie. Ich elegancki dom z białą elewacją i szarym, spadzistym dachem znajdował się przy ulicy Dziegielowej. Podwórze przed domem było nieskomplikowane – jeden igłak, kilka krzewów, a między nimi wiła się pokryta biało-szarymi kamyczkami, urokliwa ścieżynka. Przed domem stał zaparkowany duży, czarny SUV – typowy atrybut nadwiślańskiego biznesmena. Roger nie przepadał

za kierowcami tego typu samochodów. Nazywał ich pogardliwie „suwnicowymi”. Jego niechęć do nich wynikała przede wszystkim z faktu, że nagminnie zamiast jednego miejsca parkingowego zajmowali dwa. Koledzy ze straży miejskiej bardzo na nich narzekali.

Roger nie przyjechał do Staronia sam. Towarzyszył mu milczący jak zawsze Kafel. Kalita nie był zadowolony z jego towarzystwa, z drugiej strony był jednak pewien, że Adrian pozostawi mu inicjatywę w przesłuchiowaniu Staronia. Nacisnął przycisk domofonu.

– Policja – powiedział krótko.

Odpowiedziała mu cisza, ale też po chwili otwarto mu furtkę, a następnie drzwi. Przed nimi stanęła dwudziestokilkuletnia dziewczyna z kręconymi włosami, ubrana w długą, kwiecistą spódnicę. Wyglądała trochę jak hipiska.

– Kim pani jest? – zapytał niezbyt elegancko Roger. Czyżby „suwnicowy” był na tyle bezczelny, że po śmierci żony sprowadził już sobie na chatę młodziutką kochankę?

– Jestem nianią. Pan Staroń czeka na panów w salonie. Zaprowadzę... – odpowiedziała nieśmiało dziewczyna.

Obecność policjantów wyraźnie ją peszyła. Miała tylko pilnować dzieci, a nie gadać z gliniarzami.

– Nie trzeba. Trafimy – powiedział Roger i bez słowa wyminął dziewczynę. Czy aby na pewno to tylko niania? Ciekawe, czy „suwnicowego” też utula do snu?

Pieprzony rojber – pomyślał. – Nawet się nie pofatygował, żeby nam otworzyć, tylko wysłał tę dziunię.

Razem z Kaflem weszli do przestronnego salonu. Na białych ścianach wisiało kilka ogromnych, czarnobiałych fotografii przedstawiających znane aktorki amerykańskie, takie jak Marilyn Monroe czy Elizabeth Taylor, ucharakteryzowane na *pin-up girls*. Był też oczywiście ogromny, biały kominek – kolejny z atrybutów nadwiślańskich biznesmenów. Na jego gzymsie stały zdjęcia rodzinne, srebrny krzyż z umordowanym Jezusem oraz kilka obrazków świętych z Janem Bosko na czele. *Pin-up girls* i dewocjonalia – jak dla niego było to bardzo dziwne zestawienie. Spojrzał na środek pokoju. Na skórzanej sofie siedział Staroń – wysoki, szpakowaty mężczyzna słusznej postury. Był gładko ogolony i mocno pachniał jakąś drogą wodą kolońską.

– Witam panów. Grzegorz Staroń... – przedstawił się biznesmen, szybko podnosząc się z sofy. – Podobają się panom moje *pin-up girls*? – dodał dziwnie beztrzesko.

– Niespecjalnie. Zwłaszcza w zestawieniu z krzyżem i świętymi obrazkami – odpowiedział mu zaczepnie Roger.

– Och, wiem – machnął ręką. – Moja żona jest ześwirowana na punkcie religii. Ale *pin-up girls*, tak jak już wspomniałem, to był mój pomysł. Ten pokój jest, można rzec, zgniłym kompromisem powstałym pomiędzy dwiema różnymi osobowościami.

– Pana żona była religijna?

– Była? Jest religijna, chociaż ta jej religijność nie jest zbyt głęboka. Wyniosła ją z domu. Znaleźliście ją? – Roger zdał sobie sprawę, że Staroń nic nie wie o śmierci żony. Nie dotarły do niego wiadomości z mediów? Nikt do niego nie dzwonił? Dziwne. A może tylko udaje, że nic nie wie?

– Tak, znaleźliśmy. Pana żona nie żyje. Została zamordowana – powiedział szybko Roger. Chciał mieć to już za sobą. Nie cierpiał przekazywania tego typu informacji. Zresztą nie znał żadnego policjanta, który by to lubił. Spojrzał na Staronia. Jego twarz wyrażała tylko jedno, wielkie zaskoczenie. Albo doskonale udawał.

– Napiją się panowie czegoś? – wydusił z siebie po długiej chwili milczenia „suwnicowy”. Zanim jednak o to zapytał, zdążył się osunąć na sofę.

– Nie, dzięki. Dobrze się pan czuje? – zapytał Roger. Miał nadzieję, że facet nie dostanie zaraz zawału.

– W miarę. Szkoda, że nie chcecie się ze mną napić – powiedział, po czym wstał i skierował swoje kroki do barku. – Bo ja się chętnie napiję. Wybaczą mi chyba panowie? Mogę? Żonę mi zabili – dorzucił szybko.

Roger miał wrażenie, że wyczuł w tym zdaniu lekkie szyderstwo. Miał ochotę przywalić temu nowobogackiemu. On raczej nie kochał Małgorzaty Staroń-Matuszewskiej.

– To pana dom. Nie mamy jednak za wiele czasu...

– Spokojnie. I tak nie mam wam za wiele do opowiedzenia – powiedział Staroń, odkręcając butelkę whisky.

– To się zobaczy – rzucił drwiąco Roger. Bardzo go irytował ten cały Grzesio. Staroń po napełnieniu szklanki whisky wrócił na skórzaną sofę.

– Niech pan powie, co pan robił we czwartek wieczorem – włączył się w przesłuchanie Kafel. Chciał odciążyć Rogera?

– To przesłuchanie? Zresztą, co mi tam. Jestem niewinny. A co miałem robić? Zresztą mówiłem już, jak zgłaszałem zaginięcie...

– Proszę powtórzyć – nie ustępował Kafel.

– W czwartek miałem dużo roboty, wróciłem do domu około dwudziestej. Żony jeszcze nie było, ale przysłała wiadomość, że musi posiedzieć dłużej w Ciężeniu, bo ma dużo pracy. Nie pierwszy raz zresztą. Więc położyłem dzieci spać, odprawiłem nianię, coś tam zjadłem, pooglądałem telewizję i poszedłem spać.

– Czyli nie ma pan alibi?

– Nie bardzo... – Dopiero teraz Roger zdał sobie sprawę, co jest nie tak z tym Staroniem. Był po prostu pijany. Ta whisky, którą przed chwilą otworzył, nie była jego pierwszą tego dnia. Upił się, nie wiedząc jeszcze, że jego żona nie żyje? A może miał coś na sumieniu, co mógł zagłuszyć tylko alkoholem? Trzeba będzie go jeszcze raz przesłuchać na komendzie, ale to za jakieś kilka dni.

– A rano w piątek co pan robił? – zapytał Kafel.

– Obudziłem się, zobaczyłem, że żony nie ma. Pomyślałem, że poszła się gdzieś gzić. Wściekłem się i zacząłem do niej wydzwaniać...

– Przepraszam za śmiałość, ale czy pana żona, jak pan to ciekawie ujął, gziła się? – dopytywał Roger.

– Nie, ale tak sobie wtedy pomyślałem. Więc zacząłem do niej wydzwaniać, ale Gośka nie odbierała. Potem zadzwoniłem do jej siostry i ojca. Myślałem, że zdecydowała się przenocować u któregoś z tej dwójki. Ostatnio trochę się kłóciliśmy, więc przypuszczałem, że mogła pojechać się wyzalić siostrze albo ojcu. Ale zarówno Magda, jak i mój teść zaprzeczyli, że widzieli się z Goską. Dlatego postanowiłem to zgłosić na policję. Oczywiście zostałem na początku wyśmiany, ale łaskawie przyjęliście moje zgłoszenie. A teraz Gośka nie żyje. Tak przynajmniej twierdzicie. Chciałbym ją zobaczyć. Zidentyfikować, czy jak wy to nazywacie w swoim policyjnym slangu.

– Jej ojciec został już o to poproszony – poinformował go beznamyślnie Kafel.

– To zajebicie – mruknął niezadowolony Staroń.

– O co się kłóciliście? – nie odpuszczał mu Roger.

Biznesmen zmieszał się, słysząc to pytanie, i w myślach zaczął gorączkowo szukać jakiegokolwiek odpowiedzi na nie, byleby nie była prawdziwa.

– Typowe sprawy. Pieniądze, pożycie i takie tam. No średnio się między nami układało ostatnio, ale wszystko zaczęło zmierzać w dobrą stronę, zapewniam panów. Byliśmy normalnym małżeństwem, które miało swoje wzloty i upadki. Nic nadzwyczajnego.

– Czy pana żona miała wrogów? – zapytał Kafel.

– Całe mnóstwo.

Takiej odpowiedzi Roger się nie spodziewał. Przypuszczał raczej, że pani profesor była przez wszystkich kochana.

– Proszę kontynuować – zachęcił Staronia podkomisarz Kalita.

– Moja żona nie miała łatwego charakteru. Była bardzo inteligentna i doskonale zdawała sobie z tego sprawę, i co gorsza, nie ukrywała tego, jeśli wiedzą panowie, co mam na myśli. Jak ktoś zaczynał gadać głupoty, to ona zaraz takiego delikwenta sprowadzała do parteru. Ze mną też tak robiła. Dobra w tym była, nie powiem. Na uniwersytecie mało kto ją lubił, ale rektor to przyjaciel jej ojca, więc była

nietykalna. Przynajmniej tak myśleli inni. Do tego ta fucha w Ciężeniu. Uwielbiała to.

– A jak układały się jej relacje z rodzicami?

– Doskonale. Tatuś był w nią zapatrzony jak w obrazek. Matka również. Biedna Magda.

– Dlaczego biedna?

– Bo tak nierównego traktowania własnych dzieci nigdy wcześniej nie widziałem. Gośka zawsze była tą najwspanialszą, najcudowniejszą i najmądrzejszą. A Magda? Szkoda gadać. Nigdy nie słyszałem, żeby teść powiedział o niej coś miłego, a teściowa się nie wtrącała. – Roger nie wyczuł w tym ani grama fałszu. Staroń akurat w tym momencie nie kłamał.

– A jak układały się relacje pomiędzy siostrami?

– Różnie. Raz lepiej, raz gorzej, ale Gośka jej nie szanowała. A Magda dużo jej wybaczwała. Złota kobieta.

– Żona nie mówiła panu, że jest z kimś umówiona na spotkanie w czwartek wieczorem?

– Nie. A była?

– Tego nie wiemy. Tylko pytamy. Czy żona dziwnie się zachowywała w ostatnich dniach? – nie ustępował Roger. Szukał jakiegoś punktu zaczepienia.

– Nie. Była tak samo wredna jak zawsze.

– Dziękujemy panu.

– Może jednak napijecie się ze mną whisky? Jest naprawdę wyborna. I tak dobrze mi się z wami gada – powiedział z uśmiechem pijany Staroń.

†

Roger miał mętlik w głowie, dlatego kiedy wyszedł z komendy i wsiadał do swojego berlińskiego samochodu, omal nie potknął się o krawężnik. Przeklął, ale nie przeszkodziło mu to w dalszym porządkowaniu poplątanych myśli. Profesor Małgorzata Staroń-Matuszewska pracowała na uniwersytecie i w bibliotece w Ciężeniu, gdzie znajdowały się unikatowe w skali europejskiej zbiory dokumentów dotyczące masonerii. Obszar zainteresowań badawczych ofiary stanowili głównie różokrzyżowcy, o których Roger właśnie usłyszał po raz pierwszy w życiu. Czy chce, czy nie, będzie musiał przestudiować ich dzieje wieczorem w zaciszu domowym, za pomocą Internetu oczywiście. Odpalił silnik auta, który radośnie zawył. Nie pozostało mu nic innego, jak wycofać samochód z policyjnego miejsca parkingowego, a następnie odjechać spod komendy. Ciągle rozmyślał.

Pani Staroń miała podobno dość trudny charakter. Mało kto ze współpracowników ją lubił, ale dzięki ojcu – dyrektorowi Archiwum Państwowego, zaprzyjaźnionemu z rektorem uniwersytetu – miała mocne plecy. Jej relacje z mężem i siostrą były dość pokręcone, skomplikowane. Ojciec ofiary mocno ją faworyzował kosztem Magdaleny, dlatego mogła uważać się za lepszą od siostry. Ciekawe, jak czuła się z tym młodsza Matuszewska? To na pewno trzeba będzie sprawdzić i przesłuchać Magdalenę. Podobnie jak jej ojca. O samym mężu denatki szkoda gadać. Podczas przesłuchania okazało się, że jest nietrzeźwy. I naprawdę trudno powiedzieć, z jakiego powodu się upił, bo sięgnął po alkohol rzekomo przed informacją o jej śmierci, a nie po. A może jednak wiedział, że ją zamordowano, tylko udawał przed nimi, że nic mu o tym nie wiadomo? Dlatego też Roger zlecił Kafłowi pilną obserwację Staronia, zwłaszcza że wyczuwał brak szczerości ze strony „suwnicowego”. Kazał też Adrianowi powiadomić ojca i siostrę denatki o tym, że zostaną jutro przesłuchani. Zamierzał to zrobić osobiście. Nie miał zbyt dużego zaufania do Kafła, a Aśce przydzielił już inne zadania. Zdawał sobie jednak sprawę, że nie obędzie się bez dalszej pomocy Adriana. Zanim zabierze się za obserwację domu Staronia, ponury policjant miał jeszcze przesłuchać młodzieńką nianię-hipiskę. Roger nie spodziewał się żadnych rewelacji. Nie wyglądała na zbyt rozgarniętą. Chwycił telefon i zadzwonił do prokurator Zalewskiej, aby zreferować jej przesłuchanie Staronia. Odebrała roześmiana, jakby przed chwilą ktoś opowiedział jej dobry dowcip. Szybko jednak przywołała się do porządku i wysłuchała Rogera w skupieniu, ale w żaden sposób nie skomentowała informacji, że „suwnicowy” był pijany. Poinformowała jedynie, że ojciec ofiary potwierdził, iż denatką faktycznie jest jego córka Małgorzata. Następnie jeszcze raz przypomniała, że chce się z nim spotkać jutro po południu. Poprosiła, żeby przyjechał do niej – do prokuratury. Zgodził

się. Zależało mu na dobrych relacjach z Zalewską, dlatego nie wybrzydzał.

Roger skręcił w ulicę Grunwaldzką. Zmierzał w stronę jednego z największych cmentarzy w Polsce – Junikowa. Główne wejście do nekropolii znajdowało się właśnie od strony ulicy Grunwaldzkiej. Cmentarz, rozciągający się na prawie stuhektarowym obszarze, powstał na terenie dawnego poligonu wojskowego i znajdował się w południowo-zachodniej części miasta, zwanej Grunwaldem. Nekropolia była swoistą oazą zieleni, sąsiadującą z równie zielonymi ogrodami działkowymi i Lasem Marcelesińskim. Historia jej powstania sięgała międzywojnia, chociaż otwarto ją dopiero pod koniec lat czterdziestych. W ciągu kolejnych dziesięcioleci na cmentarzu pochowano prawie 150 tysięcy osób. Wśród nich znalazło się wielu wybitnych poznaniaków, powstańców wielkopolskich czy żołnierzy Armii Krajowej. Do nich zaliczali się pradziadek i dziadek jego świętej pamięci żony, która wraz z nimi spoczywała na tym cmentarzu. Aleksandrę Kalitę-Olszewską pochowano w pięknym, rodzinnym grobowcu z piaskowca. Dzieliła go ze swoimi pradziadkami i dziadkami. Zanim jednak Roger tam dotarł, czekała go jeszcze długa, kręta droga. Mimo to nie zamierzał korzystać z usług kilku jeżdżących w kółko riksarzy, którzy wozili po cmentarzu ludzi odwiedzających swoich bliskich zmarłych. Miał ochotę się przejść, aby móc zatopić się w myślach. Po drodze minął kilka okazałych grobowców romyjskich. Były ogromne i kłuły w oczy swoim przepychem, ale mimo wszystko miały w sobie jakiś urok i pokazywały, że podobnie jak duszę, Cygan posiadał również dość głęboką kieszeń.

Po dwudziestu minutach Roger dotarł na miejsce. Czekali tam już na niego rodzice Oli i jego synek, który mocno ucieszył się na widok ojca. Roger przytulił stęsknionego Sewerynka, po czym przywitał się z Olszewskimi. Pułkownik jak zwykle prezentował zasępioną minę, a jego żona tryskała energią i uśmiechem. Przeciwiństwa się przyciągają. Ten stereotyp sprawdzał się w ich przypadku.

– Rogerku, coś marnie wyglądasz. Kiedy ostatnio zjadłeś coś porządnego? – martwiła się teściowa.

– Drożdżówkę rano.

– Boże, przecież wieczór prawie... Może klymka? – zapytała teściowa, mając na myśli miętówki, które zawsze nosiła w torebce.

– Nie, dzięki – odparł, krzywiąc się Roger. Nie cierpiał miętówek, a Olszewska doskonale o tym wiedziała.

– Daj mu spokój – mruknął Olszewski.

Pułkownik mimo zbliżającej się sześćdziesiątki ciągle budził respekt. Podobnie jak jego ojciec i dziadek był wojskowym. Pierwszy z wymienionych, Stefan, najpierw jako młodziak walczył w kampanii wrześniowej, a potem w czasie okupacji kontynuował służbę ojczyźnie w strukturach Armii Krajowej. Z powodu przynależności do tej ostatniej nie przyjęto go po wojnie do komunistycznego wojska, a co gorsza, wsadzono go za to do więzienia. Po śmierci Stalina jednak łaskawie go wypuszczono. Szybko ożenił się z dawną, wojenną narzeczoną i spłodził jedyne go syna – teścia Rogera. Do wojska już jednak nie wrócił. Natomiast dziadek pułkownika, Ignacy, był zasłużonym powstańcem wielkopolskim. Po odrodzeniu niepodległej Polski wstąpił do nowo utworzonego wojska, w którym później wraz z synem walczył podczas kampanii wrześniowej. Jako oficer trafił do niemieckiego obozu jenieckiego, z którego wyszedł dopiero pod koniec wojny. Ola nie potrafiła inaczej niż jej przodkowie i podobnie jak oni służyła w wojsku. Dobrze się tam odnalazła. Imponowała swoim kolegom żołnierzom siłą fizyczną i nieugiętym charakterem. Wydawała się nie do pokonania. Niestety dla raka okazała się zbyt słaba. Wróg był podstępny. Roger ciągle nie mógł uwierzyć, że można umrzeć na raka piersi w wieku dwudziestu siedmiu lat.

– Wiesz, że cenię twoją służbę w policji, ale chciałem zapytać, jak długo jeszcze Sewerynek z nami pobędzie? Żona jest zmęczona... – zwrócił się do niego pułkownik.

– Zdzichu, nie przesadzaj. Daję radę. Minęły dopiero dwa tygodnie. W przedszkolu jest przerwa – zaprotestowała Olszewska.

– Nie dajesz. Bo musisz jeszcze opiekować się swoim ojcem. Jak przedszkole ponownie ruszy, Seweryn musi wrócić do ciebie, Roger.

– Jestem wam naprawdę wdzięczny za pomoc i obiecuję, że od września zajmę się synem. Zresztą

zacznie się już to nieszczęsne przedszkole... Mam po prostu teraz ciężką sprawę – próbował ich ułagodzić Roger.

– Tak? Jaką? – zapytał pułkownik, udając zainteresowanie.

– Zamordowano profesorkę – Małgorzatę Staroń-Matuszewską.

– Matuszewską? Czy to przypadkiem nie córka Michała? – wyrwało się nagle zafrasowanej Olszewskiej. Nie mogła uwierzyć własnym uszom.

– Jeśli mama ma na myśli profesora Michała Matuszewskiego, to tak – odpowiedział Roger. Czyżby teściowie znali ofiarę?

– Straszne. Przyjaźniłem się z młodszym bratem Michała – Marianem. Ich ojciec też był historykiem. To okropne, co spotkało tę szanowaną rodzinę – powiedział pułkownik.

– Jaka to była rodzina? – zapytał Roger.

– Szaleńczo kochali historię. Pamiętam, jak ojciec Mariana był niezadowolony, że ten wolał zostać wojskowym niż historykiem. Podobnie było z Michałem, kiedy ta jego druga córka... jak jej było?

– Magdalena.

– No właśnie... I kiedy Magda zrobiła magisterium z historii, liznęła trochę doktoratu i nie chciała kontynuować kariery naukowej, mimo że miała ku temu predyspozycje, profesor obraził się na nią. Dziwna rodzina. Ojciec Michała i Mariana zaraz po wojnie zabezpieczał tony tajnych dokumentów po Niemcach. Przewiózł je, zdaje się ze Środy Śląskiej, do Poznania. I od trzech pokoleń ponoć nad tym ślęczą. Tylko Marian się wyłamał. I Magdalena.

– A dlaczego wszyscy w tej rodzinie noszą imiona na literę M? – zauważył przystojnie Roger.

– Jesteś spostrzegawczy. To trochę głupia historia. Marian mi opowiadał, ale niespecjalnie w to wierzę. Ponoć ich dziadkowi, zwykłemu wielkopolskiemu chłopu jakaś Cyganka przepowiedziała, że jak da synowi imię na literę M, to rodzinie będzie sprzyjała fortuna. Jak widać, Małgorzacie szczęścia to nie przyniosło.

– A jak ojciec Mariana miał na imię? – zapytał z rozbawieniem Roger.

– Mieczysław. Począwszy od niego ta rodzina przestała być chłopska i stała się profesorską – zauważył pułkownik Olszewski.

Roger westchnął, po czym zmienił temat. Trzeba było zapalić kilka zniczy na grobie Oli.

†

Roger wjechał na parking, a raczej na klepisko przed jego ulubioną siłownią, która w niczym nie przypominała znanych, prawie sterylnych sieciówek. Duży, żółty afisz z zielonym napisem informował, że ów przybytek nazywa się Hulk. Chciał wyrzucić z siebie całą frustrację, która nagromadziła się w nim od rana. Było późno, ale miał też nadzieję, że natknie się na Nią. Ona miała na imię Julia i mieszkała na jego osiedlu, co odkrył całkiem niedawno. Jej mieszkanie znajdowało się zaledwie kilka klatek dalej, bliżej biblioteki. Co zaskakujące, pozornie nie była w jego typie. Była dość wysoka, umięśniona, krótko ścięta. Jej doskonale wyrzeźbione ciało zdobiły wymyślne tatuaże. Ale miała w sobie to coś, co powodowało, że Roger coraz częściej i chętniej przyjeżdżał do Hulka. Nigdy jeszcze z nią nie rozmawiał. Miał zamiar to zrobić w najbliższych dniach, ale cały czas się ociągał, bo nie wiedział, czy dziewczyna kogoś ma. Może właśnie dzisiaj powinien się przelamać? Zdziwiła go. Nie należał przecież do nieśmiałych facetów. Ale ta dziewczyna miała w sobie coś takiego, że wolał przy niej dokładnie dobierać słowa.

Przebrał się w oparach gryzącego, męskiego potu i skierował się do niezbyt dużej sali, w której dominowała, jakżeby inaczej, płęć brzydka. Mężczyźni byli wszędzie – dźwigali, rozciągali się, wyginali – słowem: wylewali z siebie siódme poty. Ale była i ona. Julia, która teraz leżała na ławeczce, wyciskała pokaźne jak na kobietę ciężary.

– Cześć – zagadnął.

– Cześć – odpowiedziała, ledwo dysząc.

Nie знаła tego człowieka, ale grzeczność wymagała, aby odpowiedzieć na pozdrowienie. Nawet jej trochę przeszkadzał, ale Roger nie zamierzał się tym zrażać.

- Dobrze ci idzie.
- A tobie nie – odpowiedziała z przekąsem.
- Tak, a niby co mi nie idzie? – zapytał z irytacją.

Ta mała była bardzo pyskata.

- Zagadywanie mnie. Ale nie przejmuj się. Nie jestem zbyt rozmowna. Wielu poległo.
- Ja, jak widzisz, ciągle żyję.
- Znakomicie. Ale żyj sobie jakieś kilka metrów dalej ode mnie, bo przede mną sporo pracy dzisiaj – stęknęła. Gryf coraz mocniej jej ciążył.
- Niech ci będzie. Poległem. Miłego dnia życzę.
- Wzajemnie – odpowiedziała ze zduszonym śmiechem.

I właśnie ten chichot wskazywał mu, że ciągle nie jest u niej na straconej pozycji. Mimo niechętnego nastawienia do niego zachowała swój urok. Nic o niej nie wiedział. Może wynikało to z faktu, że mieszkał na Dębowej dopiero od pięciu lat. Razem z żoną kupili nieduże, ale przytulne mieszkanie na kredyt. To samo gniazdko, w którym Olka dwa lata później zmarła. Powinien był je sprzedać, ale oczywiście wziął je na kredyt we frankach szwajcarskich, więc sprzedając mieszkanie teraz, zostałby jedynie z pokaźnymi długami. I dlatego pozostał w nim, pakując w nie kolejne tysiące i ledwo wiążąc koniec z końcem. Przecież biorąc ten kredyt hipoteczny, nie planowali tak szybkiej śmierci jednego z nich. Mieli je spłacać wspólnie przez trzydzieści lat. Przypomniawszy sobie, jak ich nieco bezczelny doradca kredytowy na koniec transakcji skomentował ich niechęć do wykupienia ubezpieczenia na życie.

– Nie słyszałem, żeby kredytobiorca hipoteczny zmarł w trakcie spłacania kredytu. Co najwyżej miesiąc po spłacie, zatem skoro nie chcecie ubezpieczenia, to nie będę naciskał – zarechotał. Łajdak. A oni po prostu chcieli zaoszczędzić. Odegnął złe myśli. Przypomniawszy sobie, po co tu przyszedł. Dzisiaj miał robić plecy.

†

Na kartce formatu A4 czarnym długopisem napisał wielkimi literami: *RÓŻOKRZYŻOWCY*. Następnie, trochę dla uporządkowania myśli, pogrubiał je. Nie wiedział, czy grzebanie w masońskiej historii ma jakiegokolwiek znaczenie dla tego śledztwa. Ale zainteresował go ten temat, bo przecież sprawa wydawała się dość nietypowa. To nie pijany konkubent zamordował swoją bezzębną partnerkę ani nie rzekomy biznesmen strzelił w lesie do niepokornego współnika. Na szczęście temat wolnomularzy nie interesował go w takim stopniu jak Matuszewskich, którzy przez trzy pokolenia badali te masońskie dokumenty. On zamierzał im poświęcić co najwyżej jeden wieczór.

W sieci znalazł sporo informacji o różokrzyżowcach. Trudno było jednak oddzielić ziarna od plew. Dużo było w tym wszystkim legend, niedopowiedzeń, tajemnic, plotek. Pewne było to, że wiosną 1623 roku w Paryżu ktoś porozwieszał dziwne plakaty z pewnego rodzaju manifestem różokrzyżowców, którzy w ten sposób mieli objawić światu swoje istnienie. W tej odezwie napisano:

My, wysłannicy znakomitego Kolegium Braci Różokrzyżowców, cieszący się łaską Wszechmogącego, ku któremu kierują się serca sprawiedliwych, zarówno widzialnych, jak i niewidzialnych w tym mieście, wykazujemy i uczymy bez ksiązek czy jakichś znaków, jak możliwe jest poznanie wszystkich języków świata, podobnie jak pragniemy uchronić ludzi od błędów i śmierci.

– Co za bełkot. Jak jakaś kiepska reklama przeciętnej szkoły językowej. Szukali pewnie naiwnych, którzy za tę nieistniejącą wiedzę zapłaciliby złotem – powiedział sam do siebie Roger.

Od pewnego czasu nie wierzył żadnym religiom czy sektom. Uważał, że były tylko narzędziami do zdobycia władzy i bogactwa przez ich nawiedzonych głosicieli. Być może Bóg istniał, ale żadna religia, w jego mniemaniu, nie miała na niego monopolu.

Wrócił do przeglądania stron internetowych. Dowiedział się, że ten manifest wywołał spore poruszenie w siedemnastowiecznej Francji. A były to niespokojne czasy wojen religijnych

i kontrreformacji, której przedstawiciele zwalczali wszelkie odstępstwa od wiary katolickiej. Takim właśnie odstępstwem były inne, podobne, również anonimowe manifesty, które pojawiły się w niemieckim Kassel, napisane prawdopodobnie przez jakiegoś luterańskiego, a więc protestanckiego intelektualistę. W dokumencie tym uchylił on rąbka tajemnicy na temat pochodzenia różokrzyżowców. Bractwo to mieli tworzyć różnego rodzaju uczeni: matematycy, architekci, alchemicy, ale także artyści, lekarze, a nawet specjaliści od kabały. Członkowie stowarzyszenia mieli obowiązek pozostać niewidzialni, działać w kręgach przedstawicieli władzy, wpływać na nich i edukować ich dzieci. Miała to być protestancka przeciwwaga dla katolickich jezuitów, którzy też przecież kładli duży nacisk na kształcenie. I z wielu powodów byli równie znienawidzeni w Europie. Nawet w katolickiej Polsce. Ale to już inna historia.

Powrócił do wątku różokrzyżowców. Wspomniane już wcześniej manifesty opowiadały, jak powstało bractwo. Jego założycielem miał być urodzony w 1378 roku Christian Rosenkreuz. Człowiek ów pochodził z biednego, niemieckiego rodu. Jako dziecko trafił do klasztoru, by stamtąd, w wieku szesnastu lat, ruszyć na pielgrzymkę do Ziemi Świętej. Tam po śmierci jego opiekuna miały mu się w końcu otworzyć oczy na prawdę. Wszystko dzięki tamtejszym uczonym, którzy pokazali mu supertajną księgę pod jakże skromnym tytułem *Księga Świata*. Christian strawił na tym i na kolejnych naukach kilka lat, po czym wrócił do Niemiec. Odnalazł swoich trzech dawnych kumpli z klasztoru i przekazał im swoją supertajną wiedzę, następnie założył bractwo z kolejną czwórką wybranych. Potem rozesłał ich po świecie, sam zaś umarł i postarał się o to, żeby nikt nie wiedział, gdzie go pogrzebano. Grób jednak w końcu odnaleziono i to właśnie po tylu latach, ile przepowiedział zmarły (wryto to proroctwo nad miejscem jego pochówku). Naturalnie ciało w ogóle nie poddało się rozkładowi, brakowało już tylko w tym wszystkim zmartwychwstania. Co więcej, Rosenkreuz trzymał w rękach najtajniejszą z ksiąg, która jest podstawą ukrytej wiedzy różokrzyżowców.

Bracia spod znaku różokrzyża, uważający się za gnostyków, uznawali za prawdziwe wszystkie święte księgi: Biblię, Koran itd. Nie przeszkadzało im to jednak w krytyce papieży, biskupów czy nawet samego Mahometa. Ponoć znali też tzw. język Adamowy, czyli pierwotną mowę, którą posługiwali się wszyscy ludzie na Ziemi, zanim Bóg pomieszał im języki pod wieżą Babel. Języka Adamowego nauczył braciszków sam Rosenkreuz. Znajomość tej mowy jest niezbędna, aby odczytać tajny kod ukryty w Biblii. Różokrzyżowcy wierzyli też, że istnieje boski wzór matematyczny, który miałby objaśnić cały Wszechświat...

– I wytypować szóstkę w totolotka. Pewnie dlatego ukrywają go do dzisiaj... – mruknął sam do siebie Roger, ale wrócił do lektury. Wciągnęło go to.

Manifesty różokrzyżowców spowodowały ferment również w Niemczech. Wszystko jednak wskazuje, przynajmniej według sceptyków niewierzących w boskie moce tego bractwa, że był to tak naprawdę żart pewnego pastora luterańskiego, który nie sądził, że jego słowa staną się ciałem i faktycznie powstaną różne stowarzyszenia nawiązujące do mitycznych różokrzyżowców. Takie organizacje istnieją do dziś, również w Polsce.

– Trzeba będzie je sprawdzić. Zlecę to Aśce – powiedział do siebie coraz bardziej znużony Roger.

Na koniec wpisał w wyszukiwarce: Mieczysław Matuszewski. Dowiedział się, że profesor, urodzony w 1910 roku, był wybitnym historykiem, choć pochodził ze skromnej, chłopskiej rodziny. Przed wojną zdążył się doktoryzować na Uniwersytecie w Poznaniu. Po kampanii wrześniowej ukrywał się przed Niemcami. Sympatyzował z komunistami, działał w Polskiej Partii Robotniczej, dlatego też w 1945 roku pozwolono mu na zbadanie kolekcji dokumentów masońskich, zgromadzonych przez Heinricha Himmlera w Sławie Śląskiej.

– Teściu się pomylił. Chodziło o Sławę, a nie o Środę Śląską – mruknął sam do siebie Roger z lekką nutką satysfakcji, że uważający się za nieomylnego pułkownik tym razem nie miał racji. Po chwili wrócił do czytania.

Jak się dowiedział dalej, Matuszewskiemu udało się przekonać tamtejszego dowódcę wojsk radzieckich, że owe dokumenty nie stanowią większej wartości dla Związku Radzieckiego. Aż dziw, że te pazerne żołdacy uwierzyły w to. W związku z tym wydano mu zgodę na przeniesienie zbioru do

Poznania. Następne lata Mieczysław Matuszewski spędził na porządkowaniu i badaniu zdobycznego archiwum, które to czynności trwają do dziś. Do tej pory jego działalność kontynuowali jego syn i wnuczka. Kontynuowali, bo wnuczkę ktoś pozbawił życia. Natomiast sam protoplasta rodu, Mieczysław Matuszewski, zmarł na początku lat osiemdziesiątych z przyczyn jak najbardziej naturalnych.

19 sierpnia 2014, wtorek,
Poznań

Nie mogło być inaczej. Grażynka Orłowska czekała na niego pod blokiem ze swoim brzydkim psem. Oboje byli doskonałym przykładem na to, że prawdą jest powiedzenie, że człowiek bierze sobie psa na swoje podobieństwo. Jej kundelek, zupełnie jak ona, był nieświeży i skołtuniony. I fałszywie lgnął do ludzi, aby ich następnie ugryźć. Jak jego właścicielka, której czarne włosy z siwymi odrostami tym razem nie były spięte różową, plastikową klamrą, rozwiewał je tylko na wszystkie strony wiatr. Roger modlił się w duchu, aby żaden jej kołtun go nie sięgnął. A tymczasem kobieta zbliżała się do niego, w jednej ręce ściskając smycz, a w drugiej jakąś zwiniętą w rulon gazetę.

– Panie władzo, panie władzo! – krzyczała podniecona.

– Witam, pani Orłowska – odpowiedział zrezygowany. Wiedział, że już nie zdąży przed nią uciec.

– Witam, witam. Doszły mnie straszne wieści! Wprost nie mogę w to uwierzyć. Chyba wojna będzie.

– O co znowu chodzi, pani Orłowska? – zapytał wyraźnie zmęczony. Czy każdy swój dzień musi zaczynać od rozmowy z tą jędzą?

– Masoni zabijają w Poznaniu! Zabili tą profesorkę!

Słyszając te rewelacje, Roger mimowolnie westchnął. Tabloidy zdążyły już opisać sprawę profesor Staroń, bazując na niesprawdzonych pogłoskach. I choć znał odpowiedź na pytanie, zdecydował się je zadać.

– Skąd ten pomysł?

To pytanie prędko okazało się błędem. Grażynka Orłowska nachyliła się do niego, rozprostowując zgiętą gazetę. Jej skołtuniony włos dotknął jego policzka. Cofnął się o pół kroku.

– O, tu piszą, że zajmowała się masonami. Pisała o nich książki. I oni ją zabili. Bo była niewygodna. Bo za dużo wiedziała.

– Niech pani da spokój. To tylko szmatława gazeta...

– To pan władza nic nie wie? Nigdy nie słyszał o światowym spisku iluminatów? Mają nas wszystkich zacić i jeszcze bardziej wyzyskiwać, czego, mówiąc szczerze, nie mogę sobie wyobrazić, patrząc na nasze niskie emerytury – powiedziała Orłowska, mając na myśli głównie swoje dochody.

– Niech pani da spokój. Muszę jechać do pracy.

– Pan władza zajmuje się tą sprawą, prawda? – nie ustępowała.

– Nie mogę tego pani powiedzieć.

– Pan władza jest prawy człowiek. Niech pan uważa na siebie. Masoni już na pana czyhają, bo wszedł im pan w drogę. Na pewno pana śledzą.

– Wariactwa.

– Żadne wariactwa. Ja ich znam... Czytam, to wiem. Pan władza też powinien coś poczytać. Masoni służą szatanowi! – krzyczała Orłowska, wyrzucając z siebie strużkę śliny.

Zrobiło mu się niedobrze.

– W porządku, poczytam, ale nie teraz. Proszę jednak mnie puścić, bo się spóźnię.

– Dobrze, ale niech pan władza na siebie uważa. Z masonami lepiej nie zadzierać! Będę się za pana modlić! Mam przewagę nad nimi, bo oni się nie modlą! Chyba że do szatana... – powiedziała z dzikim błyskiem w oku.

†

Wszedł do swojego zagraconego biura i pierwszą osobą, którą zobaczył, była ruda Aśka. Coś nowego. Minę miała jednak nietęgą. Domyślił się dlaczego. Prawdopodobnie nie była zadowolona z efektu wczorajszej koloryzacji włosów. Jak znał kobiety, chciała uzyskać jakiś inny odcień,

a tymczasem wyszedł jej ognisty rudy. Obok niej siedział wysoki i szczupły Kafel. Nerwowo ruszał nogą. Jego włosy były wyżełowane do granic możliwości. Czyżby zaraz po pracy wybierał się na randkę? Prawda była taka, że Roger nic nie wiedział o życiu osobistym Kafla. Adrian nigdy o nim nie opowiadał. Spojrzał na niego jeszcze raz. I wtedy zwątpił w jego ewentualne randkowanie, bowiem Kafel jak zwykle nałożył sobie na twarz swoją standardową, posępną minę. Wyglądał tak, jakby codziennie ktoś mu umierał. A nie tak, jakby z kimś się spotykał. Nie, Kafel nie mógł mieć dziewczyny. Ani żadnej kandydatki na nią. Za bardzo odpychał od siebie innych ludzi.

– Co macie takie miny, jakby ktoś wam umarł? – zagaił Roger.

– Zawsze mam taką minę – powiedział Kafel, prawie nie poruszając ustami.

Roger spodziewał się takiej odpowiedzi. Zignorował to:

– A ty, Joanno?

– Joanno? Kiedy ostatnio mnie tak nazwałeś? Byłam u fryzjerki. Mało brakowało, a to ona by wczoraj umarła.

– Byłaś u fryzjera? To chyba powinnaś być zadowolona? Nowa fryzura i takie tam? Tymczasem widzę smutną minę – powiedział z lekkim rozbawieniem Roger.

– Z czego mam być zadowolona?! Przecież ta blond mała obiecała mi kasztanowy na włosach, a wyszedł jej ognisty rudy. Taka z niej fryzjerka, jak ze mnie śpiewaczka operowa – marudziła Aśka.

– Daj spokój. Nie jest źle. Zawsze mogło być gorzej.

– Tak? Niby jak? – powątpiewała policjantka. Miała ochotę zapaść się pod ziemię.

– Mogła cię ogolić na łyso.

– Widzę, że humor dopisuje – parsknęła ze złością. – Ale chyba nie na długo. Bo stary się wścieka. Ponoć są naciski, żeby sprawę Staroniowej rozwiązać jak najszybciej. Bo media, bo ofiara z wpływowej rodzinki, bo masoni. Pewnie jakby mnie szlag trafił, to nikt by się tym nie przejął.

– Daj spokój, Aśka. – Znał doskonale jej nieciekawą sytuację rodzinną. Policjantka uważała się za opuszczoną przez wszystkich, którzy powinni przy niej niewzruszenie trwać. – My byśmy się przejęli. A Kafel miałby jeszcze posępniejszą minę niż zwykle, jeżeli w ogóle to możliwe... Powiedzcie mi lepiej, co ustaliliście?

– Dostałam billingi ofiary.

– Szybko – powiedział z uznaniem Roger.

– Znasz mnie, nie próżnuję. Ktoś mi pomógł... Zresztą, nieważne... Zdążyłam je pobieżnie przeanalizować. Kontaktowała się głównie z mężem, dziećmi i ojcem. Były również kontakty służbowe.

– A z siostrą?

– Rzadko.

– Co z SMS-ami?

– Przejrzałam zawartość jej telefonu. Bardzo mało wysyłała. Chyba nie lubiła ich pisać. Ale w dniu śmierci było ich więcej niż zwykle. Pisała z kimś, kogo nie potrafię zidentyfikować. Tego numeru nie miała zapisanego w komórce. Poza tym to prepaid – powiedziała zrezygnowanym głosem.

– Morderca mógł wykasować swój numer z opisem z jej telefonu. Albo profesorka miała zapisany inny numer do tej osoby, a tego drugiego nie, bo na przykład był rzadziej używany przez zabójcę. Albo nie zapisała go celowo... Zresztą... Możesz zacytować tę konwersację?

– Proszę – podała mu swój wczorajszy raport. – Przeczytaj sobie.

SMS z 14.08.2015, g. 17:01,

wysłany przez prof. Staroń-Matuszewską:

To gdzie się spotkamy? I o której?

SMS z g. 17:04,

wysłany przez nieznaną osobę:
Proponuję Okrągłak.
O 19.00. Zdązysz?

SMS z g. 17:08,

prof. Staroń:

Późno, ale niech ci będzie.

Mam dzisiaj dobry dzień.

SMS z g. 19:15,

prof. Staroń:

Gdzie jesteś?

Siedzę w Rotondo,

a chcą już zamykać.

Marnujesz mój czas.

SMS z g. 19:17,

nieznana osoba:

Daj spokój z Rotondo.

Czekam na ostatnim piętrze

przed wejściem na taras.

Chcę porozmawiać na osobności.

Masz kartę?

SMS z g. 19:18,

prof. Staroń:

Mam. Drażnisz mnie.

SMS z g. 19:20,

nieznana osoba:

Wiem. I co w związku z tym?

SMS z g. 19:23,

prof. Staroń:

Moja strata.

Niechętnie,

ale zaraz tam będę.

– A zatem Staroniowa była umówiona w Okrąglaku z mordercą. Bo kto inny by ją załatwił na tym tarasie, jak nie autor tych wiadomości? – powiedział sam do siebie Roger. – Kafel, sprawdź zapisy kamer monitoringu miejskiego zlokalizowanych w pobliżu Okrąglaka. Zaczynaj, powiedzmy od godziny dziewiętnastej, a skończ kwadrans po dwudziestej. Chcę mieć zdjęcia wszystkich osób wchodzących w tym czasie do tego budynku. Aśka, czy ten pajac z Okrąglaka przysłał ci listę osób tam pracujących?

– Jeszcze nie. Ma to zrobić dzisiaj do południa.

– To dobrze. Tymczasem zrób coś dla mnie. Dowiedz się czegoś więcej o polskich różokrzyżowcach, zwłaszcza tych poznańskich.

– Różo... co? – Aśka nie była pewna, czy dobrze zrozumiała polecenie.

– Różokrzyżowcy. Nimi zajmowała się nasza ofiara – powiedział Roger, po czym streścił im to, co wczoraj wyczytał w Internecie na temat tego odłamu masonerii. Na koniec dodał:

– Chcę się dowiedzieć, czy w Poznaniu działają jacyś różokrzyżowcy.

– Zrobi się – odparła Aśka.

– Kafel, opowiedz mi o swojej rozmowie z nianią?

– Pewnie to cię nie zdziwi, ale nie zeznała nic odkrywczego. Pracuje dla Staroniów od niedawna. Zeznała, że nie zarejestrowała jakichś większych kłótni. Ponoć obydwójce dość dużo pracowali i mało ze sobą rozmawiali. Typowe dla zapracowanych małżonków z klasy średniej. – Ostatnie zdanie zaskoczyło Rogera. Kafel bawił się w socjologa? A może nie przepadał za ludźmi stosunkowo zamożnymi?

– W porządku. Masz rację, nie zaskoczyło mnie to. Ja teraz wybieram się do ojca ofiary. Potem zabiorę jedno z was do siostry profesorki. Tymczasem zajmijcie się zleconymi zadaniami – powiedział Roger, po czym wyszedł z pokoju.

†

Poznańskie Archiwum Państwowe usytuowane było w jednym z narożników Placu Wielkopolskiego, który na co dzień zamieniał się w targowisko warzywno-owocowe, chętnie odwiedzane przez mieszkańców miasta. Większa część historycznej zabudowy wokół placu została zniszczona podczas II wojny światowej. Ostała się tylko jedna kamienica i to właśnie w tym budynku znajdowało się archiwum. Był to wielki, ciemnoszary, pruski kloc, przytłaczający otoczenie swoją ciężkością. W niektórych miejscach był pokryty zielonym nalotem, co wyglądało tak, jakby zzieleniał ze złości, że Poznań mimo usilnych starań Niemców ostał się przy Polsce. Z drugiej strony, mimo swojej rzekomej nieprzyjazności, gmach sprawiał wrażenie solidnego i bezpiecznego dla każdego, kto przekraczał jego próg. Nie inne odczucie miał tego dnia Roger, wchodząc do budynku. W środku pokazał starszemu portierowi legitymację policyjną, a ten pokierował go dalej, do gabinetu profesora Matuszewskiego. Roger był zdziwiony, że dzień po tym, jak się dowiedział o zamordowaniu ukochanej córki, dyrektor archiwum nie wziął sobie wolnego. Swoimi wątpliwościami podzielił się z portierem.

– Czy to nie dziwne, że dyrektor pojawił się w pracy w takim dniu? Wczoraj dowiedział się przecież o śmierci swojego dziecka. Pan by przyszedł?

– Ja może nie, ale nie przypominam sobie, żeby profesor kiedykolwiek był na zwolnieniu lekarskim, a pracuję tu bardzo długo. Mówią, że robota to dla niego świętość. Potrafi oddzielić od tego sprawy osobiste, nawet jeśli są to tragiczne wydarzenia – stwierdził filozoficznie siwy portier.

Roger spojrzął na szafkę, która znajdowała się za mężczyzną. Leżał na niej stosik książek. Zaczni dozorca pracują w tym archiwum. Roger uśmiechnął się do portiera i bez słowa udał się do gabinetu profesora.

Pomieszczenie, w którym rezydował profesor Michał Matuszewski było sporych rozmiarów,

choć jak na gust Rogera zbyt ciemne i wilgotne. Pruski duch, pomimo polskiego wnętrza, ciągle wypełniał to gmaszysko.

– Roger Kalita. Policja – przedstawił się.

– Witam pana – powiedział bardzo zmęczonym głosem profesor. Ostatnie, tragiczne wydarzenia dodały mu kilkanaście lat. Jeszcze w zeszłym tygodniu wcale nie wyglądał na swój wiek. Ludzie, którzy go nie znali, zazwyczaj dawali mu o jakieś dziesięć lat mniej, niż miał w rzeczywistości. Był rześki, dużo spacerował, trochę biegał. Swoją energią zarażał sąsiadów i podwładnych. A dziś po raz pierwszy w życiu miał problem ze wstaniem z łóżka. I poczuł się naprawdę staro. Naszła go nieznośna refleksja, że może jednak już czas oddać pole działania młodszym. Potem jednak zdał sobie sprawę, że gdyby miał siedzieć w domu i myśleć o śmierci Małgosi, zwariowałby. Może zatem dobrze, że ma jeszcze tę pracę.

– Domyśla się pan, co mnie tutaj sprowadza? – zagaił Roger.

– Domyślam się, niestety. Niech pan usiądzie. Napije się pan czegoś? Może coś mocniejszego?

– Nie, dziękuję.

– W porządku. Pewnie wam tego zabraniają. Roger Kalita? Ciekawe imię. Roger. Skąd się wzięło?

– Moja matka była fanką aktorskiego talentu Rogera Moore’a. James Bond i Święty. Pewnie pan profesor zna te postacie?

– Kto by nie znał. Pana matka była chyba fanką jego powierzchowności, a nie talentu aktorskiego – powątpiewał profesor, pozwalając sobie na lekki uśmiech, za który za chwilę skarcił się w myślach. Nie powinien był się uśmiechać. Nie dzisiaj.

– Być może – powiedział wymijająco Roger. Nie chciał wspominać teraz matki. – Niech pan profesor lepiej opowie mi coś o swojej córce Małgorzacie.

– Ciężko mi o niej teraz mówić. Zwłaszcza w czasie przeszłym. Była moją iskierką i największą dumą. Była piekielnie inteligentna. Liceum zrobiła w trzy zamiast w cztery lata. Podobnie było ze studiami. Pięć lat zrobiła w trzy. Znakomitą pracę magisterską obroniła w wieku dwudziestu jeden lat. Dwa lata później doktoryzowała się. A w wieku dwudziestu siedmiu lat zrobiła habilitację. Doszło do tego, że jej młodszą o cztery lata siostra stała się jej doktorantką.

– Imponujące. Musiał być pan dumny z córki.

– Owszem. A kto by nie był? Inni ojcowie zazwyczaj rozmawiają ze swoimi córkami o sprawach rodzinnych, ogólnych. Ja natomiast mogłem porozmawiać z nią nie tylko o wnukach, ale też o mojej największej pasji – historii, ponieważ ona tę moją pasję podzielała. Zyczę panu tego. Ma pan dziecko? – zapytał nagle profesor.

– Tak, syna. Ale ma dopiero pięć lat.

– Wszystko przed wami. Bycie ojcem to najważniejsza rola w życiu mężczyzny. Kiedyś pan to zrozumie.

– Już to rozumiem. Ale porozmawiajmy teraz o pana drugiej córce – Magdalenie – zmienił temat Roger. Policjant zauważył, że profesor niechętnie przyjął tę zmianę. Młodsza Matuszewska nie była taką chlubą profesora jak Małgorzata?

– Nie rozumiem pytania. Przecież to nie ją zabito – powiedział oschle profesor.

Roger wyczuł teraz w jego głosie wielkie rozczarowanie młodszą córką.

– To może być istotne dla policji – podkreślił Kalita.

– Skoro pan nalega... – westchnął profesor, po czym kontynuował: – Magdalena nie była tak zdolna jak Małgorzata. Uczyła się dobrze, ale bez większych sukcesów. Liceum skończyła, można rzec, ustawowo, w cztery lata. Nie chciała iść na historię, tylko na jakieś religioznawstwo albo pedagogikę. Ja miałbym mieć córkę katechetkę albo przedszkolankę? Jeszcze czego! Razem z Małgorzatą namówiliśmy ją na zmianę decyzji i studiowanie historii. I może to był błąd. Przeszła przez studia niezauważenie i będąc niezauważoną. Następnie namówiłem ją na doktorat, a ona mi się nawet nie sprzeciwiła, co trochę mnie rozeźliło, bo jak dla mnie świadczyło o braku charakteru...

Co za ojciec – pomyślał Roger. – Tak wyrażać się o córce, nawet jeśli nie należała do jego ulubienic! – Te myśli pozostawił jednak dla siebie i słuchał dalej wywodu profesora.

– Małgorzata była sceptycznie nastawiona do mojego pomysłu. Mówiła, że Magda nie da sobie rady. Ja jednak się uparłem i nalegałem, żeby Małgorzata wzięła ją pod swoje skrzydła. Ustąpiła, chociaż okazało się, że to ona miała rację. Najpierw Magdalena uparła się na temat pracy dotyczący czarownic, a potem zamiast pracować, sporo balowała i udzielała się towarzysko. Nie przyniosło jej to nic dobrego. Ani doktoratu, ani męża. Do dziś jest samotna.

– Praca dotycząca czarownic?

– Tak, córka postanowiła napisać pracę poświęconą osławionemu H-Sonderkommando. Wie pan co to jest?

– Nie bardzo.

– Mogłem się tego spodziewać... – Roger miał ochotę sprowadzić profesorka do parteru, ale powstrzymał się. Pozwolił sobie tylko na to:

– Nie jestem historykiem. Nie muszę wszystkiego wiedzieć.

– W porządku. Czasami zapominam, że nie wszyscy moi rozmówcy to archiwiści albo chociaż studenci historii. H-Sonderkommando powstało na zlecenie Heinricha Himmlera, można rzec niezbyt apetycznego *crème de la crème* nazistowskiej władzy. – Profesor dojrzał lekki błysk niezrozumienia w oku Rogera. Lekko westchnął i dopowiedział: – Himmler był, mówiąc bardzo skrótowo, twórcą SS – jednej z najbardziej zbrodniczych organizacji w dziejach świata. I ten oto człowiek stworzył w jej ramach H-Sonderkommando – ośmioosobowy zespół odpowiedzialny za gromadzenie archiwaliów dotyczących procesów o czary na przestrzeni wielu stuleci. Zaczęli od dziewiątego wieku, a skończyli na 1936 roku. Początkowo grupa ta gromadziła jedynie dokumenty pochodzące z terenów ówczesnych Niemiec, potem jednak ich zainteresowania badawcze rozszerzyły się na cały świat. I co ciekawe, dokumenty te są w naszym, poznańskim archiwum. Udało nam się je przejąć po wojnie.

– Fascynujące. Ale po co Himmler to zbierał? – dociekał Roger. Zawsze myślał, że SS pochłonięte było głównie mordowaniem ku chwale Hitlera, a nie zbieraniem zatęchłych dokumentów.

– Celne pytanie. Himmler szczerze nienawidził chrześcijaństwa i uważał, że rzekome czarownice, sądzone w całej Europie, są ofiarami Kościoła. Widział w nich prawdziwe Germanki, które przechowywały wiedzę o starych zwyczajach, wierzeniach i dziejach ich ludu w czasach, kiedy chrześcijaństwo dopiero się rodziło. Kościół, według Himmlera, miał rzekomo wypłenić germańskiego ducha z niemieckiego narodu, zabijając te kobiety. Czarownice były dla Himmlera doskonałym narzędziem do oczerniania chrześcijaństwa. Być może zbierał te materiały, aby po wojnie zrobić masową nagonkę na Kościół i w konsekwencji go zniszczyć. Ale jak wiemy, pan Bóg na to nie pozwolił!

– Ciekawy temat. Tym bardziej nie rozumiem, dlaczego nie chciał pan pozwolić młodszej córce, by się tym zajmowała?

– Magdalena, jakby to określić, była i jest dość infantylna. Ubzdurała sobie, że Himmlera fascynował temat czarownic z powodu jego niedoszłej bratowej, Pauli Stözlle, której miał pożądać, jednocześnie uważając ją za wiedźmę. Z powodu tej fascynacji miał sam siebie nienawidzić, ponieważ Paula nie posiadała cech typowej matki Niemki, dla której miało się liczyć trzy razy K, czyli *Kirche, Kinder und Küche*. Wie pan, co to znaczy? – upewniał się profesor.

– Tak. Kościół, dzieci i kuchnia.

– Doskonale. Wróćmy jednak do meritum. Paula Stözlle była dość niezależna i wyzwolona jak na tamte czasy. Magdalena uważała, że Himmler zakochał się w swojej niedoszłej bratowej, ale nie potrafił się z tym pogodzić. Według jej bezpodstawnych przypuszczeń ten zwyrodnialec sądził, że Paula była czarownicą i rzuciła na niego i jego brata urok. Według Magdaleny stworzył to Sonderkommando tylko po to, aby dowiedzieć się, w jaki sposób uwolnić się od czaru rzuconego na niego przed laty przez Paulę. On, prawdziwy Aryjczyk, powinien pragnąć prawdziwej, oddanej ojczyźnie i mężowi Niemki, a nie wyzwolonej wiedźmy. Przyzna pan, że ta teoria mojej córki brzmi niedorzecznie i zbyt pretensjonalnie. Zwłaszcza że Himmler ożenił się, a potem dołożył sobie jeszcze długoletnią kochankę. Obie mieszkały niedaleko siebie, dzięki czemu twórca SS bez większych wyrzeczeń żył na dwa domy. Na pewno nie miał czasu na wspomnianie Pauli Stözlle.

– Nie zgodzę się. Żona czy kochanka nie mają wpływu na to, że przez całe późniejsze życie

mężczyźnie zdarza się od czasu do czasu wspominać swoją pierwszą miłość. Himmler był mimo wszystko człowiekiem, mogli nim, jak to piszą poeci, targać namiętności, więc wszystko jest możliwe.

– Nie jest pan historykiem i nic pan nie wie na ten temat – powiedział surowo profesor, po czym złagodniał. – Proszę wybaczyć. Czasem jestem zbyt ostry. Wracając jednak do moich córek, Małgorzata próbowała wyperswadować Magdalenie tę niedorzeczną hipotezę, ale ta nie chciała słuchać. W końcu moja starsza córka zrezygnowała ze współpracy z Magdą. Siostry mocno się pokłóciły i każda poszła w swoją stronę.

– Czyli jednak Magdalena nie ma tak słabego charakteru, jak pan to sugeruje? – Roger pozwolił sobie na złośliwość.

– Jak dla mnie ma. Nie dość, że nie skończyła doktoratu, to jeszcze rozstała się ze swoim narzeczonym i jak już mówiłem, do dziś jest samotna. Nic nie osiągnęła. Ani kariery, ani rodziny. – Roger poczuł złość na profesora. Ostre słowa Matuszewskiego przywołały mu wspomnienia dotyczące jego matki. Ona też nic nie osiągnęła. Ani kariery, ani rodziny. Tylko zbyt szybko umarła.

– Czy ma pan jeszcze jakieś pytania? – dodał po chwili nieco znużony rozmową profesor. Chciał jak najszybciej wrócić do pracy, aby choć na chwilę zapomnieć o śmierci Gosi.

– Tak, proszę powiedzieć, kiedy ostatnio widział się pan z córkami?

– Małgorzata była u mnie na niedzielnym obiedzie tydzień temu. Magdaleny nie widziałem od kilku miesięcy. Pokłóciliśmy się.

– O co? – zainteresował się Roger.

Profesor nie odpowiedział od razu. Wyglądało to tak, jakby potrzebował chwili, aby zebrać myśli.

– O ten jej nieszczęsny doktorat. Zebrało jej się na wspominki. Stwierdziła, że całe życie robiła to, czego od niej oczekiwałem, ale nie byłem w stanie powstrzymać Małgorzaty, która rzekomo zniszczyła jej życie. Jak zwykle ją oczerniała i nie widziała winy w sobie. Na co jej były te czarownice? Nie mogła sobie wybrać czegoś łatwiejszego? – wyrzucił z siebie profesor. Miał już serdecznie dosyć tej rozmowy.

– Nie dzwoniła do pana wczoraj?

– Dzwoniła, ale nasza rozmowa nie była zbyt długa.

– Dlaczego?

– Kiedy zapytałem ją, czy pomoże mi i mojemu zięciowi w organizacji pogrzebu, odmówiła. I to ma być dobra siostra i córka?! – powiedział z wyrzutem profesor.

†

Zakład Medycyny Sądowej w Poznaniu był częścią Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego, a jego siedziba znajdowała się między ślepą uliczką Heliodora Święcickiego a ulicą Śniadeckich. Żółty, słoneczny kolor tynku tego kompleksu budynków zdawał się swoim zbyt optymistycznym odcieniem skrywać fakt, że w samym jego sercu umiejscowiono prosektorium. Już sama uliczka Święcickiego, jakby na siłę upchnięta na tyłach Międzynarodowych Targów Poznańskich, odstręczała od spacerów, zwłaszcza że wieczorami balowała tu miejscowa żuleria, o czym świadczyły pozostawione puste butelki po mocniejszych trunkach. Za to ulica Śniadeckich prezentowała się o niebo lepiej. I to z tej strony najczęściej docierali zmierzający na uniwersytet studenci i pracownicy naukowci.

Roger Kalita nie dał się zwieść radosnej barwie elewacji budynku, w którym znajdowało się prosektorium. Często tam bywał. Prawie zawsze przy okazji morderstw. W środku czekał już na niego doktor Andrzej Krępski, doświadczony medyk sądowy o wyglądzie przeciętnego księgowego. Jednakże pod tą nieciekawą, mikrą powłoką oraz dużymi okularami krył się wielki duch i wulkan energii.

– Hej, panie Rogerze! – wykrzyknął na jego widok z uśmiechem. – Miło cię widzieć w tych niemiłych okolicznościach przyrody – powiedział energicznie doktor, po czym tak mocno ucisnął rękę policjanta, że prawie ją zmiądzzył.

Roger starał się tego po sobie nie pokazywać. Tylko lekko się skrzywił. Zapomniał, że Krępski w młodości trenował podnoszenie ciężarów. W kategorii wagi piórkowej, ale zawsze.

– Co to za mina? A jak w życiu osobistym? – Doktor Krępski zawsze o to pytał, nie kryjąc

szczerego zainteresowania losami swoich rozmówców. Interesowały go perypetie ludzi żyjących, bo jak mawiał:

– Za życia interesują mnie dusze ludzi, a po śmierci ich ciała. – To motto życiowe doktora zazwyczaj wprawiało w konsternację ludzi, którzy ledwie go poznali, ale ci, co mieli już z nim do czynienia, przyjmowali to zdanie z rozbawieniem.

– Dobrze, panie doktorze.

– To znaczy, że jest jakaś kobieta? – Doktor Krępski znany był również ze swojej bezpośredniości i uwielbienia dla płci przeciwnej.

– Nie – zaprzeczył Kalita.

– Panie Rogerze, nie ma na co czekać. Każdego dnia jesteśmy bliżej nieuniknionego. Przypomina mi o tym codziennie moja praca. Dlatego ja nie czekam. Czekanie zawsze kończy się śmiercią...

– Nieczekanie też.

– Ale nieczekanie jest przyjemniejsze. Pan Roger pewnie do mnie w związku z tą ślicznotką? – przeszedł do konkretów Krępski.

– Mowa o profesor Staroń-Matuszewskiej? Nie wiem, czy nazwałbym ją ślicznotką – powątpiewał Roger.

– Większość moich klientów to ludzie po siedemdziesiątce i starsi. Dlatego dla mnie jest ślicznotką... Ale może przejdźmy do sali. – Doktor Krępski otworzył drzwi do prosektorium, przepuszczając wpierw Rogera. Kalita czuł się nieswojo w zakładzie medycyny sądowej. Pamiętał swoją pierwszą wizytę tutaj wiele lat temu. Był wtedy dzieckiem i przyjechał do prosektorium z babcią. Zawsze się zastanawiał, dlaczego wtedy wzięła go ze sobą. Pewnie dlatego, że nie miała go z kim zostawić. Od tamtej pory nie cierpiał tego miejsca. Niestety, praca zmuszała go do stosunkowo częstych wizyt. Ta nieznośna cisza i zapach za każdym razem budziły w nim dawne koszmary.

– Proszę powiedzieć, co pan ustalił. Nie mam za dużo czasu – niecierpliwił się Roger. Lubił, kiedy Krępski sypał anegdotami jak z rękawa, ale nie dzisiaj.

– Wszyscy tak mówią. I coś w tym jest. Żaden z nas nie ma zbyt wiele czasu na życie, panie Rogerze. Okres, w którym istniejemy, jest tak krótki, gdy porówna się go do czasu, w którym nie istniejemy. Ale dosyć tego mojego filozofowania. Co tu dużo mówić... Ofiara została uduszona poprzez zadławienie, czyli w wyniku ucisku na szyję. Świadczą o tym sinawe zabarwienie twarzy, sinica na bocznych powierzchniach szyi, wybroczyny pod spojówkami i w jamie ustnej. Narządy wewnętrzne były przekrwione, poza śledzioną, która obkurczyła się. Poza tym złamana kość gnykowa i chrząstka tarczowata świadczą o tym, że ofiara została zamordowana przez uduszenie właśnie.

– A pozostałe obrażenia?

– Na szczęście dla ofiary okaleczona została już po śmierci. Nie rozumiem, po co morderca zadał sobie tyle trudu. Trochę mu zajęło zrobienie tych nacięć i rozłupanie jej kolan. *Notabene* zrobił to siekierką. Narzędzie nie musiało być dużych rozmiarów, dzięki temu mógł je ukryć na przykład pod szeroką bluzą lub w plecaku, tak że nikt go nie zauważył.

– Kiedy nastąpił zgon?

– We czwartek wieczorem, między dwudziestą a dwudziestą drugą.

– Czy została zgwałcona? – pytał dalej Roger.

– Nie stwierdzono śladów spermy. Ofiara na pewno nie współżyła na dobę przed śmiercią.

– Broniła się?

– Nie. Prawdopodobnie знаła sprawcę – powiedział Krępski. – Może chociaż herbatki się pan napije? Mrożonej.

– Nie, panie doktorze. Spieszę się, mam dużo pracy w związku z tym morderstwem – wymigał się Roger, chociaż może rozmowa z Krępskim przy szklance mrożonej herbaty poprawiłaby mu humor.

†

Roger, otwierając Aśce drzwi samochodu, zauważył, że policjantka swoje ogniste, rude włosy splotła w warkocz, tak jakby chciała je skrzętnie ukryć. Mimo że miał ochotę, nie skomentował tego.

– Byłem u profesorka – zagał. – Miałem wrażenie, że wolałby, aby zamordowano jego młodszą córkę, a nie Małgorzatę. Był skłócony z Magdaleną, a siostry ze sobą. Poszło o doktorat. Małgorzata nie chciała zgodzić się na temat pracy siostry i ją udupila. Wątpię jednak, czy to wystarczający motyw.

– Może ten doktorat był jej całym życiem? – zauważyła bez przekonania Aśka.

– Właśnie nie. Ojciec namawiał Magdalenę, żeby zrobiła doktorat. Marzyły mu się dwie córki historyczki, ale ta młodsza wcale nie miała parcia na karierę naukową. Do tego nalegał, żeby Magdalena zrobiła doktorat u starszej siostry. Nie skończyło się to najlepiej.

– Apodyktyczny profesorek.

– Na to wygląda. Magdalena chciała pisać pracę dotyczącą czarownic. Ich akta zbierał przez lata Heinrich Himmler i jego ekipa, którą stworzył specjalnie w tym celu. Miało mu to dać argument do tępienia chrześcijaństwa. Tak się powszechnie uważa. I tak sądzi pan profesor. Tymczasem Magdalena Matuszewska uważała, że Himmler tropił czarownice z powodu obsesji seksualnej, którą miał na punkcie swojej niedoszłej bratowej.

– Bardzo przekombinowane, ale i przyziemne – zauważyła Aśka. – Jednak życie często bywa przyziemne, a nami targają namiętności. Dlaczego miałyby być inaczej w przypadku Himmlera?

– Nie wiem. Ale pan profesor i ofiara byli pewni, że Magdalena się myli i nie pozwolili jej na napisanie doktoratu z tak odważną tezą. Kobieta dała sobie spokój. A ty, co ustaliłaś? Zaczniemy może od różokrzyżowców.

– Zapewne cię to nie zdziwi, ale różokrzyżowcy działają również w Polsce. Mają swoje ośrodki w Krakowie, Katowicach, Warszawie, Wrocławiu, Koszalinie i Wieluniu. W Poznaniu formalnie nie działają, natomiast wszystko wskazuje na to, że kilku, może kilkunastu różokrzyżowców mieszka w naszym mieście.

– Trzeba będzie ich sprawdzić, chociaż nie teraz. Mamy obecnie inne priorytety. Co u Grzesia Staronia? Obserwacja, mam nadzieję, trwa w najlepsze?

– Oczywiście. Chociaż u niego nic specjalnego. Pracuje, szykuje pogrzeb i pije – wymieniła beznamiętnie Aśka.

Nie uszło to jego uwagi, co z przekąsem zaraz skomentował:

– No tak, jakby szykowanie pogrzebu było codziennością.

– Nie bądź złośliwy. W jego obecnej sytuacji jest codziennością – powiedziała Aśka, wyraźnie zła. Coś musiało się u niej niedobrego stać.

– U ciebie wszystko w porządku? – próbował to ustalić Roger.

Aśka jeszcze bardziej spochmurniała, słysząc tak bezpośrednie pytanie. Przez chwilę milczała, starając się dobrać odpowiednio neutralne słowa.

– Zażądał widzeń z córką – wydusiła z siebie. Mówiła o ojcu swojego dziecka. Tym samym mężczyźnie, który chciał jej dać pieniądze na nielegalny zabieg aborcji. Nie chciał odejść od żony i nie chciał dziecka z kochanką.

– A co na to żona?

– Są w trakcie rozwodu.

– Rozwodzą się? Nic nie mówiłaś – zdziwił się Roger. To była dla niego pewna nowość.

– Poznał jakąś plastikową lalę. I dla niej chce się rozwieść... – Usłyszał wyraźny żal w jej głosie.

Jej dawny kochanek nie chciał dla niej odejść od żony, ale dla innej zdecydował się na ten krok. Musiało ją to zboleć, ale słusznie przeczuwał, że nie zamierza tego roztrząsać. Wolała się skupić na sprawie Staroniowej.

– Wróćmy do naszej sprawy. Ten pajac z Okrąglaka przysłał listę pracowników. Mam ją przy sobie. Chcesz rzucić okiem?

– Zaraz. Muszę gdzieś zajechać – odparł Roger.

Przejechali kilkaset metrów, zanim zauważył wolne miejsce przed niewielkim sklepem z odzieżą. Włączył kierunkowskaz, następnie szybko i sprawnie zaparkował samochód.

– Chcesz mi kupić jakąś kieckę na poprawę humoru? – zażartowała Aśka.

– Może jak dostanę podwyżkę. Podaj mi listę, rudowłosa – wypalił Roger.

Aśka spiorunowała go wzrokiem i podała kartkę. Roger rzucił okiem na kolumnę nazwisk. Nic mu one nie mówiły. Do czasu. Nagle poczuł ukłucie zaskoczenia i zaraz po nim falę nieprzyjemnego ciepła. Nie wierzył własnym oczom. Na liście pracowników Okrąglaka widniała Magdalena Matuszewska – siostra denatki.

– Widzisz to co ja? – zapytał Aśkę.

– Naturalnie. Sprawdziłam to. Pracuje tam jako szeregową pracownica biurowa. Kokosów nie zarabia.

– Jeszcze jeden dobry powód, aby zajechać na Osiedle Kosmonautów – mruknął do siebie Roger, mając na myśli przede wszystkim jeden z tamtejszych bloków, w którym mieszkała Magdalena Matuszewska.

Osiedle Kosmonautów. Zalała go fala wspomnień. Kiedy był dzieckiem, marzył o tym, żeby tam mieszkać. Który chłopiec nie chciałby bawić się w parku Gagarina albo korzystać z dobrodziejstw Osiedlowego Domu Kultury „Orbita”? Dziś, pomimo że czasy świetności osiedle miało już za sobą, ciągle panował tu „kosmiczny” klimat. Co prawda żaden z ośmiu trzynastopiętrowych bloków nie przypominał „Wostoka-1” – rakiety, w której Jurij Gagarin podbijał Kosmos, ale pomnik tego radzieckiego kosmonauty ciągle robił wrażenie nowoczesnością swojej formy.

Zaparkowali przed blokiem, w którym mieszkała Matuszewska. Kobieta była właścicielką niewielkiego mieszkania na ostatnim piętrze. Otworzyła im nieco zmieszana i jakby zbyt roztargniona. Coś zatruwało jej umysł. Może wyrzuty sumienia?

– Przepraszam, zaskoczyli mnie państwo – powiedziała nieskładnie, skubiąc bluzę.

Policjant szybko zlustrował ją wzrokiem. Była ładniejsza od siostry. Jej rude włosy były w artystycznym nieładzie, a na powiekach namalowała sobie cienkie, choć zalotne, czarne kreski. Strój kobiety pozostawiał wiele do życzenia. Choć bardzo się starała, nie udało jej się ukryć urody pod powyciąganym, szarym dressem, który miała na sobie.

– My zawsze zaskakujemy ludzi – powiedział z przekąsem Roger.

– Och, wiem. Po prostu jestem na urlopie i...

– Długo jest pani na tym urlopie? – zapytała Aśka.

– Ponad tydzień.

– Nigdzie pani nie wyjechała?

– Ciekawe za co? Podróże kosztują – powiedziała z wyrzutem bardziej do siebie niż do nich.

Roger ponownie odniósł wrażenie, że kobietę dręczą jakieś niespokojne myśli. Dopiero po chwili Magdalena dodała:

– Nie ma u mnie za wiele miejsca, ale niech państwo rozgoszczą się na tej sofie – wskazała na bezbarwną, szarą, wręcz nudną kanapę. Sama usiadła w fotelu tego samego koloru. Dalej skubała bluzę. Tik nerwowo?

– Poza tym muszę s płacać tę kawalerkę. Nikt mi jej za darmo nie dał – powiedziała bardzo szybko.

Wydawało się dziwne, że nie zaproponowała im nic do picia. Tak jakby chciała, żeby sobie czym prędzej poszli.

– Jak pani przyjęła informację o śmierci siostry? – zapytał, nie owijając w bawełnę, Roger. Szkoda mu było na to czasu.

– A jak miałam przyjąć? Byłam, no nie wiem, zdruzgotana – powiedziała zblazowanym głosem Magdalena.

Jakoś nie zabrzmiało to przekonująco. Roger nie uwierzył, że faktycznie czuła się rozbita po śmierci siostry.

– Mimo złych relacji z Małgorzatą? – drążył w swoim stylu.

– Kto panu o tym powiedział? – odparła nieco zdenerwowana. Nerwowo bawiła się rudym kosmykiem włosów. Skubanie bluzy stało się niewystarczające.

– Teraz ja zadaję pytania. Proszę odpowiedzieć.

– Gośka, jakby to powiedzieć... miała trudny charakter. Przyznaję, że dość często się kłóciłyśmy,

ale pozostała moją siostrą – powiedziała bardzo wolno, po czym dodała szybko: – Jestem o coś podejrzana?

– Nie, a powinniśmy panią o coś podejrzewać?

– Oczywiście, że nie. Dziwne te państwa pytania.

– Rozmawiamy tylko z panią – odpowiedział jej spokojnie Roger. Nie chciał jej spłoszyć.

– Mnie to przypomina przesłuchanie.

– Chcemy ująć zabójcę pani siostry – odezwała się Aśka.

– W porządku. Powtarzam zatem jeszcze raz – moja siostra miała trudny charakter. Uważała się za lepszą ode mnie, więc się kłóciłyśmy, bo ja nie zamierzałam przyznawać jej racji w tej kwestii. Ale to nie była do końca jej wina, że tak zadzierała nosa. Utwierdzał ją w tym na każdym kroku nasz ojciec. Był w nią strasznie zapatrzony. A matka, jak to matka, siedziała cicho.

– I dlatego nie chce pani brać udziału w organizacji pogrzebu? – wypalił z grubej rury Roger. Był ciekaw jej reakcji.

– Kto wam to powiedział? – zapytała znowu, płynnie przechodząc z formy grzecznościowej na „wy”. Stawała się coraz bardziej nerwowa. Powróciła do skubania bluzy. – Pewnie ojciec – odpowiedziała sama sobie. – Nie biorę w tym udziału, bo tata i tak wie lepiej ode mnie, jak zorganizować wystawny pogrzeb. Zresztą do pomocy ma Grzegorza.

– A mama?

– Mama jest poważnie chora i od lat leczy się na depresję. Pewnie trzymają ją od tego wszystkiego z dala – powiedziała Magdalena.

– Jakie było małżeństwo pani siostry?

– Doskonałe! – Roger wyczuł w tym sarkazm. – On miał pieniądze, a ona mogła realizować się naukowo.

– Proszę nie żartować – skarcił ją.

– Takie jak wiele innych. Niczym się nie wyróżniało.

– Kiedy ostatni raz widziała się pani z siostrą?

– Kiedy trzeba.

– Co to znaczy „kiedy trzeba”?

– Kilka miesięcy temu chciała pożyczyć ode mnie kartę na taras w Okrąglaku, żeby pokazać dzieciom widok na Poznań. Zgodziłam się. Oczywiście nie oddała mi karty po weekendzie. Powiedziała, żebym wyrobiła sobie nową, bo jej się te widoki podobają i chce z nich korzystać od czasu do czasu. Zrobiła to złośliwie. Jak zwykle zresztą. Pokłóciłyśmy się i przestałyśmy się do siebie odzywać. Taki nasz standard. Ale to nie znaczy, że ją zabiłam. To ciągle moja siostra.

– Gdzie pani była w zeszły czwartek wieczorem?

– Jak to, gdzie? W domu.

– Mieszka pani sama? – zadawał dalej pytania Roger.

– Tak.

– Ktoś może potwierdzić, że była pani wtedy w domu? – zapytała Aśka.

– Chyba tylko książka, którą czytałam – powiedziała zrezygnowanym tonem Magdalena. Czują, że ta dwójka policjantów wcale nie jest po jej stronie. Przyzwyczyła się do tego. Rzadko kiedy świat bywał po jej stronie. Miała ochotę wyskubać wszystkie nitki ze swojej szarej bluzy.

†

Emilia Zalewska siedziała w miękkim i wygodnym fotelu z nogą założoną na nogę. Miała na sobie czarny kostium, który opinał jej perfekcyjne ciało. Ta kobieta chyba spędzała całe godziny na siłowni i w sklepach ze zdrową żywnością. Z przyjemnością się na nią patrzyło. Zdjęła okulary marki Ray-Ban w granatowych oprawkach i odłożyła raporty, które dostała do przejrzenia od Rogera.

– I kogo zakujemy w kajdanki? – zapytała zalotnie.

Ciebie – miał ochotę powiedzieć, uciekając myślami w zbyt intymne obszary. Zamiast tego jednak rzekł: – Mam na razie dwóch podejrzanych, ale zero dowodów. A zatem lepiej mieć ich na

wolności, pod naszą baczną obserwacją.

– Kim są ci szczęśliwcy, których podejrzewasz?

– Mąż ofiary i siostra.

– Chociaż ładna? – zapytała jeszcze zalotniej.

Czy ona go podrywa? Jeśli tak – to niezła w tym jest. W sumie to mógłby dać jej się trochę pouwodzić.

– Ładna – odpowiedział z uśmiechem. – Ale na pewno nie jest ładniejsza od pani prokurator – pozwolił sobie na nieco zbyt odważny komentarz, ale podświadomie czuł, że Zalewska się za to nie obrazi, wręcz przeciwnie.

– Skoro tak twierdzisz, nie będę polemizowała – powiedziała nieco zbyt formalnie. Chciała chyba trochę powiać chłodem. Wyszło jej to tak samo jak zepsutej lodówce.

– Oboje nie mają alibi. Oboje mogą mieć motyw – zauważył Roger.

– Cudownie. Ale mimo wszystko oboje nie musieli zabijać profesor Staroń. Mój ojciec powiada, że to nie brak alibi i motyw czynią z człowieka mordercę.

– A niby co? – zapytał nieco zniecierpliwiony. Czuł, że pani prokurator zacznie się teraz wymądrzać. Ale niech jej będzie, byle za bardzo nie wtrącała się do sprawy.

– To, co ma w głowie. Może to niezbyt odkrywczyste, ale często, patrząc na alibi i motywy podejrzanych, zapominamy o zadaniu sobie podstawowego pytania. Czy w ogóle ten człowiek BYŁBY W STANIE zabić. Czy Grzegorz Staroń potrafiłby zamordować żonę?

– Potrafiłby. Lubi sobie wypić. Typ zazdrośnika i choleryka. Położył dzieci spać, po czym pojechał na randkę z żoną... Może nawet nie do końca trzeźwy... Podejrzewał ją o jakieś wyimaginowane romanse... Dlatego zabił... – snuł domysły Roger.

– Ta zbrodnia wygląda na zbyt przemyślaną, popełnioną na zimno. Człowiek z taką gorącą głową jak on nie popełniłby tak wymyślnego mordu. Poza tym... pisał z nią z nieznanego numeru? – Emilii jakoś nie przekonywały teorie śledczego.

– Może dla żony nie był nieznanym? Może miał go od niedawna i profesorka nie zdążyła go wprowadzić? A może znała go na pamięć? – Sam nie wierzył, w to co mówił.

– Naciągane.

– Być może, ale kłamał, kiedy go zapytałem o powód ostatnich kłótni z żoną. Wyraźnie coś kręcił. Mówił zbyt ogólnie. Nie przekonał mnie. Coś przed nami ukrywa.

– Może nie chciał ci powiedzieć, że preferował inną pozycję niż małżonka? – powiedziała zbyt otwarcie.

Zaskoczyło go to. Nie spodziewał się takiej wypowiedzi po prokurator Zalewskiej. Zignorował to i kontynuował swoją relację. Był przecież nadal w pracy.

– Natomiast siostra ofiary zaważyła przez nią doktorat. Ich ojciec faworyzował Małgorzatę, która w przeciwieństwie do Magdaleny założyła rodzinę. Urodziła dwójkę dzieci, miała zamożnego męża, realizowała się zawodowo. A Magdalenie nic nie wychodziło. Może zabiła ją ze zwykłej, kobiecej zawiści?

– Brzmi przekonująco, ale mam wrażenie, że to za mało w jej przypadku, aby zabić. Ponadto przeceniasz kobiecą zawiść – westchnęła Emilia.

– Ludzie potrafią zamordować za dziesięć złotych.

– Być może, ale nie robią tego wykształcone kobiety z dobrych domów, chociaż z drugiej strony różne rzeczy już w swojej pracy widziałam. Powinieneś jednak wiedzieć, że Matuszewscy są bardzo szanowaną i podziwianą rodziną w Poznaniu. A zatem – muszę to powiedzieć z nieukrywaną przykrością – nie masz nic ani na Staronia, ani na Matuszewską. Dlatego nie ma na razie mojej zgody na aresztowanie któregokolwiek z nich, mimo że brakuje im alibi. Nawet jeśli posiadają pozorny motyw. Musimy kopać dalej i wietrzyć szafy. Może w którejś z nich znajdziemy jakiegoś rodzinnego trupa. – Pani prokurator była dzisiaj w dobrej formie intelektualnej. Podobało mu się to. Nie ma nic lepszego niż seksowna, inteligentna kobieta.

– Może – powątpiewał Roger.

– Trzeba też stworzyć profil psychologiczny zabójcy. Nasz profiler jest niestety na urlopie. Dopiero w przyszłym tygodniu będzie do naszej dyspozycji. Na razie musimy sobie radzić bez jego opinii.

– Damy radę i bez niego.

– Co dalej zamierzasz? Jakies propozycje? – zapytała Zalewska.

– Jutro rano jadę rozejrzeć się do Ciężenia. Pogadam trochę z pracownikami biblioteki. Może natknę się na coś ciekawego.

– Słowem czeka cię interesująca wycieczka – zauważyła pani prokurator.

– Można tak powiedzieć.

– Zabierzesz mnie ze sobą? Przewietrzyłabym się.

– Słucham? – nie wierzył własnym uszom. Chyba jednak mocno ją naciskają, skoro chce z nim jechać do jakiejś dziury.

– Ciekawi mnie to miejsce. Czuję, że sporo nam powie o zamordowanej. Poza tym słyszałam, że jest tam bardzo ładnie – odpowiedziała mu niezbyt przekonująco.

– Oczywiście, jak sobie życzysz... O której mam po ciebie przyjechać?

– Bądź jutro o ósmej. Pod moim domem. – Po czym podyktowała mu swój prywatny adres.

†

Zmęczony, zaparkował samochód przed blokiem. Przez chwilę jeszcze siedział w aucie. Przypominał sobie, jak kiedyś z Olką mieli taki zwyczaj, że zostawali z dziesięć minut w samochodzie po zaparkowaniu i wspominali ze śmiechem zabawne sytuacje z minionego dnia. Zdarzały się też kłótnie, wtedy siedzieli w samochodzie, póki jedno z nich nie odezwało się do drugiego.

– Nie powinniśmy wchodzić do domu, zanim się nie pogodzimy – mówiła Olka, i miała rację. Po co wносить negatywne emocje do mieszkania? Dopiero, kiedy zachorowała na raka, nie byli w stanie przed nimi uciec. Jego żona godzinami zwijała się z bólu, bo lekarz miał obiekcje co do zbyt częstego podawania morfiny.

– Jest pan policjantem – powiedział kiedyś do niego. – Skąd mam wiedzieć, czy to nie jakaś prowokacja? Chciałem przypomnieć, że żyjemy w państwie agentów Tomków.

Pewnego dnia Roger nie wytrzymał. Był po bezsennej nocy, podczas której jego żona nie była w stanie zmrużyć oka. Tak ją bolało. Pojechał wówczas do tego podejrzliwego medyka, wyciągnął swoją służbową spluwę i kazał mu przepisać morfinę. Doktorzyna posłuchał, ale powiedział, że to ostatni przypadek, kiedy mu uległ. I że jak jeszcze raz będzie mierzył do niego, to o wszystkim dowie się przełożony Kality. Roger miał ochotę go rozerwać, ale zamiast tego wyszedł z gabinetu lekarza bez słowa komentarza. Kiedy opowiedział o tym zdarzeniu Olce, ta kazała mu się uspokoić i odpuścić.

– Wytrzymam, Roger. Umiera się od raka, a nie od bólu. Daj spokój. Sewek musi mieć przynajmniej ojca, który nie siedzi w więzieniu. – I wiła się dalej z bólu, ale tak jakby ciszej.

On jednak nie dał się zwieść i wiedział, że żona cierpi. Musiał wówczas uruchomić dawne kontakty, o których wolałby zapomnieć. Kontakty z odległej przeszłości. Roger wychował się w barakach przy Opolskiej. To tutaj przeżył między innymi swoją pierwszą miłość. To właśnie na Opolskiej poznał kolegów, jak mu się wówczas wydawało, na całe życie. Część z nich wyrosła na porządnych ludzi. Pokończyli szkoły, znaleźli pracę, usamodzielnili się i pozakładali rodziny. Nie mieszkali już jednak na Opolskiej i byli, co tu dużo ukrywać, zdecydowaną mniejszością. Większość kolegów szkolnych Rogera wybrała wówczas, w ich mniemaniu, łatwiejsze życie i szybsze pieniądze. A co za tym idzie kradzieże, oszustwa, przemyty. To musiało źle się skończyć. Prawie wszyscy trafili do więzień. Poza Tomaszkiem. Syn miejscowego pijaczka okazał się sprytniejszy, niż można się było spodziewać. Nie robił nic odkrywczego w przestępczym światku – handlował w końcu narkotykami, potem dorzucił do tego półlegalne dopalacze. Ale Tomaszek był zdolny i szybko piął się w dilerskiej hierarchii. Obecnie miał już swoich ludzi w całym mieście i zaczął inwestować w legalne biznesy. Kupił sobie niektórych prokuratorów i policjantów. Wiódł dość spokojne życie w pięknej willi u boku swojej dawnej miłości z Opolskiej. Izabelę spotkał przypadkiem po latach, trudno uwierzyć, ale grzebała wtedy

w śmietniku. Na jego oczach. Wyciągnął ją z tego bagna. Zaprowadził na odwyk. Dokładnie przebadał i wyleczył ze wszystkiego, co możliwe. Wstawił zęby, wysłał do chirurgów plastycznych i kosmetyczek. Nie musiał jedynie inwestować w dietetyka. Izabela zawsze była chuda jak patyk. Potem, kiedy okazało się, że nie może mieć dzieci, adoptowali syna jej siostry, która wcześniej powiesiła się po tym, jak jej partner po raz kolejny ją skatował. Chłopczyk zaczął chodzić do najdroższego przedszkola, uczyć się trzech języków obcych i trenować karate. Początkowo terroryzował inne, potulne dzieci, ale załatwili mu sztab psychoterapeutów. Kiedy więc Roger w jednej z gazet zobaczył Tomaszka z Izabelą zachęcających do odwiedzin w nowym, poznańskim salonie kosmetycznym i komentarz, że właścicielka nie wyobraża sobie życia bez zaawansowanych zabiegów kosmetycznych: „Odkąd pamiętam, inwestowałam w siebie. Nie tylko we wnętrze, ale też w ciało”, parsknął śmiechem. Przed oczami stanęła mu wówczas wychudzona Izabela bez zębów z odrostem na pół głowy i spojrzeniem zombie. Kiedy jednak jego ukochana żona wiała się z bólu na kanapie w ich pokoju, nie miał wyjścia. Musiał zadzwonić do Tomaszka i poprosić go o pomoc. Nie miał pojęcia, jak ten zatwardziały przestępca zareaguje na telefon policjanta. Wbrew jego obawom przyjaciel z dzieciństwa ucieszył się, słysząc jego głos.

– Brachu! Wspaniale, że dzwonisz. Może wpadniesz? Iza upiekła znakomite ciasto marchewkowe. Namawiałem ją, żeby zrobiła brownie z marihuaną, ale odmówiła. I słusznie, bo nie chciała tym karmić naszego syna, brachu.

Pojechał i opowiedział Tomaszкови o ciężkim losie żony. Dawny przyjaciel zasępił się na chwilę i bez chwili wahania powiedział:

– Brachu, załatwię ci tych opiatów, ile zapragniesz. Ale wiesz, co to oznacza? – Roger domyślał się, ale nic nie odpowiedział. Tomaszek nawet nie czekał na jego odpowiedź, tylko ciągnął dalej. – Pewnie ci się to nie spodoba, ale mam jeszcze te moje nielegalne biznesy. A ty, brachu, co tu bawisz się w subtelności, jesteś policjantem. Musisz wiedzieć, że nie możesz stanąć przeciwko mnie. Co więcej za jakiś czas mogę poprosić cię o przysługę. Nie powinieneś wówczas odmówić przyjacielowi. Jasne, brachu?

– Jasne – odpowiedział bez przekonania Roger. Przeczynał, że przez znajomość z Tomaszkiem napyta sobie jeszcze biedy.

– Cudownie, brachu. Uwielbiam, kiedy dwóch ludzi posiada wspólnotę interesów. My tu gadu-gadu, a Iza ciasto marchewkowe podaje.

I w ten oto sposób zdobył morfinę. A rok po śmierci Olki sam poinformował Tomaszka o planowanej akcji policyjnej przeciwko dopalaczom. Nie dało się jej zapobiec, ale poznański król dopalaczy zdążył poukrywać niektórych swoich ludzi. Tomaszek co prawda miał potem problemy z powodu tej akcji, ale dzięki swoim prawnikom wyszedł ze sprawy praktycznie bez szwanku, może poza finansowym. Od tamtego czasu milczał i nie zgłaszał się do Kality. Ale Roger miał dziwne przeczucie, że to się wkrótce może zmienić. Co więcej, nastąpi to z jego własnej inicjatywy, a nie Tomaszka.

Czuł zmęczenie całą tą sprawą. Całym tym życiem. Powinien pomyśleć o urlopie, póki jeszcze jest w miarę ciepło. Wziąć wędkę i Sewerynka i zaszyć się gdzieś w gęstwinach, nieprzebytych chaszczach. Byle dalej od dusznego Poznania. Ale jeszcze trochę. Musi dorwać tego zwyrodnialca, który zabił profesorkę. Nawet jeśli była najwredniejszą kobietą pod słońcem, to nie zasługiwała na taką śmierć. Ponadto zabrał dzieciom matkę, a ojcu córkę. Miał już dosyć rozmyślenia i bezcelowego siedzenia w samochodzie. Wysiadł z pojazdu. I wtedy zobaczył ją. Biegła w obcisłym, różowym topie i czarnych, równie ciasnych spodenkach. Jej kształtne piersi rytmicznie podskakiwały, a głowa lekko kiwała się w rytm muzyki, która sączyła się ze słuchawek wprost do jej uszu. Gdy go dostrzegła, zwolniła.

– Cześć – rzucił na powitanie.

– My się znamy? – zdziwiła się.

– Tak. Rozmawialiśmy wczoraj na siłowni. Nie chciałaś dać się poderwać, chociaż się starałem.

Widocznie nie byłem zbyt przekonujący.

– Wybacz, tak już mam. Trochę niedostępna jestem – roześmiała się.

– To prawda. Ale ja tak łatwo się nie poddam. Pozwól, że spróbuję jeszcze raz. Może

wyskoczylibyśmy gdzieś na drinka?

– No, nie wiem – odpowiedziała niepewnie.

Zaskoczył ją. Już nie pamiętała, kiedy ostatnio dała się wyciągnąć na drinka. Zwłaszcza mężczyźnie.

– To może się zastanów, a ja do ciebie jutro przedzwonię.

– Musiałbyś mieć mój numer telefonu.

– To prawda. Chociaż słowo „musiałbym” zamieniłbym na „mógłbym”. A na pewno na „chciałbym” – powiedział nieco przebiegle. Wiedział, że kobiety to lubią.

– Zabawny jesteś – skwitowała bez cienia ironii.

– Staram się i czasami mi to wychodzi. To co z tym numerem?

– A jak ci na imię? – zapytała wymijająco. Dawać komuś numer bez poznania jego imienia?

Trochę nie na miejscu. Przynajmniej dla niej.

– Roger – odpowiedział niechętnie. Spodziewał się kolejnego pytania z serii: skąd takie oryginalne imię? Albo: twój ojciec był Angolem? Nic takiego jednak nie padło z jej ust. Odpowiedziała mu tylko:

– A ja Julia.

– Miło mi.

– Mnie również. Wiesz co? Dam ci ten numer. – Po czym podyktowała mu kolejne cyfry.

– Dzięki. Widzę, że ostro trenujesz.

– Właściwie dopiero zaczynam. Mam plan przebiegnięcia kilku dobrych kilometrów, a potem się zobaczy. Miałam dość długą przerwę. Chciałabym znów przebiec maraton, ale do tego jeszcze daleka droga.

– To nie przeszkadza. Lubię i podziwiam wysportowane kobiety. Zwłaszcza takie, które kiedyś biegały maratony. Zadzwoń jutro.

– Okej – uśmiechnęła się, po czym wyminęła go i ruszyła w stronę lasu.

Z zadowoleniem obserwował jej oddalającą się sylwetkę. Swoją wzrok wbił w jej zgrabną pupę. Ta dziewczyna coraz bardziej go intrygowała. Piękna, charakterna, lubiąca sport. Czego chcieć więcej?! Nawet imię miała ładne. Julia.

– Podoba się panu Julia?

Aż podskoczył. Od tyłu zaszła go ta stara wiedźma Orłowska. Była ubrana w różową, wełnianą, a zatem zbyt grubą jak na tę porę roku suknię. Pod pachą trzymała również podniszczoną, różową torebkę. Szczyt tandety.

– Wracam z kościoła i zastaję pana władzę rozmawiającego z Julią – skomentowała nieproszona, udowadniając, że nie jest ślepa. Co tak naprawdę się za tym kryło, dowiedział się dopiero po chwili.

– I co w tym złego? – zapytał.

Czy on zawsze musiał się natykać na tę wścibską babę? Czy ona przypadkiem go nie śledzi?

– Bo to zły wybór, panie władzo. Zainteresowałby się pan lepiej moją bratanicą.

– Niby czemu?

– Bo moja bratanica, panie władzo, choć ostatnio sporo przytyła, jest piękna. I do tego obrotna. Były mąż musiał oddać jej większość majątku.

Roger miał ochotę się zaśmiać. Faktycznie wspaniała rekomendacja dla kobiety – potrafi ogołocić ze wszystkiego byłego partnera. Bardzo zachęcające.

– Nie chodzi mi w tym momencie o pani bratanicę. Ale proszę odpowiedzieć, dlaczego Julia to zły wybór? – Czuł, że nie powinien o to pytać tej starej plotkary, ale zwykła, ludzka ciekawość zwyciężyła.

– Julia nie będzie pana władzy chciała, kiedy się dowie, że jest pan policjantem – odpowiedziała mu z ciężkim westchnięciem wiedźma.

– Niby czemu?

– To pan nie wie? Policjant i nie wie?

– Tak się składa, że nie wiem – odrzekł ze złością.

– Niech się pan władza nie denerwuje. Dziwię się, bo to była głośna sprawa na naszym osiedlu. Jej ojciec też był policjantem. Aż dziw, że pozwolono mu nim być. Niby są te testy psychologiczne i takie tam. Podług mnie – jedno wielkie oszustwo. Chociaż z drugiej strony on za komuny zaczynał, więc w sumie to nie wiem. Może wtedy tych testów nie robili? Ważne było tylko, żeby sprzyjał komuchom. Ale prawy to on na pewno nie był. Bił już swoją pierwszą żonę, ale ona była mądrzejsza. Uciekła od niego z córeczką aż do Gdańska. Za jakiś czas ożenił się z drugą. To z nią miał Julię. I tak jak poprzednie swoje kobiety, bił je, ale tym razem całymi latami. A może nawet robił córce gorsze rzeczy, kto wie? Myślałam nawet przez jakiś czas, że Julia jest lesbijką. Nigdy nie widziałam jej z żadnym chłopem. I jeszcze te krótkie włosy. Może się zraziła do mężczyzn? Nie wiem, naprawdę nie wiem. Zresztą nieważne. Kiedy Julia miała osiemnaście lat, doszło do tego strasznego zdarzenia. Kiedy pan policjant chciał znów zlać ją i jej matkę, doszło do szamotaniny. Mama Julii miała zastrzelić tego damskiego boksera z jego służbowej broni. Ale słyszałam, że niektóre dowody wskazywały, że to córka zabiła ojca, a nie matka. Jednak to jej rodzicielka przyznała się w końcu do tego, że zastrzeliła męża. Sąd w to uwierzył i ją właśnie posłał do więzienia na kilka lat, a nie córkę. W międzyczasie Julia dostała rentę po ojcu i została sama jak palec. Ale dwa lata temu w końcu wypuścili jej matkę z więzienia. Ponoć była i jest w kiepskim stanie psychicznym. W ogóle nie wychodzi z domu. I biedna Julia musi się nią opiekować. Zatem jak sam pan władza rozumie, nie ma powodu, aby mogła pokochać policjanta. Dlatego może jednak moja bratanica...

– Pani Orłowska, przykro mi, ale nie skorzystam. Muszę już iść do domu.

– Proszę bardzo. Ja tylko ostrzegałam. Żeby tylko ona znów nie strzeliła do jakiegoś policjanta! A jej ojciec nazywał się Romuald Czember, zdaje się. Niech pan władza to sprawdzi. Ale Julia nie nosi już jego nazwiska. Zmieniła na panięskie matki. Goryczka chyba teraz się nazywa.

Udał, że tego nie słyszy i szybkim krokiem ruszył do bloku. Był wściekły. Czy to wstrętne babsko zawsze musiało wszystko popsuć? Już cieszył się, że poznał imię tej pięknej dziewczyny i dostał od niej numer telefonu. A Orłowska, niczym jakaś strzyga, wyłoniła się z mroku, żeby go ostrzec przed ciemną stroną Julii. Nie wierzył jednak w to. Był przekonany, że jeżeli ktoś zabił tego brutala, to była to jego żona, która po prostu chciała ochronić córkę.

†

Siedział na sofie z laptopem na kolanach. Jego plecy zdążyły już zeszytywieć od ślęczenia w tej samej pozycji przez ponad dwie godziny. Szukał właśnie czegoś w Internecie o śmierci policjanta Romualda Czembera. Ale niczego nie znalazł. Była tylko mała wzmianka o tym, że sąd skazał żonę zamordowanego policjanta na dziesięć lat więzienia. Okolicznością łagodzącą była przemoc, którą zamordowany stosował wobec żony i córki. Roger nigdy nie słyszał o tej sprawie. Dwanaście lat temu nie pracował jeszcze w policji. Był zajęty studiowaniem.

Zadzwoiła komórka. To był jego ojciec. Roger mimowolnie skrzywił się. Domyślał się, po co dzwonił. Był profesorem historii na Uniwersytecie Szczecińskim i zapewne znał swoją koleżankę po fachu, którą ktoś zamordował. Roger spodziewał się, że ojciec był zainteresowany szczegółami mordu. Trzeba o czymś poplotkować z kolegami z uczelni. Odebrał.

– Witaj, Rogerze! Przepraszam, że cię niepokoję, ale doszły mnie straszne wieści... – powiedział grobowym głosem profesor.

– Niech zgadnę? Dowiedziałeś się, że zamordowano profesor Małgorzatę Staroń-Matuszewską?

– W rzeczy samej... Prowadzisz to śledztwo?

– W rzeczy samej – odpowiedział, nieco drwiąc sobie ze swojego ojca-profesorka. – A co? Znasz ją?

– Jakżebym miał jej nie znać! Pracowaliśmy przecież razem na Uniwersytecie Poznańskim za dawnych czasów. Nie była może zbyt sympatyczną osobą, ale ceniłem jej dokonania naukowe. Niewątpliwie odziedziczyła swoje zdolności po ojcu i dziadku...

– Wiem to wszystko.

– Czy wiadomo, kto ją zabił?

– Nie.

– Przeczytałem, że okoliczności jej śmierci były hm... dość niezwykle. Ale policja, czyli ty i twoi koledzy nabraliście wody w usta...

– Może mamy swoje powody?

– Nie wątpię. Wiesz, że cenię twoją pracę. Wolałbym, co prawda, żebyś był profesorem, ale geny twojej matki... – Roger, słysząc te słowa, miał ochotę rzucić telefonem o ścianę, ale się powstrzymał. Miał jakieś dziwne przeczucie, że nie powinien tego robić. Że ta rozmowa może mu pomóc w trudnym śledztwie. Zwłaszcza że profesor sam się zreflektował, że pozwolił sobie na zbyt dużą szczerość. – Przepraszam, nie powinienem tak mówić... Zresztą, nieważne. Trochę zgubiłem wątek. Czy mógłbyś mi opowiedzieć pokrótce, co to za okoliczności? Wiesz, profesor Staroń zajmowała się masonami i niektóre głupekowate gazety to podchwyciły. Nie da się czytać tego bełkotu.

– Opowiem ci, ale obiecaj mi, że nie rozpoviesz tego połowie swojej uczelni – westchnął zrezygnowany Roger.

– Obiecuję. Zresztą teraz są wakacje i nawet jakbym chciał, nie znalazłbym nikogo, kogo zainteresowałaby ta historia.

– Jak zapewne słyszałeś, zamordowano ją w Okrągłaku.

– Tak?

– Tymczasem lepiej by pasowało w jej przypadku sformułowanie na Okrągłaku. Znalaziono ją na tarasie widokowym. Była w samej bieliźnie z rozprutym brzuchem. Jej ciało było w wielu miejscach ponacinane, a grubsze kości zmiażdżone – prawdopodobnie siekierą. Zaczęły ją rozdziobywać ptaki. Zadowolony? – Miał nadzieję, że ojca to zszokuje i przestanie w końcu zadzierać nosa. Po dłuższym milczeniu profesor przemówił, ale nie był to raczej jęk przerażenia.

– Hm... to dziwne. To mi coś przypomina...

– Co?

– Pochówek zaratusztrian... Chociaż nie wiem...

– Rozwiń to. Zara... co? – Pierwszy raz słyszał to obco brzmiące słowo.

– Pogrzeb powietrzny, zwany też niebiańskim. Po raz pierwszy pojawił się wiele tysięcy lat temu u zaratusztrian. I co ciekawe, jest do dzisiaj praktykowany.

– Tak? A gdzie?

– Na przykład w Tybecie albo u Parsów w Indiach. Mówi się, że pogrzebowi powietrznemu poddano tego znanego piosenkarza z zespołu Queen – Freddiego Mercury'ego – rzucił ciekawostkę profesor i zgodnie z własnymi przewidywaniami zrobił nią wrażenie na Rogerze.

– Żartujesz?!

– Nie. A słyszałeś kiedyś o grobie – miejscu pielgrzymek fanów tego niesamowitego wokalisty?

– Nie.

– No właśnie. Myślisz w takim razie, że co się stało z jego ciałem? – drążył dalej profesor.

– Nie wiem. To on był zaratusztrianinem?

– Tak mówią. Musisz wiedzieć, że zaratusztrianizm to jedna z najstarszych istniejących religii świata. Ma ponad trzy tysiące lat. Jak nie więcej. Jest to religia monoteistyczna, która wywarła ogromny wpływ na judaizm, chrześcijaństwo czy islam. Część badaczy uważa, że takie pojęcia jak Sąd Ostateczny, Piekło, Niebo, Diabeł, Mesjasz pojawiły się po raz pierwszy w zaratusztrianizmie, a nie w judaizmie czy chrześcijaństwie...

– Bardzo to interesujące... Ale może wróćmy do pogrzebu powietrznego... Na czym on polegał?

– Zależy, gdzie go urządzano. Pogrzeb powietrzny, któremu jak wszystko na to wskazuje, poddano profesor Staroń, ma cechy zarówno pochówku tybetańskiego, jak i indyjskiego bądź wariantu irańskiego. Zaratusztrianie wierzyli, że ciało ludzkie po śmierci jest zbrukane, bo pozbawione duszy. Natomiast ziemia czy ogień są czyste. W związku z tym zaratusztrianie nie mogli zwłok pochować bądź spalić, ponieważ zbrukaliby ziemię lub ogień. Dlatego też budowano specjalne, okrągłe, ceglane budowle, zwane wieżami milczenia. Profesor Staroń została znaleziona na Okrągłaku. Od biedy można by go uznać za taką poznańską wieżę milczenia. Wróćmy jednak do pogrzebu powietrznego.

Zaratusztrianie zwłoki swojego zmarłego pozostawiali na szczycie takiej budowli, by zostały rozdziobane przez ptaki. Istniały trzy kręgi na górze tej wieży. Każdy z nich był poświęcony kolejno mężczyznom, kobietom i dzieciom. A po środku wieży znajdował się otwór, do którego po roku ekspozycji ciał wrzucano resztki zwłok i przysypywano wapnem – ciągnął profesor. Czuł się tak, jakby prowadził wykład przed studentami chłonącymi każde jego słowo. To rzadkość, a może nawet anomalia?

– Chyba żartujesz? Brzmi obrzydliwie...

– Nie żartuję, tak było i tak jest do dzisiaj na przykład w Indiach. Nacięcia i pokruszone kości profesor Staroń przywodzą mi natomiast na myśl pogrzeb niebiański w wariacie tybetańskim. Tybetańczycy nie są zaratusztrianami, ale buddystami. Oni dla swoich zmarłych nie budują wież, po prostu porzucają ich zwłoki niedaleko świętej góry Kaljas, nacinając wcześniej ich ciała i rozdrabniając kości, aby ptaki szybciej zjadły porzucone zwłoki.

– No to chyba mamy do czynienia z prawdziwym psychopata – podsumował z rezygnacją Roger. To mogło oznaczać dalsze kłopoty.

– Nie znam się, synku. Ale nie co dzień morduje się profesor historii, pozorując pogrzeb powietrzny. Może zamordował ją jakiś religioznawca albo przedstawiciel jakiejś nowej, niebezpiecznej sekty?

– Podejrzewam raczej jej męża albo siostrę.

– Ach, tak. Słyszałem o siostrze profesor Staroń. Też skończyła historię i poszła nawet na doktorat, ale z jakichś powodów zrezygnowała z tego. Napisała znakomitą pracę magisterską, poświęconą zdaje się, tytułu nie pamiętam... ale chodziło o fascynację nazistów zaratusztrianizmem... O rany... – Na te słowa Roger przeklął w myślach. Czyżby to jednak Magdalena zabiła siostrę? Tymczasem ojciec kontynuował: – To była naprawdę dobra magisterka. Szkoda, że młodsza Matuszewska nie doktoryzowała się.

Szkoda. Może jakby się doktoryzowała, to by nie zamordowała siostry – chciał powiedzieć Roger, ale się powstrzymał. I tak już za dużo zdradził szczegółów śledztwa. Zamiast tego powiedział:

– Dzięki, sporo mi pomogłeś. Może byś wpadł do Poznania i przyjrzał się tej sprawie? Widzę, że twoja wiedza historyczna bardzo by nam pomogła.

– Przykro mi, ale nie mogę. Jutro wylatuję na miesiąc do Londynu. Będę robił kwerendę w tamtejszych archiwach. Ale jeśli chcesz, przyślę ci kogoś. Młodego, zdolnego doktora. On i tak wybierał się do Poznania.

– Dzięki, ale wołałbym ciebie.

– Nie dziwię ci się, ale on ma bardzo dużą wiedzę. Też się zajmował nazistami. Napisał na ten temat pracę magisterską.

– I co z tego?

– Jak to co? To współpracownicy Himmlera zebrali te masoniki, które badała profesor Staroń. To ich w końcu fascynował zaratusztrianizm. Nie ma co się dziwić. Ulubiony filozof nazistów, Friedrich Nietzsche (choć zapewne on sam nie chciałby mieć nic wspólnego z hitlerowcami), głoszący koncepcję nadczłowieka, swoje najważniejsze dzieło zatytułował *Tako rzecze Zaratusztra*. I koniecznie obejrzyj sobie gdzieś w Internecie Faravahar. To zaratusztriański symbol przedstawiający drogę duszy ludzkiej od narodzin do śmierci. Coś ci przypomina? Muszę już kończyć. Odwiedziłbyś nas kiedyś? Jeszcze nigdy nie byłeś u mnie w Szczecinie – marudził profesor.

– Pomyślimy – odpowiedział mu wymijająco Roger, który równocześnie jedną ręką wpisał w wyszukiwarkę słowo „Faravahar”.

– Nie pomyślimy, tylko przyjedziemy – powiedział profesor, po czym na chwilę zamilkł, ale dalej pozostawał na linii.

– Cześć... Kurde, faktycznie podobny... – powiedział sam do siebie Roger i zamarł, ponieważ na ekranie laptopa ujrzał ten tajemniczy symbol:



Te skrzydła przypominały mu inne, które wydawały się nie mieć nic wspólnego ze starożytnymi wierzeniami. Szybko odnalazł je w Internecie:

Ten groźny orzeł, kojarzący się ze wszystkim, co najgorsze, był godłem niemieckiej Trzeciej Rzeszy. Przez kilkanaście sekund Roger wpatrywał się w oba symbole jak urzeczony.

– Tak, podobny – odpowiedział mu jak echo ojciec. – Rogerze, uważaj na siebie. Z nazistami nie ma żartów, nawet po tylu latach... Muszę kończyć, trzymaj się. – I profesor rozłączył się, pozostawiając syna zafascynowanego swoim odkryciem.

20 sierpnia 2014, środa,
Poznań

Emilia czekała na niego przy swoim samochodzie na podjeździe przed zadbanym szeregowcem, w którym mieszkała. Wyglądała, jak zwykle, nienagannie. Miała na sobie czarną, jedwabną koszulę i ołówkową, szarą spódnicę. Buty tym razem na płaskim obcasie, zapewne dlatego, że czekała ją długa droga za kierownicą. Rogera rozczarował za to jej gust motoryzacyjny. Miała czarnego SUV-a, który w ogóle do niej nie pasował. Pani prokurator wyglądała na malutką i bezbronną przy tym potworze. Ciężko westchnął, ale nie miał innego wyjścia. Wysiadł ze swojego mizernego samochodu, który również zaparkował na jej podjeździe, po czym podszedł do jej potwornego auta.

– Pojedziemy moim. Na wsi bywają różne drogi – zaproponowała spokojnie, jakkolwiek stanowczo.

Nie zaprotestował, ponieważ nawet cieszyła go perspektywa przejażdżki bez prowadzenia pojazdu. Może nawet uda mu się zdrzemnąć? Niestety, nie było mu to dane. Zresztą nie mógł sobie na to pozwolić. Musiał zreferować prokuratorce przebieg swojej wczorajszej rozmowy z ojcem. Zrobił to z detalami zaraz po tym, jak w końcu wsiedli do jej czarnego SUV-a i ruszyli przed siebie. Emilia słuchała go z nieukrywanym zainteresowaniem, po czym skomentowała:

– Nie sądziłam, że pochodzisz z profesorskiego domu.

– Bo nie pochodzę.

– Jak to?

– On mnie nie wychowywał, moje narodziny nie były mu na rękę. Zresztą nie ma o czym mówić. Historia, jakich wiele. Może jednak wrócimy do naszej sprawy? Interesuje mnie twoje zdanie w tej kwestii. – Roger zmienił temat. Nie chciał jej wtajemniczać w swoje sprawy rodzinne. Nie było czym się chwalić. Emilia jakoś zniosła tę nagłą zmianę tematu, serwując mu swoją teorię.

– No cóż. Nie ulega wątpliwości, że morderca posiada sporą wiedzę na temat pogrzebów powietrznych. Pytanie, gdzie ją zdobył? Być może dużo mu na ten temat opowiadała sama zamordowana. To by wskazywało na męża albo kogoś z kręgu bliskich przyjaciół, a takowych, jak wiemy, posiadała mało. Może być też tak, że morderca sam z siebie interesował się tym tematem. Wówczas wskazuje to na kogoś ze środowiska naukowego, ewentualnie hobbystę bądź jakiegoś wyznawcę zaratusztrianizmu. Może jakiś mieszkający w Polsce Irańczyk bądź Hindus? Jak przypuszczam, nie ma ich zbyt wielu w Poznaniu?

– Zlecę sprawdzenie tego moim ludziom.

– Cieszy mnie to. Może być też tak, że to w Ciężeniu, do którego właśnie zmierzamy, pracuje morderca. Wiemy, kto tam jest zatrudniony?

– Poza zamordowaną pracowały tam dodatkowo dwie osoby. Jeden, a raczej jedna z nich jest na urlopie macierzyńskim. Nie zdążyli jeszcze nikogo przyjąć na zastępstwo. Drugi, niejaki Mikołaj Szreder, nie mając zresztą wyjścia, jest dzisiaj w pracy – wyrecytował Roger. Dostrzegł zachwyt w oczach prokuratorki. Szkoda, że niezasłużony. Zaledwie pół godziny wcześniej zadzwoniła do niego Aśka w tej sprawie. Jak zwykle była perfekcyjnie przygotowana i dokładnie sprawdziła pracowników biblioteki. Ma zadatki na dobrą śledczą.

– Widzę, że jesteś przygotowany. Uwielbiam z tobą pracować – powiedziała uwodzicielsko Emilia, po czym mocniej przycisnęła pedał gazu, aby wyminąć kierowcę malej toyoty. Nie zaprzeczył ani nie wspomniał, że to Aśka odwaliała czarną robotę. Nie wiedział, dlaczego tak zrobił. Chciał zaimponować pani prokurator? Ale po co, do cholery?

– Lubisz jeździć autostradami? – zapytała.

– Nie bardzo. To dość monotonne. I po co przeplacać? – zauważył Roger.

– Masz rację. Też nie lubię autostrad. Jak będziemy wracać, to pojedziemy przez Słupcę i Wrześnię.

– Jak chcesz, Emilio – powiedział. Nie bardzo miał czas na wycieczki krajoznawcze, ale nie

chciał też, by Zalewska straciła dobry humor.

Kilkanaście minut później Emilia zjechała z autostrady, ale zamiast na Słupcę, odbiła w prawo. Wjechali na dość wąską szosę wojewódzką i minęli po drodze, nie za bardzo się spiesząc, sporo łąk oraz kilka sennych wiosek przyrośniętych do okolicznych pól. Nareszcie udało im się dojechać do Ciężenia. Sam pałac biskupi znajdował się na obrzeżach wsi. Stał w przepięknym parku, a naprzeciwko niego, po drugiej stronie ulicy bieleły się dwa rozpadające się, popegeerowskie boczki. Park oddzielał od drogi i reszty świata ceglasty, stary mur. Ogromny SUV Emilii ledwie się zmieścił na poboczu przy wjeździe do pałacu. Przed bramą stał znak zakazu wjazdu i pani prokurator zamierzała się do niego zastosować. Wysiedli i minęli bramę. Naprzeciwko nich wznosiła się monumentalna bryła pałacu. Był to czterokondygnacyjny budynek z mansardowym dachem. Jego żółte ściany, jak to w stylu rokoko, były bogato zdobione, choć te zdobienia nie przekraczały granic dobrego smaku. Zaciekawieni urodą pałacu obeszlili go wokół, co szybko okazało się zycznym pomysłem, ponieważ budowla została wzniesiona na skarpie, z której roztaczał się przepiękny widok na dalszą część parku oraz mieniącą się w słońcu Wartę.

– Ładnie tu – zauważyła Emilia. – Aż chciałoby się zostać na dłużej.

– Słyszałem, że można tutaj nocować. Mają kilkadziesiąt miejsc noclegowych – wyrwało się Rogerowi.

– Proponujesz coś? – zaśmiała się Emilia, lekko się rumieniąc.

– Od razu proponuję... Stwierdzam tylko fakt. Ale to prawda, jest tu pięknie – westchnął Roger i spojrzał w stronę Warty. Dziwnie się poczuł. Tak jakby stał przed Olką i gapił się z nią na tę wijącą się w słońcu rzekę. Wydawało mu się, że czuje oddech zmarłej żony na karku. Bał się choćby poruszyć. Wiedział, że nie stoi za nim, ale nie chciał pozwolić, by nastrój tej chwili prysł. Nagle usłyszał:

– Roger, idziesz? Aż tyle czasu nie mamy, żeby tak się gapić bez sensu.

– Wiem – powiedział i ruszył za Emilią.

Mikołaj Szreder, wcześniej poinformowany przez Aśkę o ich przyjeździe, czekał przed wejściem do pałacu. Był zdenerwowany i trzęsły mu się ręce. Nie uszło to uwagi Rogera. Głos bibliotekarza drżał. Był zdenerwowany.

– Witam państwa. Proszę wybaczyć moje zdenerwowanie. Nie na co dzień mam do czynienia z policją i prokuraturą. Mam nadzieję, że w jakiś sposób pomogę i rozwieję przynajmniej część wątpliwości. Może przejdziemy od razu do czytelnicy? Tam możemy spokojnie porozmawiać. Przygotowałem też skromny poczęstunek.

Roger miał ochotę wybuchnąć śmiechem. Młody bibliotekarz był bardzo przejęty ich przybyciem. Zresztą, jak podejrzewał Kalita, nie miewał tutaj zbyt wielu gości. Przeszli do kolejnego pomieszczenia. W czytelnicy dominowało miłe dla oka połączenie kolorów niebieskiego i żółtego. Na długim, dębowym stole, przy którym stało dziesięć staroświeckich krzeseł, Szreder przygotował duży talerz z czekoladowymi ciastkami, krówkami i wafelkami przekładanymi śmietankowym nadzieniem.

– Nie wiem, co mam mówić – powiedział bezradnie bibliotekarz. – Mówiąc szczerze, nie jestem zbyt rozmowny z natury.

– Spokojnie. Wystarczy, że będzie pan odpowiadał na nasze pytania – odezwała się ciepło Emilia, chcąc mu dodać otuchy. – Może na początek niech nam pan opowie coś o sobie.

– Nazywam się Mikołaj Szreder – zaczął nieśmiało bibliotekarz. – Mam trzydzieści trzy lata. Mieszkam w Słupcy. Pracuję tutaj od pięciu lat. Wcześniej zrobiłem doktorat z historii na Uniwersytecie Poznańskim.

– Jest pan żonaty? – zapytał Roger.

– Nie. Opiekuję się chorą matką.

Tak jakby choroba rodzicielki wykluczała możliwość stworzenia szczęśliwego związku z inną kobietą.

Zawsze, kiedy Roger słyszał o samotnym mężczyźnie żyjącym z chorą matką, przypominała mu się postać diabolicznego Normana Batesa z filmu *Psychoza* Alfreda Hitchcocka. To skojarzenie pozostawił jednak dla siebie. Było dość stereotypowe.

– Czy Małgorzata Staroń-Matuszewska pracowała już wtedy w bibliotece? – kontynuował

policjant.

– Tak.

– W jakich okolicznościach został pan zatrudniony?

– Okolicznościach? Nie rozumiem – powiedział drżącym głosem Szreder. Nie lubił odpowiadać na tego typu pytania.

– W jaki sposób zdobył pan tę pracę?

– Poprzedni pracownik odszedł na emeryturę, a pani profesor miała bardzo dobre zdanie na mój temat i zaproponowała mi pracę.

– Spotkał pan ją wcześniej? – zapytała Emilia.

– Wielokrotnie. Miałem z nią zajęcia na uczelni. Jako student, oczywiście.

– Doktoryzował się pan u niej?

– Nie, ale była w dobrych relacjach z moim promotorem, który zresztą jest teraz rektorem całego uniwersytetu – powiedział Szreder.

Kaliby to nie zaskoczyło. Rektor jest przyjacielem ojca kierowniczkę biblioteki, dlatego wkręcił tam swojego doktoranta. Pewnie dlatego Mikołaj niechętnie mówił o okolicznościach swojego zatrudnienia.

– Zajmował się pan masonikami? – dopytywał Roger.

– Niebepośrednio. Moje zainteresowania naukowe dotyczyły osiemnastowiecznego Poznania. W tym właśnie wieku powstały w stolicy Wielkopolski pierwsze loże masoniekie. Pani profesor zaproponowała mi, żebym zajął się początkami poznańskiego wolnomularstwa. Przystałem na to. Zresztą mogłem liczyć na stałe zatrudnienie w bibliotece. A wiadomo, że dzisiejszy świat nie jest zbyt łaskawy dla humanistów.

– Nigdy nie był – zauważyła Emilia.

– Jak układały się pana relacje z ofiarą? – nie ustępował Roger.

– Zazwyczaj dobrze. Pewnie dlatego, że nie wchodziłem jej w drogę. To znaczy nie przeciwstawiałem się, tak jak robiła to Agnieszka.

– Agnieszka? – dopytywała Emilia.

– Agnieszka jest teraz na urlopie macierzyńskim. Była w konflikcie z szefową, która nawet kiedyś zagroziła, że ją zwolni, dlatego Aga szybko zaszła w ciążę i przyniosła zwolnienie lekarskie. Nie ma jej dopiero od lipca. Jeszcze nie znaleźliśmy zastępstwa, ale teraz trzeba będzie, jak pani profesor... nie żyje – wydusił z siebie z trudem Mikołaj. Widać było, że nie mógł się pogodzić z jej śmiercią. Czyżby był z nią blisko? Zbyt blisko?

– Jak przed śmiercią zachowywała się pani Staroń-Matuszewska? – zapytała Emilia.

– Była wyraźnie zdenerwowana. Z Agnieszką kłóciła się z byle powodu. Nawet mi dokuczała, co jej się wcześniej dość rzadko zdarzało. Pani profesor nie miała łatwego charakteru...

– Słyszeliśmy już o tym.

– Zatem sami państwo wiecie... Pani profesor nie miała łatwego charakteru, ale muszę nieskromnie przyznać, że ceniła moją osobę. Praktycznie całe swoje życie poświęciłem tej bibliotece. Ona to widziała i doceniała.

– Myśli pan, że miała jakieś zmartwienia? – pytała dalej Emilia.

– Na pewno miała. Ale pani profesor nie jest... nie była osobą zbyt wylewną. Nie opowiadała o swoich problemach. Ale muszę coś wyznać... Nachodził ją tutaj jakiś mężczyzna – przypomniał sobie Szreder. Mało brakowałoby, a pominąłby tę kwestię.

– Mężczyzna? Może mąż? – zapytał z nadzieją Roger.

– Nie, to nie był jej mąż. Miałem przyjemność poznać pana Staronia. Kilka razy przyjeżdżał po panią profesor. Ale to nie był on.

– Proszę w takim razie opowiedzieć coś więcej o tym mężczyźnie. Jak się nazywał? Jak wyglądał? Kiedy ją odwiedzał? I dlaczego? – zapytała szybko Emilia.

Ten natłok pytań nieco skonfundował Szredera. Nabrał powietrza w płuca, po czym wyrzucił z siebie:

– Miał na imię Zbigniew. Nazwiska nie znam. Był szczupły i dość wysoki. Miał śniadą cerę, ciemne włosy i oczy. Ubierał się bez większej ekstrawagancji. Raczej nie wyglądał na kogoś, kto ma pieniądze. Był tu kilka razy. Pierwszy raz, kiedy tu przyszedł, poprosił mnie, żebym zawołał panią profesor. Spełniłem jego prośbę. Usłyszałem, jak mówił: „Czy naprawdę zamierza pani wydać tę książkę?”, a ona zapytała: „Kim pan jest?”. Nie przedstawił się przy mnie, tylko poprosił o rozmowę na osobności. Potem był jeszcze ze dwa razy w Ciężeniu. Wyklócał się z panią Staroń i krzyczał, że tego pożałuje. Pytałem potem panią profesor, co to za człowiek i czy nie potrzebuje pomocy. A ona tylko odparła, że to nie moja sprawa i że sobie poradzi. Wróciłem więc do swoich obowiązków. Wołałem jej nie naciskać.

– O jaką książkę mogło chodzić temu Zbigniewowi?

– Nie wiem. Mogę jedynie powiedzieć, że pani profesor była zaangażowana w kilka projektów wydawniczych. Opracowywała materiały z konferencji naukowej dotyczącej tajnych organizacji w Polsce. Ponadto szykowała kolejny tom z co ciekawszymi dokumentami z naszych masoników. Pisała też książkę poświęconą różokrzyżowcom. Myślę, że mogło chodzić o tę ostatnią pozycję. Pani profesor twierdziła, że ta książka wstrząśnie środowiskiem naukowym i... masońskim. W naszych zbiorach miała znaleźć dokumenty potwierdzające, że założyciele różokrzyżowców od początku zdawali sobie sprawę, że Christian Rosenkreuz nigdy nie istniał. Jak to mawia młodzież, wiedzieli, że to była ściema, ale nie przeszkadzało im to w dalszym szerzeniu tej ściemy... Znają państwo historię różokrzyżowców choćby w ogólnym zarysie? – zapytał Szreder. Miał nadzieję, że nie będzie musiał jej opowiadać. Musiałby wyrzucić z siebie kolejny potok słów, a nie miał na to specjalnej ochoty.

– Tak – odpowiedział krótko Roger.

To zachęciło bibliotekarza do kontynuowania opowieści. Mimo wszystko nie był pewien, czy rozumieją powagę odkryć pani profesor. Nie byli historykami.

– Ich początki sięgają wojny trzydziestoletniej, siedemnastego wieku. Choć sami twierdzili, że ich założyciel, Rosenkreuz, żył kilka wieków wcześniej. Ponoć to miał być taki żart z ich strony, ale na ich historii bazuje dzisiaj sporo współczesnych organizacji. Gdyby pani profesor przedstawiła dowody, że Rosenkreuz nigdy nie istniał, a jego założyciele świadomie kłamali, podważyłaby fundamenty istnienia ich stowarzyszeń.

– Czy ja wiem? – powątpiewała Emilia. – Scjentolodzy wierzą w kosmicznego morsa. Wszyscy wiedzą, że to bzdura, ale to nie przeszkadza tej sekcji istnieć dalej, zdobywać nowych naiwnych członków i rozwijać się.

– Może ma pani rację, ale środowiskiem historyków na pewno by to wstrząsnęło – powiedział Szreder.

– Może ten Zbigniew był jakimś współczesnym różokrzyżowcem? – Roger zmienił temat.

– Nie mam pojęcia – odpowiedział Mikołaj.

– A może przynajmniej był zaratusztrianinem?

– Nie wiem.

– A czy znany jest panu stosunek zamordowanej do zaratusztrianizmu? – dopytywał Roger.

– Myślę, że był on raczej negatywny. Po pierwsze pani profesor była bardzo wierząca i uważała, że wszystkie religie poza chrześcijaństwem nie mają racji bytu. Po drugie była gorącą przeciwniczką nazizmu i jego fascynacji kulturami Wschodu. Naziści, jak wiadomo, byli zbrodniarzami i nienawidzili chrześcijaństwa. Dlatego pani profesor nienawidziła nazistów. Proste.

– A co pan sądzi o zaratusztrianizmie i chrześcijaństwie? – zapytał Roger.

– To bardzo osobiste pytanie. Muszę na nie odpowiadać?

– Proszę o to – odpowiedziała za Rogera Emilia.

– Jestem osobą niewierzącą. Myślę jednak, że chrześcijaństwo sporo zaczerpnęło z zaratusztrianizmu. W ogóle mam wrażenie, że w naszej religii mało jest oryginalności. Czerpała ona nawet z wierzeń pogańskich. I może właśnie na tym polegał jej sukces. Dużo zapożyczeń, mało oryginalności.

Roger już gdzieś to słyszał. Mówił mu o tym wczoraj jego ojciec. Ale to akurat nie przeszkadzało

tatkowi pozostać praktykującym katolikiem.

– Ryzykowna teza, ale cóż... Dziękujemy za wyczerpującą wypowiedź, choć zdajemy sobie sprawę, że nie była to dla pana łatwa sprawa – pozwoliła sobie na komentarz Emilia. Nie spodobało jej się, że Szreder zarzucił chrześcijaństwu brak oryginalności.

– Fakt, nie była. Nie pamiętam już, kiedy ostatnio tyle mówiłem. Jestem raczej introwertykiem.

– Bibliotekarz roześmiał się nerwowo. – Czy mogę jeszcze w czymś pomóc?

– Chcielibyśmy obejrzeć rzeczy pani profesor. Miała swój gabinet?

– Proszę za mną – powiedział Mikołaj Szreder i zaprowadził ich do sporych rozmiarów pomieszczenia, gdzie przed śmiercią urzędowała Małgorzata Staroń-Matuszewska.

– Muszę przyznać, że miała tutaj sporo miejsca dla siebie, chociaż do porządnickich nie należała – powiedziała sama do siebie Emilia.

Mimo że słowa te nie były skierowane do niego, Szreder nieproszony odniósł się do jej wypowiedzi:

– Moja szefowa spędzała tutaj sporo czasu. To było miejsce, w którym chętnie pisała swoje książki. Nigdy nie spieszyła się do domu.

– Dziękujemy panu. Chcielibyśmy teraz zostać tutaj sami – powiedziała Emilia.

Mikołaj Szreder posłusznie wykonał jej polecenie i wyszedł z gabinetu. Roger i Emilia zostali sami. Dopiero teraz dokładnie rozejrzeli się po pomieszczeniu. Od podłogi po sufit pokój był zastawiony książkami, zeszytami, maszynopisami i segregatorami ustawionymi w regałach. Na biurku stał dość stary komputer z dawno nieczyszczoną klawiaturą. Roger włączył go. Zgodnie z przewidywaniami system zażądał hasła. Policjant nie szukał go długo. Tak jak się spodziewał, znalazł je w niedbale zagiętym notesie, leżącym nieopodal. Pasowało. Zaczął przeglądać zawartość komputera. Tymczasem Emilia delikatnie dotykała grzbietów książek, a następnie zaczęła przeglądać segregatory. Z jednego z nich wypadła karteczka z zaledwie jednym słowem i ciągiem cyfr. Tym wyrazem było imię Zbigniew, a liczbami prawdopodobnie jego numer telefonu.

– Chyba znalazłam numer komórki do naszego ptaszka, który nękał panią profesor – powiedziała z triumfem.

– Cudownie. Ja za to znalazłem plik z jej książką. Jest niedokończona, a jej tytuł brzmi: *Blef różokrzyżowców*. Niezbyt odkrywczy.

– Zgraj mi, poczytam ją sobie do snu. Ostatnio miewam problemy z zasypianiem – powiedziała sarkastycznie Zalewska, po czym sięgnęła do eleganckiej, błyszczącej torebki, z której po chwili wyciągnęła stalowego pendrive'a. Roger miał wątpliwości, czy powinien to zrobić, ale nie zamierzał jej się przeciwstawić. Tak jak i ona pragnął dorwać tego zwyrodnialca.

†

– Czy wizyta w Ciężeniu coś według ciebie zmieniła w naszej sprawie? – zapytała Emilia, siedząc za kierownicą swojego potwornego samochodu. Zgodnie z obietnicą nie wróciła na jeszcze pachnącą nowością autostradę, tylko sunęła SUV-em zwykłą szosą.

– Według mnie wniosła sporo świeżości. Mamy nowych podejrzanych – Agnieszkę Rawczyk, która była w konflikcie z panią profesor, pana Zbigniewa, który nękał Staroniową swoimi wizytami w Ciężeniu, oraz Mikołaja Szredera – powiedział Roger.

– A co w tym doborowym towarzystwie robi Szreder? To introwertyczny tchórz. Nie zabiłby nawet muchy – ironizowała Emilia.

– Wydaje mi się, że był emocjonalnie związany z panią profesor. Może coś do niej czuł, a ona go odrzuciła?

– Mówisz? Nie podejrzewałam cię o taką znajomość ludzkich emocji. Ale coś w tym jest. Był wyraźnie przybity śmiercią swojej przełożonej. W takim razie i ten trop trzeba będzie sprawdzić. – Zalewska zmieniła front. Co tak naprawdę wiedzieli o Szrederze? Wielkie nic.

– Mam za mało ludzi, żeby tak wszystkich sprawdzać. Na razie obserwujemy męża ofiary. Zastanawiam się nad siostrą.

– Matuszewską na razie sobie daruj. Mówiłam ci już, że nie sądzę, aby to ona zabiła. Trzeba sprawdzić tchórzliwego Mikołajka. I tego, jak mu tam było, natręta Zbigniewa.

– Skoro tak mówisz – powiedział z rezygnacją w głosie Roger. Śledczemu bardziej zależało na obserwowaniu Magdaleny, ale z drugiej strony sprawdzenie Szredera też było zasadne.

– Pozwolisz, że zjadę na pobocze? – zapytała nagle Emilia, nie podając powodu takiego manewru.

Roger nie zamierzał protestować. Zalewska zjechała z szosy i skręciła w jakąś leśną drogę. Przejechała następnie pięćdziesiąt metrów, po czym się zatrzymała.

– Muszę zadzwonić – powiedziała krótko, po czym sięgnęła po smartfona i kartkę z numerem telefonu do Zbigniewa.

Rogeroi przeszła przez głowę myśl, że tym telefonem pani prokurator może przeszarżować. Nie przejmowała się tym jednak. Szybko wybrała numer i przyłożyła urządzenie do ucha. Nie było jej jednak dane dodzwonić się do Zbigniewa. Nie odebrał. Mimo to wyglądała na zadowoloną. Dopiero po chwili zrozumiał dlaczego.

– Nie odebrał, ale odezwała się jego poczta głosowa, gdzie się głuptasek przedstawił. Tutaj Zbigniew jakiś tam, nie mogę teraz rozmawiać, zadzwoń później. Nie sądziłam, że wszystko pójdzie tak gładko.

– Nie boisz się, że teraz będzie miał twój numer? – zapytał Roger.

– Nie. Mam zastrzeżony numer. A ty nie boisz się, że nie powiem ci, jak się nazywa? – powiedziała kokieteryjnie.

– Na pewno powiesz – rzekł pewnym siebie tonem.

– Masz rację – uśmiechnęła się. – A nasz natręt nazywa się Zbigniew Jesień. Sprawdzisz mi go? Gdzie mieszka i takie tam?

– Oczywiście – sięgnął po telefon i zadzwonił do Aśki. Nie czekał długo, aż odbierze. Co prawda chyba była w trakcie jedzenia, to jednak nie zbiło go z tropu.

– Zlokalizuj mi gościa. Zbigniew Jesień. To ważne – po czym rozłączył się. Dopiero po chwili zorientował się, że Emilia nie tylko nie wróciła na szosę, ale nawet jeszcze nie uruchomiła silnika. Na co czekała?

– Zawsze jesteś taki władczy? – zapytała z uśmiechem.

– Nie – odpowiedział zgodnie z prawdą.

– Zauważyłam. Wobec mnie jesteś, jakby to powiedzieć, nieco uległy. – W jej głosie dało się usłyszeć lekki zawód.

– Bo jesteś panią prokurator i z tobą nie wygram – powiedział z uśmiechem, ale jednak poważnie.

– Zdziwiłbyś się. – I odsunęła swój fotel do tyłu, jak najbardziej mogła. Skinęła na niego, by zrobił tak samo. Posłuchał. Obserwował ją z zainteresowaniem i oczekiwaniem, nie wymawiając przy tym ani słowa. Ona w końcu wstała z fotela, pochyliła się w jego stronę i pocałowała, a on jej to odwzajemnił. Nie ulegało wątpliwości, że pod względem fizycznym pani prokurator bardzo mu się podobała. Ale czy to jest wystarczający powód, żeby dać się ponieść pożądaniu? Przecież będą dalej współpracować na gruncie zawodowym. A jeżeli ona będzie chciała czegoś więcej? Jakiegoś związku, miłości, rodziny? Nie chciał i nie potrafił teraz o tym myśleć. W ogóle odniósł wrażenie, że jego mózg przeszedł w stan czuwania. Dlatego przyciągnął ją do siebie i jeszcze mocniej wpił się w jej ponętne usta. Usiadła mu na kolanach i szybko opuściła fotel. Już wiedział, że sama tego chciała. Sięgnął do jej pełnych piersi. Nie mógł dłużej się powstrzymać. Były spore i jędrne, a jej sutki nabrzmiały. Chciał jak najszybciej w nią wejść, ale najpierw prawie że rozerwał jej czarną koszulę i ściągnął koronkowy stanik. Zaczął pieścić ustami jej piersi, podciągając przy tym spódnice. Nie miała na sobie rajstop, tylko czarne pończochy. To jeszcze bardziej go podnieciło. Tymczasem Emilia sprawnymi ruchami rozpięła mu spodnie. Wyciągnął penisa i posadził ją na nim. Westchnęła, tak jakby dłuższy czas na to czekała. A może to tylko jego narcyzm. Zaczęła go ujeżdżać.

– Czy pani prokurator zawsze musi być górą, sorry, na górze – powiedział z nieukrywanym zadowoleniem.

– Tak wyszło – odrzekła krótko.

Przyspieszył. Coraz szybciej i szybciej. Zaczęła jęczeć. Zastanawiał się, czy to tak na serio, czy udaje. Szybko przegnał tę nieznośną myśl. Może lepiej nie wiedzieć. W końcu doszedł. Wydał z siebie przeciągły jęk, po czym szybko wyciągnął z niej penisa. Chwilę siedziała jeszcze na nim, dochodząc do siebie. Potem jednak wróciła na swoje miejsce kierowcy. Spojrzała w lusterko, sprawnym ruchem poprawiła fryzurę, a ze schowka wyjęła pomadkę, żeby ponownie pomalować sobie usta. Zawsze musiała wyglądać perfekcyjnie. Cała prokurator Zalewska.

– Teraz to już musimy się pospieszyć – wyrzuciła z siebie zachrypniętym głosem i przekręciła kluczyk w stacyjce.

Silnik ryknął mocniej niż zwykle.

– Dobra – odrzekł. Czuł się tak, jakby kto inny to za niego powiedział. Nigdy nie używał słowa „dobra”. „Owszem”, „okej”, „w porządku”, „oczywiście”, nawet „naturalnie” mu się zdarzało, ale nigdy „dobra”. Czyżby dostał jakiegoś zaćmienia umysłu? Czy on przed chwilą nie przeleciał pani prokurator? Miał w związku z tym złe przeczucia. Przypomnił sobie swój pierwszy raz z Olką. Towarzyszyły mu wtedy całkiem inne emocje. Był szczęśliwy, zadowolony, dumny, ale na pewno nie odczuwał niepokoju. A teraz był cały nim przepelniony. I czuł jeszcze taką dziwną suchość w gardle. Mimowolnie westchnął i spojrzał na Emilię. Wydawało się, że była tak skupiona na drodze, że zapomniała o jego istnieniu, ale wiedział, że to nieprawda.

†

Aśka zadzwoniła do niego, kiedy właśnie wysiadał z samochodu Emilii przed jej domem. Było to dla niego jak wybawienie, bo nie musiał się zastanawiać, w jaki sposób pożegnać się z prokurator Zalewską. Rozmawiając z Aśką, tylko skinął Emilii na pożegnanie, nie siląc się na jakieś górnolotne zwroty w stylu: „Skarbie, było cudownie. Nie mogę się doczekać kolejnego razu”. Takich deklaracji wolał nie składać. Emilia w odpowiedzi puściła mu oczko. Czy ona nie zachowywała się trochę tak, jakby to ona go zdobyła? Odegnął te myśli jak najszybciej. Skupił się na rozmowie z policjantką. Aśka, jak się okazało, spisała się na medal i podała mu adres Jesienia. Potem zapytała go, co dalej.

– Pojadę do niego.

– Ale kto to w ogóle jest? – zapytała zaciekawiona policjantka.

Nie pozostało mu nic innego, jak wyjaśnić jej przyczyny poszukiwań tajemniczego Zbigniewa.

– Nie potrzebujesz wsparcia? – niepokoiliła się.

– Nie. Nie jest o nic podejrzany. Chcę z nim porozmawiać jedynie o jego niechęci do ofiary. Gdyby niechęć prowadziła zawsze do zabójstwa, rodzaj ludzki dawno już by nie istniał. A jak widać istnieje i ma się dobrze.

– Ale jesteś zabawny – roześmiała się szczerze Aśka. – Gdybyś zmienił zdanie, daj znać. Przez najbliższe godziny zamierzam sobie jeszcze trochę poistnieć.

– To dobrze się składa. Dowiedz się czegoś więcej o Jesieniu. Dalej... skontaktuj się też z policją ze Słupcy i wypytaj o Mikołaja Szredera – bibliotekarza z Ciążenia. I sporządź mi listę poznańskich zaratusztrian. Chociaż nie... Poznańscy to może być za mało. Niech będą z całej Wielkopolski.

– Zaraz, zaraz. Zara... co?

– Zaratusztrianizm. To taka religia.

– Po co ci to?

– Zaufaj mi. Opowiem ci, jak się zobaczymy. Jeżeli jakaś osoba będzie zarówno różokrzyżowcem, jak i zaratusztrianinem, to może być naszym mordercą. Bo listę różokrzyżowców z Wielkopolski już masz?

– Na razie pracuję nad poznańską, ale skoro ma to objąć całą Wielkopolskę, to... dobrze wiedzieć. A listy Indian poznańskich nie potrzebujesz? – dodała z sarkazmem.

– Na razie nie. A co tam u Kafla?

– Siedzi pod firmą Staronia. Dziczeje z nudów.

– Monitoring już przejrzał? – zapytał Roger.

– Jeszcze nie. Ciągłe obserwuje Staronia.

– To niech jeszcze trochę pocierpi, chociaż ten monitoring... Może sam go przejrzyć? Będziemy musieli poobserwować jeszcze jedną osobę, ale to sprawa na potem. Ja muszę już kończyć. Ktoś chyba dobija mi się na komórkę. – Szybko się rozłączył. I odebrał kolejny telefon. Nie znał tego numeru.

– Czy dodzwoniłem się do Rogera Kality?

– Tak. A z kim mam przyjemność?

– Przyjemność? To chyba zbyt dużo powiedziane – roześmiał się męski głos. – Doktor Aleksander Szulik. Dzwonię, bo pana ojciec prosił mnie, żebym pomógł w śledztwie dotyczącym śmierci nieodżałowanej profesor Staroń-Matuszewskiej.

– Niepotrzebnie się pan fatygował – powiedział nieco rozczarowany Roger. Wątpił, żeby ten szczeciński doktorek mógł mu pomóc.

– Bardzo cenię sobie pana profesora Górczewskiego i nie chcę go rozczarować. Zwłaszcza że zamierzam kiedyś się u niego habilitować – powiedział z rozbijającą szczerością Szulik.

– Rozumiem. Pewnie wszystko panu opowiedział?

– Obawiam się, że tak – roześmiał się mężczyzna.

Roger westchnął. Szkoda mu było czasu na tę bezcelową pogawędkę, ale z drugiej strony czy coś straci, jeśli chwilę porozmawia z tym całym Szulikiem?

– Wspominał o nacięciach i pogruchotanych kościach?

– Tak. Muszę przyznać, że to faktycznie przypomina pochówek zaratusztrian – zgodził się z tezą profesora Szulik.

– A wspominał o literze H i liczbie 1511?

– Nie – powiedział doktor Szulik.

Dopiero teraz Roger przypomniał sobie, że w rozmowie z profesorem Górczewskim pominął tę kwestię.

– Faktycznie, nie wspominałem mu o tym.

– Jeśli pan sobie tego życzy, spróbuję dowiedzieć się, co mogą znaczyć te symbole – zapalił się Aleksander.

– Być może to nic ważnego. Ofiara urodziła się piętnastego listopada i może to oznaczają te cyfry?

– Nie jestem śledczym... ale po co morderca zadałby sobie tyle trudu, aby wyciąć datę urodzenia na skórze ofiary?

– To prawda. Niech pan mi jeszcze powie, dlaczego mój ojciec mi pana polecił? – nie ustępował Roger. Co prawda pamiętał, że ojciec wspominał, że Szulik zajmował się kiedyś nazizmem, ale ciekawiło go, co mu odpowie doktorek.

– Może na początek skończmy z tym panowaniem. Proszę mówić do mnie *per ty*. Jestem Olek.

– W porządku. A ja Roger. Odpowiesz mi na pytanie?

– Nie chcę być nieskromny, ale skończyłem trzy kierunki studiów magisterskich: historię, filozofię i politologię. Pewnie dlatego mnie polecił.

– Pewnie tak – powiedział z powątpiewaniem w głosie Roger. Znał przynajmniej kilka osób, które ukończyły te kierunki, a nic sobą nie reprezentowały. Co najwyżej były mistrzami gier sieciowych, siedząc na bezrobociu u rodziców. Albo inwentaryzowały towar na nockach w hipermarketach w ramach umowy o dzieło.

– Najpóźniej na piątek spróbuję stworzyć kilka teorii, co może oznaczać litera H i liczba 1511. Mogę liczyć na spotkanie? Będę w piątek w Poznaniu – mamił go Szulik.

– Nie chcę cię fatygować.

– Nie fatygujesz. Potrzebuję przejrzeć kilka dokumentów w waszym archiwum. Potem chętnie się spotkam. Dla mnie udział w tym śledztwie jest ciekawą odskocznią od tego mojego nudnego, szarego życia – zaśmiał się Szulik.

– Rozumiem, ale proszę, nie mów nikomu o tej odskoczni. Tym bardziej mediom. Te hieny nie dają nam spokojnie pracować.

– Oczywiście, możesz na mnie liczyć. Muszę już kończyć.
– Okej. W takim razie do zobaczenia.
– Do zobaczenia. – Doktor Szulik się rozłączył. Zrobił dobre wrażenie na Rogerze, chociaż nadal był wściekły na ojca, że wmieszał w śledztwo osoby trzecie. Może niepotrzebnie opowiedział mu o szczegółach morderstwa? Wszystko zależy od tego, czy doktorek ze Szczecina faktycznie przyda się w śledztwie.

†

Zbigniew Jesień mieszkał w wieżowcu na Górczynie, przy ulicy Arciszewskiego. Roger zaparkował samochód. Szary blok, w którym mieszkał Jesień, niczym się nie wyróżniał na tle podobnych budynków, był po prostu wytworem swoich czasów, ale dla Rogera nie miało to w tym momencie żadnego znaczenia. Obchodziło go przede wszystkim to, czy Zbigniew Jesień mógł zamordować profesor Staroń? Czy można zabić kogoś z powodu zapowiedzi wydania jakiejś książki? A może chodziło o coś innego niż ta praca naukowa? Być może Mikołaj Szreder nie znał całej prawdy o tym mężczyźnie i jego relacjach z ofiarą. Pani profesor nie była zbyt wylewna. Nawet w rozmowach ze swoim ulubieńcem.

Mieszkanie Zbigniewa Jesienia znajdowało się na parterze. Roger nacisnął przycisk domofonu. Po chwili czekania ktoś podniósł słuchawkę, ale milczał, jakby czekając na reakcję drugiej strony. Roger nie wytrzymał i zdradził swoje personalia. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że to był jego błąd.

– Policja. Chciałbym porozmawiać ze Zbigniewem Jesieniem. Czy jest może w domu? – Ktoś w odpowiedzi rzucił słuchawką. Czyżby to był sam Jesień? Roger odczekał jeszcze chwilę i ponowił próbę z domofonem. Zanim jednak nastąpiło połączenie, usłyszał ciężkie „bach”. Odwrócił się w bok i zauważył, że balkon dalej ktoś szybko podnosi się z ziemi. Był to wysoki i szczupły mężczyzna o ciemnych włosach. Czy tak właśnie nie opisał Jesienia bibliotekarz?

– Zbigniew Jesień? – krzyknął w jego stronę Roger.

Nie usłyszał odpowiedzi, zamiast tego domniemany Jesień podniósł się z ziemi i zaczął uciekać.

– Cholera – przeklął Roger i ruszył w pościg za mężczyzną.

Zbigniew Jesień w odróżnieniu od Rogera znał jednak dobrze to osiedle i był zaskakująco szybki. Przebiegł wielopasmową ulicę Arciszewskiego, wymijając ostro hamujące samochody. Następnie niczym zwinny kot wspinał się po szarym murze, za którym znajdowały się ogródki działkowe, aby następnie z niego zeskoczyć. Roger ze złością odkrył, że nie miał tyle zwinności, co uciekający. Trochę mu zajęło, zanim wgramolił się na ogrodzenie. Kiedy zeskoczył z muru okazało się, że Jesień zapadł się pod ziemię. Musiał dobrze znać te ogródki. Może schował się w którejś z altan? Nie pozostało mu nic innego, jak wezwać posiłki. Sam, zrezygnowany, ruszył do bramy wyjściowej. Był wściekły na siebie, że jednak nie posłuchał Aśki i nie wziął drugiego gliny ze sobą. Być może wtedy Jesień by się tak łatwo nie wymknął. Jego ucieczka mogła sugerować tylko jedno. Nie miał czystego sumienia i z jakiegoś powodu unikał policji. Czyżby tą przyczyną było zamordowanie profesor Staroń-Matuszewskiej? Roger nie znał odpowiedzi na to pytanie, dlatego zrezygnowany, czekał na przyjazd kolegów.

†

Aśka nie kryła rozczarowania, że Jesień im się wymknął. Zwłaszcza po odkryciach, których dokonała. W danych dotyczących nieszczęsnego uciekiniera, które miała z bazy adresowej, poza miejscem zamieszkania zwróciła uwagę na imiona jego rodziców. Imię ojca – Karol – nie miało co prawda w sobie nic zaskakującego. Ale już imię matki – Kashmira – brzmiało dość egzotycznie. Aśka przypuszczała, że jest to imię hinduskie bądź pakistańskie. Na pograniczu tych państw istniał nawet region o podobnej nazwie – Kaszmir. O który zresztą trwał wieloletni konflikt zbrojny między Indiami a Pakistanem. Następnym krokiem, na który zdecydowała się rezydentna Aśka, było wpisanie do wyszukiwarki hasła: Kashmira Jesień. Była pewna, że nic nie znajdzie. Jednak, ku jej zaskoczeniu, wyskoczył jej internetowy wywiad z tą kobietą sprzed dziesięciu lat. Zamieścił go jeden z poznańskich, lokalnych portali:

Kashmira urodziła się w Bombaju w Indiach. Przyjechała w latach siedemdziesiątych na studia na Uniwersytet Medyczny. Chciała leczyć ludzi, ale studiów nie skończyła. Poznała Karola i cały świat przestał dla niej istnieć. Potem jeszcze ta ciąża...

W wywiadzie Kashmira opowiadała głównie o swoim codziennym życiu w Poznaniu. Musiała m.in. odpowiedzieć na pytanie – dlaczego podczas stanu wojennego nie opuściła miasta i nie wyjechała z Polski.

Nie miałam czego szukać w Indiach. Moi rodzice byli radykalnymi zaratusztrianami. Nie akceptowali mojego męża Karola. Według nich zaratusztrianka powinna wyjść za zaratusztrianina, a nie tam jakiegoś chrześcijanina. Poza tym zawiodłam ich nadzieje związane z moją karierą. Nie skończyłam studiów medycznych. Przykro mówić, ale zerwali ze mną wszelkie kontakty.

Jak sama dalej przyznała, mimo wszystko nie porzuciła zaratusztrianizmu. Udało jej się odnaleźć w Polsce kilku wyznawców tej religii, ale jak sama zauważyła, w całym kraju nie było ich więcej niż kilkunastu. Padło również pytanie o jej jedynego syna.

Zbyszek to wieczny student. Już dawno powinien był skończyć studia, ale ciągle zmienia te kierunki. Czego on już nie studiował! Teraz wybrał religioznawstwo. Mam nadzieję, że przynajmniej to skończy. Zresztą chyba nie powinnam go pouczać, bo sama rzuciłam medycynę.

Aśka pokazała ten wywiad Rogerowi. Policjant uważnie go przeczytał. Po czym jeszcze bardziej spochmurniał.

– Że też ten gnojek mi się wymknął. Trzeba go jak najszybciej odnaleźć. Ktoś musi obserwować jego blok. Może Toporski i Gwarny?

– Myślę, że nie będzie z tym problemu. Opowiedz mi lepiej, jak poza tym przebiegła wasza wizyta w Ciężeniu? – zapytała Aśka.

Roger westchnął, ale zaraz potem opowiedział policjantce przebieg dzisiejszego poranka, pomijając dziki seks z panią prokurator w lesie.

– Zalewska pewnie prowadzi jak szatan? – zapytała Aśka, nie zdając sobie sprawy, że Zalewska ma diabelskie predyspozycje w całkowicie innych obszarach.

– Ujdzie – powiedział Roger. – A co z tą obiecaną listą wielkopolskich zaratusztrian i różokrzyżowców?

– To nie takie proste, ale pracujemy nad tym. Niecierpliwy jesteś. Ale dzwoniłam też do Słupcy, żeby wypytać o Szredera.

– I co?

– Czysty jak łąza, nasze bazy milczą na jego temat. Na szczęście Słupca nie jest dużym miasteczkiem – zaledwie kilkunastotysięcznym, w którym każdy zna każdego. I policjanci, z którymi rozmawiałam, kojarzyli go po prostu jako kolegę ze szkolnej ławki. Cichy, spokojny, ponoć wiecznie siedział w książkach. Nie miał za dużo kolegów. Wychowywany przez samotną matkę, jedynek. Rodzicielka, Regina Szreder, podobnie jak on później, pracowała w pałacu w Ciężeniu, ale potem przeniosła się do biblioteki w Słupcy. Ostatnie lata spędziła na rencie. Choruje na stwardnienie rozsiane – rozgadała się Aśka.

– Współczuję chłopakowi, ale widzę, że koledzy szkolni ze Słupcy są doskonale zorientowani w jego życiorysie. Skoro tak, to może coś wiedzą o jego relacjach z kobietami? Wygląda na takiego, co w ogóle ich nie ma, ale może jestem złośliwy...

– Jesteś. Tymczasem wróćmy do tego, co mi opowiedzieli chłopcy ze Słupcy. Niewiele wiedzą o jego relacjach z kobietami. Mikołaj jest bardzo skryty. Ale chyba gustuje w rudzielcach, bo ktoś tam kiedyś go widział w Słupcy z rudą dziewczyną.

- Profesor Staroń-Matuszewska? – wyrwało się Rogerowi.
- Też tak pomyślałam. Była jego kochanką?
- Niewykluczone. Ludzie są tylko ludźmi. A nie wyglądał mi na takiego. Jego też trzeba będzie obserwować.
- Ludzie są tylko ludźmi, ale my... nie mamy ludzi. Właśnie wysłałeś do obserwacji bloku Jesienia Gwarnego i Toporskiego. Ponadto obaj wspomagają Adriana w obserwacji Staronia – marudziła Aśka.
- Fakt. W porządku, Szreder może na razie poczekać – powiedział rozczarowany Kalita. Naciski mediów, przełożonych, a jemu brak ludzi.
- Krąg podejrzanych rozszerza się. Na początku mieliśmy męża i siostrę. Teraz dochodzi nam Jesień i Szreder.
- Na to wygląda.
- Które z nich według ciebie to morderca? – zapytała Aśka.
- Mąż albo siostra. Chociaż ten Jesień... Odrzucam na razie Szredera. Chociaż i on na śmierci ofiary może coś ugrać. Może awansuje i zajmie jej miejsce w Ciężeniu? Na pewno czeka nas jeszcze dużo roboty. Będziesz musiała przesłuchać tę drugą bibliotekarkę, Agnieszkę. Jest w domu, na urlopie macierzyńskim. Przesłuchaj też rodziców Jesienia. Zwłaszcza ta cała Kashmira wydaje się cenna.

†

Była siedemnasta, kiedy skończył służbę i wsiadł do swojego samochodu. Reszta dnia w pracy, po wizycie w Ciężeniu, przyniosła dalsze rozczarowania. Okazało się, że rodzice Jesienia zmarli kilka lat temu, a bibliotekarka Agnieszka nic nie wniosła swoimi zeznaniami do śledztwa. Dowiedzieli się tylko, jak ciężko jej się współpracowało z wredną przełożoną. Mikołaja Szredera ponoć lubiła, choć uważała, że w stosunku do szefowej był zbyt uległy i wyrozumiały. Jak podkreśliła – zawsze bronił profesorki, co ją, Agnieszkę, bardzo bolało, bo miała nadzieję, że choć raz powinien przyznać jej rację. Nie przyznawał. Jednakże oznak jakiegokolwiek romansu między Szrederem i Staroniową nie zauważyła. Według niej Mikołaj był zbyt miękki dla Małgorzaty. Poza tym nie miał pieniędzy, w przeciwieństwie do jej bogatego męża. A zwykłe porywy serca, w opinii Agnieszki, nie pasowały do profesorki. O natręcie Jesieniu słyszała, ale nie dorzuciła na jego temat niczego więcej, niż to, co powiedział im Mikołaj. Nuda.

Roger jechał teraz do teściów po Seweryna. Obiecał im, że spędzi z nim dzisiejszy wieczór, ponieważ Olszewscy wybierali się do znajomej, która obchodziła imieniny. Nie mógł i nie chciał odmówić. Teściowa czekała na niego z małym na podwórku przed żółtym szeregowcem, w którym mieszkali z pułkownikiem. Gdy zobaczyła swojego zięcia, odetchnęła z ulgą. Nie ukrywała, że się spieszy. Odebrał synka i zwyczajowo podziękował za opiekę, modląc się w duchu, żeby z niej na razie nie rezygnowała.

– Gdzie jedziemy? – zapytał Sewek, rozsiadając się wygodnie w swoim foteliku w Kubusie Puchatki.

– Do babci Franki – powiedział Roger, mając tak naprawdę na myśli swoją babcię, a dla Seweryna prababcię.

– Fajnie – ucieszył się Sewek.

Do babci Franki dojechali w pół godziny. Po drodze skoczyli jeszcze po coś słodkiego dla staruszki, która, jak to mawiała, uwielbiała wszystko, co niezdrowe, ale i tak kupowała bądź hodowała sobie na działce tylko to, co zdrowe. Może dlatego dożyła aż osiemdziesięciu lat i ciągle była w doskonałej formie. Chociaż kiedy ktoś częstował ją czymś słodkim i niezdrowym, ulegała.

Czekała na nich w środku swojego niewielkiego mieszkanka. Roger ze zgrozą zauważył, że jak zwykle nie zamknęła drzwi na klucz. Kiedyś nie była tak beztroska i nie zapominała o zamykaniu się na cztery spusty.

– Są już moje chłopięta – powiedziała, ciesząc się bardzo na ich widok i po kolei przytulając. – Ugotowałam pyszną zupkę...

– Babciu, ja już jadłem – powiedział Roger.

– Babciu, ja też – dodał Sewerynek.

– Sewku, ja nie jestem twoją babcią, tylko prababcią. Jestem babcią taty – poprawiła go Franciszka, tak jakby to miało jakieś znaczenie, ale sprowokowała jedynie niewygodne pytania.

– W takim razie, gdzie jest moja druga babcia? – zapytał Seweryn.

Franciszka nie zamierzała go okłamywać, nawet jeśli Roger sobie tego nie życzył, a prawda dla nikogo nie była wygodna. Prawda nigdy nie jest wygodna.

– Nie żyje – powiedziała po prostu.

– Jak moja mama? Poleciała do nieba?

– Tak – odpowiedziała Franciszka Kalita.

Roger wzdrygnął się. Olszewska musiała Sewkowi znowu nagadać tych bzdur o jakimś niebie, aniołkach itd. Roger nie wierzył w życie pozagrobowe. Był przekonany, że już nigdy nie spotka żony. Że on, podobnie jak ona, zamknie oczy na zawsze, nie poznając odpowiedzi na fundamentalne pytanie, czy coś czeka ludzi po śmierci. Nie czeka. Gdyby nawet istniało niebo, jego matka, a babcia Seweryna na pewno by tam nie trafiła. Zofii Kality, bo tak nazywała się jego rodzicielka, nie spotkał w życiu dobry los. Wychowywała ją samotnie mama, Franciszka, która dość szybko straciła męża, a ojca Zofii. Dziadek Rogera – Józef – lubił sobie ostro wypić i pewnego późnego wieczoru, wracając z popijawy, wpadł pod rozpędzoną wojskową ciężarówkę. Nie miał szans. Odtąd Franciszka sama wychowywała córkę, chociaż tak naprawdę nie miała na to czasu. Cały czas ciężko pracowała. Najpierw jako salowa w szpitalu, a po pracy sprzątała różnym ludziom po domach. Najczęściej partyjnym i profesorom. Harowała, bo chciała zapewnić swojej jedynaczce Zofii wszystko, co najlepsze. Miała nadzieję, że córka będzie się kształcić i będzie z niej tak po ludzku dumna. Nie było jej to dane. Przede wszystkim Zofia nie lubiła szkoły. Co gorsza, choć to zabrzmiało dziwacznie, była piękna i podobała się wielu mężczyznom. Nie mogła się opędzić od adoratorów. Matka ją przestrzegała, że skoro nie lubi się uczyć, to chociaż niech znajdzie sobie porządnego męża, który zapewni jej dostatnie życie. I Zofia początkowo słuchała matki i starała się być ostrożna w swoich sercowych wyborach. Do czasu. Po szkole podstawowej poszła do zawodowej. Uczyła się na kucharkę, bo lubiła gotować. Szkołę skończyła i poszła do pracy – do przykładowej stołówki. Ale nie zagrzała tam zbyt długo miejsca. Praca była ciężka, a koleżanki zazdrościły jej zjawiskowej urody. Ich ciągłe docinki spowodowały, że Zofia rzuciła niewdzięczną pracę. Następne kilka miesięcy spędziła bezproduktywnie w domu. Tymczasem matka dalej harowała, sprzątajac po domach. Jej ulubionym klientem był pewien profesor, który miał piękny dom. Jego żona ciężko zachorowała i potrzebował kogoś, kto by się nią dodatkowo opiekował i gotował obiady dla niej i całej rodziny. Franciszka nie miała na to czasu, ale niewiele myśląc, zaproponowała córkę. Profesor zgodził się bez wahania, nie spodziewając się nikogo nadzwyczajnego. Tymczasem przyszła do niego pracować oszałamiająca piękność. Nie potrzebował dużo czasu, aby ją uwieść i zrobić jej dziecko. Tym profesorem był jego ojciec, a dzieckiem – Roger. Zofia długo łudziła się, że profesor Górczewski zostawi dla niej żonę. Nic takiego się nie stało. Profesor zwolnił ją, dając jej większą sumę pieniędzy i obiecał, że będzie łożył na syna, ale żony dla niej nie zostawi. Słowa dotrzymał. Zofia siedziała z nowo narodzonym synem w domu, nie kwapiąc się do znalezienia pracy, co gorsza zaczęła balować. Matce tłumaczyła, że musi Rogerkowi szybko znaleźć ojca. Nie znalazła. Tylko coraz więcej balowała i popadała w coraz gorsze towarzystwo, o co nie było wcale trudno na poznańskim Świerczewie czy Dębcu. Franciszka, straciwszy cierpliwość, przestała dawać jej pieniądze, na co Zofia uniosła się honorem, wyszła z domu i już nie wróciła. Ludzie szybko zaczęli gadać, że się prostytutowała i sięgała po narkotyki. Widziano ją w różnych podejrzanych lokalach w Poznaniu, a latem na dancjach nad morzem w Międzyzdrojach i Kołobrzegu. Co dokładnie tam robiła – nie wiadomo. Faktem jest, że pewnego dnia zadzwoniono do Franciszki i poproszono ją, by przyjechała do prosektorium. Roger miał wtedy pięć lat. Franciszka nie miała go z kim zostawić, dlatego wzięła go za rękę i razem z nim pojechała do kostnicy. Tam zaprowadzono ją do sali, gdzie pokazano jej zwłoki córki. Roger czekał na nią na korytarzu. Zofia, jak się okazało, została brutalnie zgwałcona i zamordowana. Sekcja zwłok wykazała, że zanim umarła, była pijana w sztok. Sprawców bądź sprawcy nigdy nie ujęto. Do dzisiaj sprawa

pozostaje niewyjaśniona. To był też jeden z powodów, dla których Roger zdecydował się zostać policjantem. Właśnie po to, by takie sprawy były wyjaśniane. I aby pewnego, pięknego dnia pomścić matkę. Matkę, której w ogóle nie pamiętał. Nie miał szansy jej poznać. Bo najpierw balowała, a potem ją zamordowano. Zapytał kiedyś babcie, jaka była?

– Zależy, o jaki czas pytasz. Ludzie się zmieniają. Kiedy była dzieckiem, była taka żywa, energiczna i lubiana przez inne dzieci. Gdy dorosła, miała w sobie dużą radość życia, optymizm i poczucie humoru. Ale była beznadziejnie naiwna i lekkomyślna. Lubiała przygody i to był jej problem, bo przy takiej urodzie wróżyło to tylko kłopoty. Sama nie wiem, po kim odziedziczyła tę urodę. Chyba po swojej babci, a mojej matce – Anicie.

Anita Kaniewska była również wielką pięknoscią, ale cechował ją większy spryt niż jej wnuczkę Zofię. Dlatego wyszła dość bogato za męża, mimo że jej ojciec był zwyczajnym szewcem. Jej wybranek miał duży, elegancki sklep w centrum miasta. Początkowo pracowała u niego jako ekspedientka, ale wpadła mu w oko, zakochał się, a następnie zdecydował się z nią ożenić. W 1934 roku urodziła się ich jedyna córka – Franciszka. Pięć lat później, zaraz na początku wojny, podczas nalotów na dworzec w Poznaniu mąż Anity zginął. Chciał kupić bilety na pociąg, żeby wywieźć córkę i swoją ponownie ciężarną żonę na wieś. Jego przypadkowa śmierć załamała Anitę, która wkrótce po tej tragedii poroniła. Miała dwadzieścia pięć lat i od tej pory musiała sobie radzić sama. To takie typowe dla rodziny Kaniewskich-Kalitów. Śmierć drugiej połówki, cierpienie i samotność.

Kiedy Niemcy weszli do Poznania, po jakimś czasie wyrzucili Anitę z córeczką z pięknego mieszkania i przenieśli do wybudowanych przez siebie baraków przy ulicy Opolskiej, które stoją do dziś, i to w jednym z nich ciągle mieszka Franciszka. Anita niebawem straciła także sklep. Przejął go jakiś pazerny Niemiec, a po wojnie stał się własnością równie chciwego państwa ludowego. Pod koniec lat czterdziestych Anita ponownie wyszła za męża i urodziła syna, który od lat mieszka w Kanadzie. Franciszka i jej jedyny brat rzadko do siebie dzwonili. Mąż Anity, a ojczym Franciszki, był dobrym człowiekiem, choć niezbyt zaradnym, dlatego cała rodzina nigdy nie wyniosła się z obskurnego baraku przy ulicy Opolskiej. W wieku pięćdziesięciu lat ojczym zmarł na rozległy zawał, a Anita przeżyła go o zaledwie kilka lat. Zmarła pod koniec lat sześćdziesiątych. Zabił ją nowotwór.

– Roger, a może jednak coś zjesz? – zachęcała go babcia, widząc, jak bardzo jest zamyślony. Miała wrażenie, że jej wnukowi coś nie daje spokoju. Może coś mu poszło nie tak w pracy.

– Dziękuję, ale nie.

– Mam wrażenie, że coś cię gryzie? – zapytała w końcu Franciszka.

Roger nie odpowiedział jej od razu. Wyglądało to tak, jakby zbierał siły na jakieś nadzwyczajne zwierzenie. I faktycznie tak było, bo dotyczyło spraw męsko-damskich, o których Roger zawsze niechętnie opowiadał.

– Rozbudziłem dziś nadzieje w pewnej kobiecie, choć podoba mi się inna – wykrztusił wreszcie z siebie.

– To wspaniale – staruszka aż przyklasnęła. Ciągle liczyła na to, że jej wnuk w końcu otrząśnie się po śmierci Aleksandry. – Ile można żyć w tej żałobie, kiedy tyle pięknych kobiet wokół?! Ty masz w sobie tyle wrażliwości, choć udajesz twardziela. Obiecuj, że mnie tak długo nie będziesz opłakiwał jak Oli.

– Oczywiście, że będę. Byłaś mi matką.

– Można tak powiedzieć, ale jednak nie byłam i nie jestem twoją mamą. Cieszę się, że uniknąłeś losu Zosi. Zawsze się bałam, że możesz być taki jak mój mąż albo jak moja córka. Podatny na nałogi, lekkomyślny. Na szczęście stało się inaczej. Często myślę o Zosi i zastanawiam się, gdzie popełniłam błąd.

– Babciu, nie katuj się... – powiedział Roger.

Nie lubił, kiedy babcia roztrząsała przeszłość. Przy jej słabym sercu to nie był najlepszy pomysł.

– Nie miałam dla niej zbyt wiele czasu. Za dużo pracowałam.

– Byłaś wdową. Musiałaś to jakoś wszystko utrzymać w kupie.

– Wiem, ale w tym wszystkim zapomniałam o Zosi. Rogerku, nie popełnij mojego straszliwego

błądu. Za mało się zajmujesz Sewkiem. Praca pracą, ale... Mówi się, że na starość ludzie nigdy nie żałują, że za mało pracowali. Raczej, że za dużo. I to jest prawda, Rogerku.

– Babciu...

– Musisz mu poświęcać zdecydowanie więcej czasu. Sewkowi przydałaby się też troskliwa matka. Zastanów się, która z tych kobiet bardziej się do tego nadaje.

– Żadna – powiedział przekornie Roger. Może teraz babcia da mu spokój?

– Nie wierzę. Większość kobiet nadaje się na matki. Nie miałbyś przecież takiego pecha, żeby trafić na kogoś, kto nigdy nie powinien urodzić...

– Babciu, dajmy temu spokój... – przerwał, bo zadzwonił telefon. Spojrzał na wyświetlacz. To była Emilia. W duchu przeklął. Czego ta kobieta znowu od niego chciała? Wstał i wyszedł z mieszkania na dwór. Chciał w spokoju porozmawiać, choć zauważył, że uchylły się za nim drzwi wejściowe. Babcia Franka nie mogła powstrzymać swojej ciekawości.

– Co porabiasz? – zapytała Emilia.

– Jestem u rodziny.

– Nie sądziłam, że jesteś taki rodzinny.

– Czasem trzeba – powiedział wymijająco.

– Bo ja się bardzo nudzę. Znasz takie powiedzenie...

– Jakie?

– Gdy byłam dzieckiem i męczyłam ojca tekstami, że się nudzę, to mawiał: „W takim razie rozbierz się i ubrania pilnuj” – zachichotała.

– I co w związku z tym?

– No właśnie z tych nudów się rozebrałam i pilnuję ubrania – powiedziała ze śmiechem, po czym dodała: – Popilnujesz go ze mną?

– Przyjadę do ciebie za jakąś godzinę, dwie. W porządku? – odpowiedział niepewnie Roger. Po co znowu się w to pchał? Zamierza sobie całkiem skomplikować życie?

– Do tego czasu zamarznię, ale... niech ci będzie, poczekam. Mam nadzieję, że warto... – zaśmiała się frywolnie.

Nie sądził, że pani prokurator jest takim lubieżnikiem. Zakończył połączenie. Nagle coś go tknęło. Przypomniał sobie, że miał dzisiaj zadzwonić do Julii. Przeklął. To nie był najlepszy moment na tę rozmowę, ale wybrał numer. Czekał dłuższą chwilę i już miał się rozłączyć, kiedy usłyszał jej głos. Był ukojeniem dla jego uszu.

– Słucham?

– Cześć – powiedział krótko.

– Cześć. Miło, że dzwonicz.

– Zgodnie z obietnicą. To co z tym drinkiem?

– Będziesz jutro na siłowni? – odpowiedziała mu pytaniem.

– Jasne.

– To dobrze się składa, ja też tam będę. O osiemnastej zaczynam.

– To dobrze się składa. To co z tym drinkiem? – powtórzył pytanie.

– Może jutro o tym pogadamy? Fajnie by było, jakbyś mnie odwiózł do domu. Nie mam prawa jazdy. Chociaż zamierzam zrobić.

– Z miłą chęcią cię odwiozę.

– Wtedy pogadamy o tym drinku, dobra? – zapytała Julia.

– Dobra. A co u ciebie? Jak w pracy? – zapytał, choć nie wiedział, czy ona w ogóle pracuje.

– Jak zawsze, bez zmian – odpowiedziała wymijająco. – Muszę już kończyć, bo ktoś dobija mi się do drzwi. Pewnie sąsiadka.

– Albo przystojny sąsiad.

– Byłoby miło. W takim razie do zobaczenia – powiedziała Julia i rozłączyła się.

Roger westchnął. Nie czuł się dobrze w tym momencie. Za chwilę pojedzie do jednej kobiety, aby ją pieprzyć. A drugą próbuje usilnie namówić na drinka, aby potem też ją... pieprzyć. Poczł lekkie

obrzydzenie do własnej osoby, ale z drugiej strony, skoro dają, to czemu nie korzystać? Ponownie spojrzał na wyświetlacz komórki. Dostał SMS-a. Był od Aśki.

– Co te kobiety tak mnie rozchwytyją? – mruknął zadowolony z siebie.

Aśka jednak nie zamierzała go kusić. Napisała mu tylko trzy słowa: *Jesień jest różokrzyżowcem.*

21 sierpnia 2014, czwartek,
Poznań

Zdażył się obudzić przed ustawionym dzień wcześniej budzikiem. Zdarzało mu się to dość rzadko. Najczęściej wtedy, kiedy nie był u siebie. I faktycznie nie spał w swoim łóżku. To, w którym leżał, było o wiele lepsze i większe. Można nawet rzec, że luksusowe. Pościel była miękka, jedwabista w dotyku, a miejsce obok... puste. Spojrzał zaskoczony. Emilii już nie było. Musiała wyjść wcześniej. Przypomnił sobie wczorajszą namiętą noc. Najpierw wypili jakieś czerwone wino, zając się przy tym krwistymi truskawkami, a potem rozpoczęli swój lubieżny taniec zmysłów. Robili to wszędzie, gdzie się dało. Od eleganckiego salonu na białej kanapie, poprzez podgrzewaną i lśniącą posadzkę w kuchni po ogromne łoże w jej wystylizowanej sypialni. W całym jej domu kapą forsą, bo Emilia musiała mieć wszystko, co najlepsze. Czy z mężczyznami też tak było? Powątpiewał w to, nie był przecież narcyzem. Mógł zatem uznać, że mu się poszczęściło. Mimo to wiedział, że nic z tego nie będzie. Za szybko dostał to, czego chciał. Szkoda, bo Emilia była piękną, inteligentną i niezależną kobietą. I na pewno była bardziej zrównoważona niż ta cała Julia. To właśnie tej dziewczyny z siłowni pragnął, mimo że nic o niej nie wiedział, poza obrzydliwymi pomówieniami Orłowskiej. Wątpił też, żeby Julia pod względem inteligencji dorównywała Emilii. Westchnął i wygramolił się z łóżka. Mimochodem spojrzął na białą szafkę nocną w skandynawskim stylu. Na niej leżał kawałek kartki wyrwanej z jakiegoś starego, przeterminowanego kalendarzyka. Emilia napisała na niej, że on – Roger nie potrzebuje klucza do zamknięcia drzwi, ponieważ te samoistnie się zatrzasują, a w kuchni niech się czuje jak u siebie, bo na zrobienie mu śniadania nie miała już czasu.

– Typowe dla dzisiejszych kobiet. Chłop umrze z głodu, ale kobieta mu nie zrobi jedzenia, bo nie ma czasu – mruknął do siebie niezbyt serio. Wiedział, że przesadza. Spojrzał na komórkę, a tam czekało na niego nieodebrane połączenie od Kafła, który był na nocce, obserwując dom nieszczęsnego Grzegorza Staronia. Zadzwoił do niego.

– Dzwoniłeś? – zapytał.

– Tak. Całą noc obserwowałem chatę Staronia. Późno wieczorem przyjechała do niego jakaś laska. Bardzo ładna, nie powiem. Miał otwarte okno i udało mi się podsłuchać, o czym rozmawiali. Właściwie to się kłócili. W pewnym momencie ona wybiegła zapłakana z jego domu i prawdopodobnie wróciła do siebie.

– O co się kłócili?

– Staroń chciał zakończyć z nią romans. Obawiał się, że odkryjemy jego niewierność i oskarżymy go o zabójstwo żony – relacjonował Kafel.

– Jak zareagowała?

– Wściekła się. Mówiła, że jak teraz pojawiła się szansa na oficjalne, jak ona to nazwała, bycie razem, on chce wszystko spieprzyć.

– Jak widać, specjalnie nie przejęła się śmiercią Staroniowej. Zdażyłeś ustalić, kim jest jego kochanka?

– Dowiedziałem się, że pracują razem. Ona jest jego sekretarką. Ma na imię Sylwia. Nazwiska nie ustaliłem.

– Gdzie on teraz jest?

– U nas, na komendzie. Dyżurny zdecydował o jego aresztowaniu. Czeka tam na ciebie stęskniony – Kafel pozwolił sobie na ironię.

Roger w duchu przeklął. Wiedział, że ta samowola i pośpiech dyżurnego nie spodoba się prokuratorce.

– Stęskniony? Dyżurny czy Staroń?

– Staroń. Jeszcze jedno – powiedział Kafel. – Dziewczyny na nocce w końcu przejrzały monitoring z okolic Okrąglaka. Ja, niestety, nie znalazłem na to czasu, bo musiałem pilnować Staronia. Udało im się przygotować kadry osób, które wchodziły do budynku. Przejrzałem je i nie mam dobrych

wieści. Nie są zbyt wyraźne, poza tym kilku wchodzących miało założone kaptury albo wspomagali się parasolami, bo akurat padało tego wieczoru. No i sporo osób tam się kręciło, niestety. Nie sądziłem, że tylu ludzi przychodzi do tego całego Rotondo. Przecież to żadna nadzwyczajna knajpa.

– Dzięki, Kafel. Przejrzę to dzisiaj. A ty się wyśpij. – Kafel rozłączył się aprobująco.

Roger usiadł na brzegu łóżka i odwrócił kartkę z informacją od Emilii. Wypisał na niej cztery nazwiska: Magdalena Matuszewska, Grzegorz Staroń, Zbigniew Jesień i Mikołaj Szreder. Miał wrażenie, że coś łączyło te cztery osoby. To coś może doprowadzić go do odpowiedzi, kto jest zabójcą profesorki, ale równie dobrze może go zwieść na manowce. Kartkę schował do kieszeni spodni, które leżały niechlujnie rzucone na podłogę. Z dezaprobatą pokręcił głową. To nie było w jego stylu. Powinien był je złożyć w kosteczkę.

Szybko się umył i ubrał. Łazienka Zalewskiej była obszerna i pełna wszelkich udogodnień i nowoczesnych rozwiązań technicznych. W kuchni Emilii nie czuł się, wbrew jej nadziejom, jak u siebie, i ostatecznie nie skorzystał z jej lodówki wyposażonej w kostkarkę do lodu, choć przez chwilę rozważał położenie sobie dwóch kostek na opuchnięte powieki. Ale bardzo spieszyło mu się do pracy. Dopiero kiedy wsiadł do samochodu, zadzwonił do prokuratorki.

– Dyżurny zatrzymał Staronia – powiedział od razu. Nie miał ochoty na rzewne powitania czy pomruki zadowolenia przywołujące zeszłą noc.

– Słyszałam – rzuciła krótko.

– Pewnie ci się to nie podoba?

– Kochanka to nie powód, żeby zaraz zabijać żonę. Zresztą nie był chyba do niej zbyt przywiązany, skoro z nią zerwał. Mam na myśli kochankę oczywiście – powiedziała chłodno. Czyżby przewidywała, że on sam nie ma wobec niej jakichkolwiek poważniejszych zamiarów?

– Być może. Albo traci grunt pod nogami, stąd takie nerwowe ruchy.

– Macie zaledwie kilka godzin, żeby coś od niego wyciągnąć. Na więcej... nie ma mojej zgody. Nie będę się tłumaczyła przed mediami... A jak ci się spało? – nagle zmieniła ton. Z groźnej pani prokurator przeistoczyła się w zatroskaną kochankę. Miał nadzieję, że nikt postronny nie usłyszał tego pytania.

– Dobrze.

– Może to dzisiaj powtórzymy? – zapytała bez ceregieli.

– Zobaczymy – odpowiedział wymijająco. Poczłł nieprzyjemne gorąco. Otworzył szybę samochodową, aby złapać haust porannego powietrza.

– Pamiętaj, że macie niecały dzień, może nawet mniej. – Emilia ponownie zmieniła ton, po czym rozłączyła się.

Roger zaczął się zastanawiać, czy z tym limitem czasowym chodziło jej bardziej o Staronia czy o niego?

†

Grzegorz Staroń siedział zdenerwowany w sali przesłuchań i czekał na dalszy rozwój wypadków. Ostatnie godziny dostarczyły mu wielu wrażeń, niekoniecznie tych dobrych. Od kilku dni pochłaniały go przygotowania do pogrzebu. A także kłótnie z ojcem Małgorzaty o to, że Grzegorz niewystarczająco jej pilnował i że pozwolił ją zabić. I to nieznośne milczenie Magdaleny, która nie chciała z nimi wszystkimi gadać. Chociaż to go akurat nie dziwiło. Po tym wszystkim, co ją spotkało... Do tego dochodziły jeszcze pretensje Sylwii, że przestał odpowiadać na jej nachalne telefony... Zdawał sobie sprawę, że jego sytuacja jest nieciekawa. Zwłaszcza że jego adwokat miał akurat urlop i wyjechał na jakieś pieprzone Malediwy. Gorzej być nie mogło.

Do sali przesłuchań weszła Aśka, a zaraz za nią Roger. Dokładnie zamknęli za sobą drzwi. Grzegorz starał się na nich nie patrzeć, choć czuł, że usilnie próbują nawiązać z nim kontakt wzrokowy.

– Dlaczego nie powiedziałaś nam o kochance? – zapytał, w odczuciu Grzegorza zbyt bezpośrednio, Roger. Od kiedy ten policjant był z nim na ty?

– Nie pytaliście – odpowiedział z głupim uśmiechem Staroń.

Roger zazgrzytał zębami ze złości. Jak on nie cierpiał tego faceta. Z całej siły uderzył pięścią w stół.

– Przystań pieprzyć. Może właśnie dlatego ją zabiłeś. Przez swoją kochanicę.

– To nieprawda. Nie zabiłem Goški – zaprotestował biznesmen.

– Mamy ci uwierzyć na słowo?! Czy co? Powiem ci, jak było. Długo ukrywałeś ten romans, żonka jednak zaczęła się domyślać, że ją zdradzasz z jakąś młodką, i się wściekła. Straciłbyś minimum połowę majątku. I to wypracowanego głównie przez ciebie.

– Goška nie wiedziała o Sylwii. Nie miała prawa wiedzieć.

– Z powodu majątku, który poszedłby się... – Roger nie zdążył dokończyć.

– Goška była moją żoną i matką moich dzieci. A związku z Sylwią nie traktowałem poważnie.

Nigdy nie zostawiłbym żony – powiedział szybko Grzegorz.

– Może powtórzysz to tej dziewczynie? Na pewno się ucieszy... – odparł sarkastycznie Roger.

– A ty zawsze byłeś w porządku wobec wszystkich kobiet, z którymi sypiałeś? – zapytał odważnie Staroń.

Roger w duchu przeklął. Nie był. Nie zawsze był w porządku wobec swoich kobiet. Zwłaszcza w ostatnich dniach.

– Nie twój zasrany interes. Mnie nie mordowano moich kobiet, nie pozwoliłbym na to – wycedził tylko przez zęby.

– Ludzie nie są monogamistami. Kto wie? Może moja żona też nie była święta?

Roger uśmiechnął się szyderczo. Typowa reakcja obronna niewiernego żonkosia. Może nawet psychopatycznego mordercy?

– Ostatnio twierdziłeś, że nie podejrzewałeś jej o romans.

– Ostatnio byłem w szoku. Dowiedziałem się, że ktoś zamordował moją żonę.

– Kontynuuj...

– Bardzo ceniła swojego bibliotekarza, Mikołaja Szredera, czy jak mu tam było. Sporo o nim wiedziała, a to ponoć skryty człowiek. Chciała, żeby zaczął robić habilitację. Namawiała go do tego. Może nie bez powodu?

Roger czuł, jak go swędzą pięści. Ten człowiek, ponoć wzorowy mąż, nie stosował się do zasady, że o zmarłych mówi się dobrze albo nie mówi się wcale.

– Porozmawiajmy jednak najpierw o Sylwii – wtrąciła się Aśka. – Jak się poznaliście? Jak długo to trwało?

– Sylwię zatrudniłem trzy lata temu. Moja poprzednia sekretarka zwolniła się i potrzebowałem kogoś nowego. Sylwia od razu mi się spodobała. Ładna, inteligentna, samotna. Zainteresowałem się nią. Rok później zaczął się nasz romans. Nie traktowałem tego jednak zbyt poważnie.

– A jak ona to traktowała? – drążyła Aśka.

– Poważniej. Jakiś czas temu zaczęła mnie naciskać, żebym rozwiódł się z żoną. Nie chciałem. Z tego powodu coraz częściej się kłóciliśmy.

– Jak zareagowała na śmierć ofiary?

– Zaraz po tym, jak byliście u mnie, zadzwoniłem do niej. Wydawała się zaskoczona jej śmiercią, ale dość cynicznie zauważyła, że nie ma już żadnych, najmniejszych przeszkód, abyśmy byli razem. Wzburzyła mnie tym i rozłączyłem się. Ona potem do mnie wydzwaniała, ale nie chciałem już z nią rozmawiać. Nie odbierałem telefonu. Pewnie dlatego wczoraj wieczorem przyjechała do mnie, do domu. Co ona sobie myślała? Że tak łatwo otrząsnę się po śmierci Goški?! – uniósł się Staroń.

– Nie zamierzasz z nią dalej być? Przecież teraz możesz się nią bezkarnie nacieszyć – zapytała gorzko Aśka.

Roger spojrział na nią kątem oka. Miał wrażenie, że jej oczy niebezpiecznie lśnią. Za bardzo solidaryzowała się z porzuconą kochanką Staronia. Roger wiedział, że musi to przerwać.

– Oj, czy tak bezkarnie, to się jeszcze okaże – powiedział śledczy.

– To chyba nie jest istotne dla przesłuchania? – Staroń zignorował jego uwagę.

– Jest – powiedziała z naciskiem Aśka. Nie odpuszczała przesłuchiwanemu ani na milimetr.

– Nie, nie będę. Moje dzieci potrzebują teraz spokoju, a nie nowego związku ojca. Zresztą Sylwia jest zbyt porywcza. To choleryczka. Codziennosc z nią byłaby koszmarem. Długo bym tego nie wytrzymał.

– Proszę podać nam jej dokładne dane – powiedziała zrezygnowana Aśka. Facetów nie da się zreformować.

– Przesłuchamy twoją gołąbeczkę i kto wie, co nam powie. Więc może zamiast łąać, przyznaj, że zamordowałeś żonę. Przystaniemy tracić nasz cenny czas. Może nawet ty coś na tym ugrasz. Może zamiast dożywcia dostaniesz jedyne dwadzieścia pięć lat? Za chwilę przeszukamy ci chatę – stwierdził Roger.

– Nie zabiłem Goški, do cholery! A w moim domu nic nie znajdziecie – uniósł się biznesmen.

†

Sylwia Kobiela. Tak nazywała się kochanka Grzegorza Staronia. Nie zastał jej w firmie. Dowiedział się, że jest na zwolnieniu lekarskim. Wypytał też pracowników o szefa. Nie mieli o nim najlepszego zdania. Uważali, że jest skąpcem, który najbardziej i najchętniej oszczędza na swoich pracownikach. To nie zaskoczyło Rogera. Taka sytuacja była w Polsce dość typowa. Pracownicy Staronia nie przepadali również za Sylwią. Ponoć zadzieriała nosa, odkąd zaczęła sypiać z szefem. Kalita zaczął się zastanawiać, czy te plotki o romansie biznesmena nie dotarły jednak do Staroniowej? Pracownicy stwierdzili jednak, że to nic pewnego, bo pani profesor prawie w ogóle nie zaglądała do męża w firmie. Nie miała pojęcia o jego biznesach i trzymała się od tego wszystkiego z dala.

Rogera czekały dalsze rozczarowania. Przeszukanie domu Staronia również nie przyniosło satysfakcjonujących rezultatów. Nie znaleziono żadnych śladów krwi czy resztek spalonych ubrań. Tym bardziej nie natknięto się na narzędzie zbrodni, którym pogruchotano ofierze kości. To chyba nie był dobry dzień dla śledczych. Nie pozostało nic innego, jak odwiedzić kochankę Staronia.

Sylwia Kobiela mieszkała w nieciekawej kamienicy przy ulicy Głogowskiej, niedaleko Dworca Zachodniego. Drzwi otworzyła mu wychudzona na wiór kobieta w średnim wieku, matka sekretarki. Obok niej kręcił się mały, zasmarkany chłopiec. Był to najmłodszy brat Sylwii, która z kolei była najstarsza z dość liczego rodzeństwa.

– Przepraszam za bałagan... – powiedziała sterana życiem kobieta. Miała niedbale, na szybko spięte włosy. Była ubrana w podomkę ze sztucznego, błyszczącego materiału.

Roger z niesmakiem pomyślał, że musiała się w niej pocić jak mysz.

– Ale przy szóstce dzieci nie jest łatwo – kontynuowała kobieta, która dość szybko okazała się gadatliwą osobą. – Co prawda dwójka najstarszych jest już dorosła, ale wie pan, jak to jest. Sylwia pracuje, ale jej brat... Szkoda gadać. Nie garnie się do roboty. Tyle razy mu mówiłam, żeby wziął się za siebie. Córka jest w swoim pokoju. – Kobieta zaprowadziła go do niewielkiego pomieszczenia z oknem oblażącym z białej farby i wychodzącym na tak zwaną studnię, czyli niewielkie podwórko otoczone zewsząd innymi kamienicami. Na łóżku pod zielonkawą ścianą leżała skulona Sylwia. Była bardzo ładna. Miała długie, czarne, lśniące włosy i wielkie oczy o pięknym kształcie. Te oczy były teraz prawdziwą studnią smutku, niemal jak to podwórko za rozpadającym się oknem.

Jak taka piękność mogła zakochać się w takim idiocie, jakim był Staroń? Ten cały Grzesio był kretyńcem, że nie chciał kontynuować z nią romansu. Albo kłamał i nie zamierzał się wcale z nią rozstawać – pomyślał Roger, milcząc i badawczo przyglądając się Sylwii.

Matka dziewczyny wyszła z pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

– Pan z policji? – zapytała słabo dziewczyna, tak jakby była chora.

– Tak.

– Już wiecie o mnie? – zapytała cicho.

– Sylwia Kobiela?

– Tak.

– Co mamy wiedzieć o pani? – zapytał podstępnie Roger.

– No że ja i Grzegorz... byliśmy razem – odpowiedziała mu nieśmiało Sylwia.

– Ile pani ma lat? – zapytał ze zwykłej ciekawości, ignorując całkowicie jej szczerą wypowiedź.

– Dwadzieścia pięć.

– Niewiele. Niech mi pani opowie o swoim związku z Grzegorzem Staroniem.

– Poznaliśmy się jakieś trzy lata temu. Zrobiłam licencjat, ale nie miałam kasy na kontynuację studiów i musiałam pomóc rodzicom, dlatego się u niego zatrudniłam. Wydawało mi się, że miałam szczęście, że do niego trafiłam. Ale teraz to już nie wiem. Chyba mnie wykorzystał.

– Szybko zostaliście... parą?

– Jakieś dwa lata temu.

– Poznałaś jego żonę? – niespodziewanie przeszedł na ty. Nie obeszło jej to.

– Tak, ale nie widywałam jej zbyt często. Nie interesowała ją praca Grzegorza. Czasami miałam wrażenie, że nie interesował ją sam Grzegorz. Ona miała swój świat. Chyba uważała się za lepszą od niego, mimo że o wiele więcej od niej zarabiał. Mnie traktowała jak powietrze. Była zapatrzona w siebie.

– I może dlatego ją zamordowałaś? – zapytał niespodziewanie.

– Co pan? Ja? Ciekawe w jaki sposób? Nawet nie wiem, jak to się robi. Czytałam w Internecie, że ją uduszono. Ja przy niej jestem dość drobna. Gdzie bym dała jej radę? Nie lubiłam jej, to fakt. Czy to jednak wystarczający powód, żeby kogoś zamordować? Niech pan nie żartuje. Ja jestem przyzwoitą dziewczyną.

– Przyzwoita dziewczyna, która próbuje odbić innej kobiecie męża – Roger parsknął śmiechem. Tak dobrego dowcipu dawno nie słyszał.

– Może ma pan rację, ale zakochałam się. Zresztą wobec niej nie miałam żadnych wyrzutów sumienia. Sama nie była lepsza.

– Tak? Niby dlaczego?

– Bo pani profesor sama odbiła Grzegorza innej kobiecie – odpowiedziała triumfalnie, widząc zaskoczenie w oczach swojego rozmówcy.

– Widzę, że ten twój ukochany to dość łatwo dawał się uwodzić i odbijać – zauważył sarkastycznie Roger, co nie uszło uwagi Sylwii.

– Proszę sobie nie kpić. Wszystko panu powiem, tylko proszę sobie nie kpić. Do niedawna byłam w stanie wszystko dla niego zrobić... – Gładkie oblicze Sylwii nagle mocno spochmurniało.

– I dlatego zabiłaś jego żonę?

– Nie. Boję się pana... Proszę dać mi dojść do słowa...

– Dobra, mam nadzieję, że warto...

– Grzegorz początkowo nie był z Goską, tylko z Magdą – jej młodszą siostrą – powiedziała Sylwia szeptem, chociaż poza nimi nie było nikogo w pobliżu.

– Naprawdę? – to akurat mocno zaskoczyło Rogera. Dlaczego, do cholery, nikt mu o tym nie powiedział? Ani Staroń? Ani ojciec ofiary – profesor Matuszewski? Ani sama Magdalena? Może mieli swoje powody?

– Magda poznała go na studiach. Mocno się zakochała. Zaraz po studiach chciała za niego wyjść, ale Gośka zaproponowała jej doktorat. I dopiero po doktoracie, według niej i ich ojca, tak wtedy gadali, Magda powinna wyjść za męża i zdecydować się na dziecko. Utwierdzał ją w tym przekonaniu także Grzegorz, który sam nie palił się wtedy do ożenku. Magda ich wszystkich posłuchała, przede wszystkim dlatego, że naciskał ją jej ukochany ojciec, który tak naprawdę miał ją gdzieś. Nie tylko on. Kiedy pisała doktorat, Gośka odbiła jej niedoszłego męża. Ponoć spiła go winem i uwiodła. Tak twierdził Grzegorz. Finał był taki, że Magda o wszystkim się dowiedziała. Niby przypadkiem. Siostrzyczki się pokłóciły. Gośka zagroziła, że jak będzie świrowała i nie odpuści sobie Grzegorza, to udupi jej doktorat. Magda uniosła się honorem i sama odeszła z uczelni. Oni tam pewnie wam gadali, że jej praca doktorska była słaba, ale to nieprawda. Bywały gorsze. Grzesiek nawet próbował wrócić do Magdy, latał za nią jak głupi, ale wysłała go do diabła. No to wrócił potulnie do Gośki, prosząc ją o wybaczenie. Okazała swą łaskę, dlatego nie pozostało mu nic innego, jak ożenić się z nią. Potem pojawiły się dzieci, ale wątpię, żeby łączyło go z Goską jakieś głębsze uczucie. Gdyby tak było, nie przyleciałby do mnie – powiedziała z przekonaniem.

Roger wołał nie przytaczać tego, co powiedział im dzisiaj Staroń na komendzie na temat swojego romansu z Sylwią.

– Wspaniale rodzeństwo i jeszcze lepsza historia – skomentował tylko.

– Mam nadzieję, że to sarkazm.

– Kto według ciebie zamordował ofiarę?

– Nie wiem, ale... – Sylwia zawahała się.

– Ale...

– Teraz tak sobie myślę, że może przez te wszystkie lata Grzegorz wcale nie odpuścił sobie Magdy. Zawsze wypowiadał się o niej w samych superlatywach. Wkurzało mnie to. Kto wie, może potajemnie wrócili do siebie i zamordowali Małgorzatę? – snuła domysły Sylwia. Jej piękne brwi powędrowały niebezpiecznie w górę czoła. Były tak wygięte, że wyglądały, jakby miały za chwilę pęknąć. Musiała być naprawdę wściekła na Staronia, że ją zostawił. Teraz napuszczała na niego policję. A może była jakąś paranoiczką i po prostu sobie coś ubzduriała?

– To chyba zbyt wydumane – zauważył Roger.

– Może, ale w ostatnich miesiącach relacje między siostrami stały się naprawdę lodowate. Nawet do siebie nie dzwoniły.

– Magdalena zeznała, że Małgorzata czegoś złośliwie jej nie oddała – zauważył policjant.

– Akurat. Ja jeszcze z jakieś pół roku temu myślałam, że zapomniały o przeszłości, bo nastąpiła między nimi jakaś dziwna odwilż, ale potem nagle znowu przestały ze sobą gadać.

– Dlaczego?

– Nie mam pojęcia. Grzegorz nie chciał mi powiedzieć. Milczał jak zakłęty.

– A może to jednak ty zamordowałaś ofiarę? – nie ustępował Roger. Zamierzał z niej jak najwięcej wyciągnąć. – Chciałaś mieć Staronia tylko dla siebie? Usunięcie jego żony wydawało się rozwiązaniem tego problemu. Nie przewidziałaś tylko jednego.

– Niby czego?

– Że nadal nie będzie chciał być z tobą – nie mógł się powstrzymać Roger. Sam nie rozumiał, dlaczego tak bardzo chciał dokopać tej młodej kobiecie.

– Jest pan potworem – powiedziała ze łzami w oczach Sylwia. – Może już pan opuścić mój dom? Powiedziałam już wszystko, co wiedziałam. Wątpię, żebym mogła jeszcze bardziej pomóc. Proszę wyjść.

– Z przyjemnością – wycedził przez zęby Roger i ruszył do drzwi. Denerwowała go ta rozbeczana małolatka i wreszcie zrozumiał dlaczego. Czy naprawdę była tak naiwna, myśląc, że teoretycznie dojrzały facet opuści dla niej żonę, dzieci i wygodny dom? Musiała mieć zbyt wysokie mniemanie o sobie.

†

Na komendzie czekała już na niego Emilia. Piła czarną jak smoła kawę z papierowego kubka, udając przy tym, że go nie widzi. Była naprawdę niewyobrazalnie wściekła.

– Przypominam ci, że to ja jestem prokuratorem, a nie ty – wycodziła do Rogera. – Miałam nadzieję, że pojedziemy razem do kochanki Staronia.

– Przecież powiedziałaś, że zostawiasz mi wolną rękę – przypomniał jej policjant.

Na te słowa nieco złagodniała.

– Zgadza się, ale cisną mnie, żebym bardziej zaangażowała się w to śledztwo. Mój ojciec, przełożeni, media, politycy i sam diabeł chyba wie, kto jeszcze. Inne śledztwa na razie zarzucam, między innymi to związane z szajką pedofilską. Może właśnie o to im chodziło, żebym zarzuciła ten temat, bo podejrzewam, że kilka tak zwanych autorytetów jest w tę sprawę umoczonych. Tak czy siak, muszę się bardziej zaangażować w sprawę Staroniowej. Od tej pory trzymamy się razem, czy chcesz tego, czy nie.

– Dobra – odburknął i zeźlił się na siebie. Znowu użył tego irytującego słowa „dobra”.

– Trzeba dokładnie przeszukać mieszkanie Jesienia. Najlepiej dzisiaj. Najlepiej zaraz. Chętnie się przejadę.

– Co? Teraz?

– Spokojnie, za chwilę. Miałeś jeszcze raz przesłuchać Staronia. Chcę w tym uczestniczyć. Potem pojedziemy do Jesienia.

– Jak chcesz – mruknął Roger. – Panie przodem. Oboje ruszyli długim korytarzem w kierunku sali przesłuchań.

Emilia po drodze dokończyła kawę z papierowego kubka, dziwnie się przy tym krzywiąc. Kubek następnie wylądował w przypadkowym koszu. W sali przesłuchań nie było jeszcze Staronia. Musieli poczekać, zanim go przyprowadzą. Przez kilka chwil w niewielkim, choć niezbyt przytulnym pomieszczeniu panowała krępująca cisza. Najszybciej milczenie zaczęło drażnić Zalewską.

– Wpadniesz dzisiaj do mnie? – zapytała miękko Emilia, uśmiechając się przy tym lekko. Na chwilę przestała być groźną prokuratorką, przeistaczając się w słodką kobietkę. Samotność musi być dla niej naprawdę nieznośna.

– Emilia, nie mogę. Muszę się zająć synem.

– Teściowa się nim nie zajmie?

– Dzisiaj nie.

– To przyjedź jutro – zaproponowała. Była uparta. Nie potrafiła przegrywać.

– Zobaczymy... – Roger nie dokończył, bo do sali akurat wszedł młody policjant, wprowadzając aresztanta Staronia. Kazał mu usiąść.

– Prokurator Emilia Zalewska – powiedziała kobieta i podała rękę Staroniowi. Mężczyzna nie odwzajemnił tego gestu, więc prokuratorka szybko cofnęła dłoń.

– Rozmawiałem z twoją Sylwią. I nie mam dobrych wieści. Wsypała cię – powiedział szybko Roger.

– Niby z czym?

– Opowiedziała mi, że kiedyś byłeś z Magdaleną Matuszewską – powiedział wolno Roger, obserwując twarz mężczyzny. Staroń próbował ukryć zaskoczenie, ale szczerze mówiąc, kiepsko mu to wyszło.

– Mogę odmówić zeznań? – zapytał nieco zaskoczony. Wiadomość, że policja dowiedziała się o jego romansie z Magdaleną, wyraźnie zbiła go z tropu.

– Możesz. Ale jestem przekonana, że to nie pan zabił żonę, zatem swoimi zeznaniami mógłby nam pan po prostu, po ludzku, pomóc – powiedziała Emilia, patrząc Staroniowi prosto w oczy. Łgała jak z nut.

– Co taka piękna kobieta robi w prokuraturze? – zapytał zbyt słodko Staroń.

Roger miał ochotę mu przyrznać.

– To co brzydcy mężczyźni. Pracuję. A zatem? – nie poddawała się Zalewska.

– Macie szczęście, że mój adwokat jest na Malediwach. Pewnie kazałby mi milczeć, ale jestem niewinny i nie zamierzam utrudniać wam śledztwa. Chcę, aby morderca mojej żony został ujęty. Mam jednak wrażenie, że błędzicie i szukacie nie tam, gdzie trzeba. Tak, byłem z Magdaleną, ale co to zmienia? Przybliży was do złapania mordercy? Bardzo w to wątpię. Wracając jednak do Magdaleny... To była taka studencka miłość, chyba jednak niezbyt głęboka. Magda była i jest bardzo ładna, ale nie miała takiego zadziornego charakteru jak jej siostra – Małgorzata. Moja żona zawsze dostawała wszystko, na co miała ochotę. Włącznie ze mną. Skrzywdziła przez to własną siostrę, niestety.

– Chyba skrzywdziliście, do tej krzywdy potrzeba było dwojga – skarciła go ostro prokuratorka. – Jak to się stało?

– Jak zostałem uwiedziony? Dziwnie to brzmi, może nawet pomyślicie, że jakaś niezguła ze mnie, ale tak właśnie było. Napisałem wiadomość do Magdy, żeby przyjechała do mnie, że mam tak zwaną wolną chatę. Jej telefon przejęła Małgorzata. Zaczęła w nim grzebać i przeczytała moją wiadomość. Prawdopodobnie szybko ją wykasowała i tyle. Potem kupiła wino i przyjechała do mnie, jak to wtedy określiła, pogadać. Osiągnęła to, co chciała, a ja się temu poddałem. Oczywiście jej wizyta nie skończyła się na rozmowie – zarechotał, ale zły wzrok prokuratorki i policjanta przerwał jego głupkowaty śmiech. Chyba przekroczył pewną granicę.

– Dość mało męskie – zauważył kpiąco Roger.

– Przy mojej żonie mało kto czuł się męski. Zawsze wszystkimi rządziła. Panem też by rządziła. Zapewniam.

– Sylwia Kobiela zeznała, że kilka miesięcy temu stosunki pomiędzy siostrami szczególnie się ochłodziły. Wiesz dlaczego? – dopytywał Roger, ignorując jego prowokacyjną wypowiedź.

– Nie mam zielonego pojęcia, choć to prawda, faktycznie ich relacje się ochłodziły. Magda nigdy nie wybaczyła Goście, że rozbiła nasz związek, ale ze względu na ojca starała się mieć z nią w miarę poprawne stosunki. Ojciec dla obu dużo znaczył, choć wyraźnie faworyzował Gośkę. Magda go zawiodła, bo nie poszła, jak to się mówi, w naukę. Generalnie to chyba nie za wiele w życiu osiągnęła. – Roger skrzywił się, słysząc te słowa. Dla Staronia miarą człowieka był zapewne stan jego konta. Postanowił zmienić temat.

– Zna pan Zbigniewa Jesienia?

– Nie. A kto to?

– Nachodził pana żonę w pracy i jej wygrażał. Chodziło o jej planowaną książkę o różokrzyżowcach. Szreder powiedział nam, że ją kończyła.

– Coś tam opowiadała o tej książce. Przyznam się, że słuchałem tego jednym uchem. Nie za bardzo interesują mnie te kwestie. Wiem jednak, że żona wiązała wielkie nadzieje z tą książką, ale nie mówiła, że ma jakieś problemy z tego powodu. Pierwsze słyszę o jakimś Jesieniu.

– Niewiele wiesz o swojej żonie – zauważył zgryźliwie Roger.

– Być może. Oboje byliśmy zapracowani i często się mijaliśmy, niestety. Pewnie nie chciała mnie martwić. Teraz żałuję – powiedział dziwnie pogodnie Staroń.

– Chcesz jeszcze o coś zapytać? – zwrócił się do Zalewskiej policjant.

– Nie, dzięki. Jedźmy już, gdzie mieliśmy jechać – odpowiedziała prokuratorka. Chciała jak najprędzej odwiedzić mieszkanie przy ulicy Arciszewskiego.

†

Nie zaskoczyło ich, że mieszkanie Jesienia przedstawiało obraz nędzy i rozpacz. Widać, że mieszkał sam i nie za bardzo dbał o to lokum. Wnętrze mieszkania w pewnym stopniu przedstawiało również stan jego psychiki. Dwupokojowe lokum było zabałaganione, wręcz zabagnione, niesprzątane od miesięcy. We wszystkich pomieszczeniach zalegały różnego rodzaju książki, stare gazety i pomięte papiery. Większość z nich została chyba wyciągnięta ze śmietników albo kupiona za grosze na różnego rodzaju kiermaszach czy targach staroci. Ponadto w mieszkaniu mocno śmierdziało, ponieważ pan Jesień nie raczył sprzątać różnego rodzaju odpadków i resztek jedzenia.

– W tym całym bałaganie brakuje jedynie zwłok jakiejś zaginionej od tygodni osoby – powiedział sam do siebie Kalita.

W komunistycznych szafach nie znaleźli również żadnego trupa, nawet takiego metaforycznego. W całym mieszkaniu, w niespodziewanych miejscach potykali się o różnego rodzaju brudną odzież. Również bieliznę, co najbardziej zdegustowało Emilię. Chyba żałowała, że zdecydowała się na tę eskapadę. Roger czuł z tego powodu lekką satysfakcję.

W kuchni jego wzrok przykuła ogromna tablica korkowa, do której przyczepione były różnorodne papierzyska. Nie brakowało różnego rodzaju wyblakłych paragonów, kiczowatych wizytówek, niezapłaconych rachunków – wszystkiego, czego zazwyczaj można było się spodziewać na tego rodzaju tablicy. Nie brakowało jednak na niej również rzeczy nietypowych: wycinków z gazet i wydruków z Internetu dotyczących pani profesor Staroń-Matuszewskiej oraz jej zdjęć. Co więcej – fotografii robionych ofierze z ukrycia, gdzieś zza węgła. Ten Jesień wydawał się naprawdę niezłym oszołomem.

– Może to on jednak zamordował Staroniową – szepnęła Emilia, patrząc na zdjęcia jak urzeczona.

Roger, mając na dłoniach rękawiczki, odczepił plik fotografii z tablicy i razem z panią prokurator za plecami zaczął je przeglądać. Na pierwszym ze zdjęć pani profesor prawie ginęła w tłumie studentów. Jesień musiał zrobić tę fotografię na uczelni między wykładami, kiedy Staroniowa zmierzała do swojego gabinetu bądź do bufetu na małą czarną. Następne zdjęcie zrobiono jej z oddali, w parku, podczas

spaceru z dziećmi. To musiały być okolice stadionu lekkoatletycznego Olimpii. Park Manitiusa – teren dawnych cmentarzy ewangelickich. Wzdrygnął się na ich wspomnienie, tak jakby były jakąś samospełniającą się przepowiednią i spojrział ponownie na zdjęcia. Kolejne fotografie zrobiono wieczorem i do tego zoomem, z tego powodu były nieco niewyraźne, przedstawiały panią profesor z jakimś mężczyzną. Ten człowiek coś jej podawał. Kolejne zdjęcie było jeszcze większym zbliżeniem, na którym widać było, co ów mężczyzna przekazywał Małgorzacie Staroń-Matuszewskiej. Woreczek z nieokreślonym, białym proszkiem.

– Czyżby dragi? – zapytał sam siebie Roger.

– No co ty? Szanowana profesorka by ćpała? – wątpiła Emilia.

– Świętsi od niej ćpali. Włącznie z duchownymi. Kiedyś miałem sprawę...

– Sprawdź, czy jest coś na odwrocie tych zdjęć – przerwała mu szybko Zalewska. Nie chciała wchodzić w dyskusję na tematy religijne z tym ateistą. Ona sama głęboko wierzyła w Boga, choć zdawała sobie sprawę, że ma wiele grzechów na sumieniu.

Roger posłusznie odwrócił fotografie. Na zdjęciach zrobionych z domniemanym dilerem czerwonym flamastrem napisano słowo: „ćpunka!!!”. Jesień był wyraźnie podniecony, kiedy to pisał.

– Ale świr! – wymknęło się Emilii.

– Skądś znam tego typka, który sprzedaje towar Staroniowej. Będę musiał go namierzyć. – Uwagę Rogera przykuło co innego. Znajoma twarz dilerka nie dawała mu spokoju.

– I prawidłowo, byle jak najszybciej. Może nam powie, na co była koka profesorce.

– Równie dobrze to może być amfa – poprawił ją Roger.

– Amfa jest dla dzieciaków, a nie dla elit – zaśmiała się prokuratorka.

– Naprawdę? A ty skąd to możesz wiedzieć? – zapytał całkiem serio Roger.

– Nie martw się. Nie biorę.

– Żartowałem. Gwarny i Toporski zajmą się zabezpieczaniem tego gówna, a my musimy teraz przejechać się do ojczulka naszej ćpunkki.

– Domniemanej ćpunkki – poprawiła go Emilia.

†

Profesor Matuszewski jeszcze tydzień temu uwielbiał te ostatnie chwile w pracy spędzane przed wyjściem do domu. Czuł wtedy zazwyczaj zadowolenie, że udało się tak dużo załatwić oraz radość, że niedługo wróci do swojego zadbanego domu, położonego wśród kojącej zieleni, zaparzy sobie miętowej herbaty, następnie zatopi się w lekturze i to nie zawsze tej historycznej. Może w międzyczasie zadzwoni Małgorzata, aby umówić się na weekendowe spotkanie z wnukami u niego w domu. Teraz już nie czekał z radością na koniec pracy. Wiedział, że córka już nigdy do niego nie zadzwoni. I co gorsza musi dalej załatwiać sprawy związane z jej pogrzebem. Druga córka, Magdalena, przykro mówić, wypięła się na niego. Nie odzywała się i nie odbierała telefonu. A zięć całymi dniami siedział w domu i pił. Wszystko spadło na barki jego i żony, a przecież nie był już najmłodszy i bardzo kochał tę swoją córkę, już nieboszczkę. Na żonę zresztą nie miał co liczyć, mroki depresji pochłonęły ją całkowicie. Profesor westchnął, jeszcze chwila, a wyłączy komputer, pochowa dokumenty i ruszy do domu. Nie było mu to jednak dane. Nie od razu. Ktoś załomotał do drzwi.

– Proszę – powiedział słabo. Chciał umrzeć. Miał nadzieję, że za drzwiami były jakieś draby, które przyszły go zamordować albo przynajmniej kostucha we własnej osobie. Nic z tego. To był ten sam policjant, który go ostatnio przesłuchiwał, a razem z nim całkiem ładna kobieta.

– Roger Kalita...

– Pamiętam – przerwał mu profesor.

– Prokurator Emilia Zalewska – przedstawiła się całkiem ładna kobieta.

– Zalewska? Pani ojciec nie jest przypadkiem też prokuratorem? – zapytał profesor z nadzieją w głosie. Dobrze znał jednego Zalewskiego.

– Dokładnie tak.

– Miałem przyjemność go poznać. Zacny człowiek. Ale w czym mogę pomóc? Wiecie już, kto...

zabił moją córkę?

– Niestety, nie, ale mamy pewne podejrzenia – zauważył Roger. – Czy słyszał pan o kimś takim jak Zbigniew Jesień?

– Nie, pierwsze słyszę.

– Szkoda. Ten człowiek śledził pana córkę, robił jej zdjęcia i być może szantażował. Proszę jednak te informacje zachować dla siebie, to nie może trafić do mediów – powiedziała Emilia.

Roger w duszy nie pochwalał tej otwartości.

– Podejrzewamy też, że za zabójstwem Małgorzaty mógł stać jej mąż, Grzegorz Staroń. W ostatnich latach romansował ze swoją sekretarką.

– Łobuz jeden – wykrztusił z siebie profesor. Przez chwilę milczał, po czym dodał: – Ale nie wierzę, że to on zabił Małgorzatę. Nie wydaje mi się, aby był zdolny do takich czynów. Ma słaby charakter, ostatnio ciągle pije.

– Może gryzie go sumienie? – zapytała retorycznie Zalewska.

– A pana druga córka, Magdalena? Dlaczego nie powiedział nam pan, że ona i Grzegorz byli kiedyś razem? Planowali nawet ślub, ale w to wszystko wtrąciła się Małgorzata. Nie zachowała się w porządku wobec siostry – zauważył Roger. Być może nie powinien osądzać tej rodziny, ale był zły na profesora, że nie powiedział mu wszystkiego.

– Co pan może wiedzieć? Łatwo jest ferować takie wyroki, czyż nie? – uniósł się Matuszewski. – Magdalena i Grzegorz nie pasowali do siebie. Oboje rozlaźli, słabi. Nikt nie potrafiłby sterować tym okrętem. O jakim ślubie my mówimy? Ani on się nie chciał specjalnie żenić, ani Magdalena specjalnie go nie naciskała. Dopiero Małgorzata ustawiła go do pionu.

– Dokładnie... do pionu – zachichotała cicho Emilia, ale szybko w myślach się za to skarciła. Była przecież prokuratorem.

– Dlaczego pan nam o tym nie powiedział? – powtórzył Roger.

– To dawna sprawa, po co do tego wracać i oczerniać moją ukochaną córkę? O zmarłych źle się nie mówi. Uznałem, że to nie jest istotne dla śledztwa.

– Pan nie jest śledczym i nie może mieć pojęcia, co jest ważne dla śledztwa, a co nie. Proszę więc mówić wszystko, co pan wie.

– Ale co mam wiedzieć? Ja niewiele wiem. Po prostu kiedyś Grzegorz, zamiast z Magdaleną, odwiedził mnie z Małgorzatą. Przyjąłem to do wiadomości, chociaż zachwycony nie byłem. Uważałem, że moja córka zasługuje na kogoś lepszego. Dobrze, że przynajmniej umie robić pieniądze. Ale co z tego? To nie uratowało mojej córki.

– Ponoć Grzegorz żałował słabości z Małgorzatą i chciał wrócić do Magdaleny – zauważyła Emilia.

– Być może było tak na początku, ale ostatecznie osiadł u boku Małgorzaty, a Magdalena wiodła odtąd samotne życie. Być może za mało jej zależało.

– Czy Magdalena mogła zabić siostrę?

– To moja córka, proszę mnie nie pytać o takie rzeczy. Jakże bym mógł ją oczerniać? – zapytał retorycznie profesor.

– Nalegamy – powiedziała Emilia.

– Nie wiem – zawahał się Matuszewski. – Ostatnio ich relacje były niedobre. Ale Magdalena, jak już mówiłem, to ciepłe kluchy. Pewnie nawet by nie wiedziała, jak się za to zabrać. Za zabójstwo...

– Zna pan Mikołaja Szredera, z którym pracowała Małgorzata? – zapytała Emilia.

Na twarzy Matuszewskiego przez mgnienie oka malowała się konsternacja. Tak przynajmniej zdawało się Rogerowi. Może był przewrażliwiony? Profesor wziął głęboki oddech i odpowiedział na ich pytanie.

– Z widzenia. Małgorzata go chwaliła. Twierdziła, że jest ambitny i może kiedyś zajmie jej miejsce w Ciężeniu. Według mnie to nieszkodliwy człowiek.

– Czy ofiara miała problemy z narkotykami? – uderzył z grubej rury Roger.

– Co pan? Czy pan zwariował? Małgorzata nigdy nie miała problemów z nałogami. Nawet nie

pała papierosów. I była abstynentką. To przez Grzegorza. Za dużo pił – odpowiedział oburzony tym pytaniem profesor Matuszewski. – Macie jeszcze jakieś pytania? Chciałbym iść do domu i zająć się pogrzebem córki.

– Nie. Dziękujemy za rozmowę – odpowiedziała Emilia.

– W porządku. W takim razie pozostaje mi życzyć państwu miłego dnia i proszę nie mówić: „nawzajem”. Dla mnie już nie będzie dobrych dni – odpowiedział smutnym głosem profesor Matuszewski.

†

Roger siedział w samochodzie Emilii i gorączkowo zastanawiał się nad tą sprawą. Z radia leciała dość agresywna muzyka, ale ona w ogóle nie wytrącała go z zamyślenia. Ani monolog Emilii na temat innych spraw, którymi w ostatnim czasie się zajmowała. W tym momencie siedział w środku zbrodni dokonanej na nieszczęsnej pani profesor. Najbardziej prawdopodobne wydawało się to, że Małgorzatę Staroń-Matuszewską zabił ten świr, Zbigniew Jesień. Postanowił podzielić się tą refleksją z Emilią:

– Wydaje mi się, że to Jesień mógł zabić.

– Jest to prawdopodobne, ale brak dowodów, mamy tylko same poszlaki. To za mało – powiedziała szczerze Zalewska. – Mnie się wydaje, że równie dobrze mógł to zrobić mąż. Siostrunia i ten Szreder wydają mi się mało prawdopodobni. Chociaż pewnie trzeba będzie jeszcze raz ich przesłuchać. Siostrunia nie ma alibi, prawda?

– Dokładnie tak.

– Ciekawe, jak jest z alibi u Szredera? – zastanawiała się Emilia.

– I Jesienia. Bo Staroń na pewno go nie ma.

– Popieprzona sprawa. Muszę zwolnić Staronia do domu. Brak dowodów. Może to i lepiej. Poobserwujecie go jeszcze – powiedziała z rezygnacją w głosie Emilia. Widziała już te nagłówki w gazetach i Internecie czy paski w telewizjach informacyjnych. A przede wszystkim minę ojca.

– Yhm – mruknął Roger.

– Odwieźć cię na komendę?

– Nie. Zleciłem już dodatkową robotę Aśce i nie mam co tam robić.

– Może wpadniesz do mnie?

– Mówiłem ci już, że muszę zająć się Sewerynem – odpowiedział jej Roger. Ton jego głosu był raczej opryskliwy.

– Myślę, że tu wcale nie chodzi o twojego syna.

– Tak, a niby o co?

– Dostałeś to, co chciałeś, i masz mnie teraz w dupie – powiedziała z rozbrajającą szczerością Emilia, ale Roger nie zamierzał odkrywać kart. Nie chciał jej upokarzać. Była prokuratorem i szanował jej pracę.

– Daj spokój, jestem samotnym ojcem i muszę...

– Niczym się nie różnisz od tych wszystkich bydlaków, z którymi ostatnio spałam. Ślinię się na mój widok, a potem, po seksie, znikają i słuch po nich ginie... Przyjedź do mnie dzisiaj i udowodnij, że nie jesteś jednym z nich – nalegała podniesionym głosem Emilia. Naprawdę nie potrafiła przegrywać.

– Nie przyjadę... Emilia, chyba pospieszyliśmy się z tym wszystkim... – chciał jeszcze coś powiedzieć, ale nie zdążył. Nagle poleciał ostro w przód, prawie rozbijając nos o przednią szybę samochodu. Zalewska mocno zahamowała, po czym jeszcze ostrzejszym głosem zakomunikowała:

– Tu chyba wysiadasz. Jakby coś ruszyło się w sprawie, daj znać. – Roger nie wiedział, czy chodzi jej o śledztwo, czy o ich relację. Nie zamierzał jednak dopytywać. Nie chciał jeszcze bardziej jej rozjuszyć. Posłusznie i bez słowa wysiadł z samochodu, a wściekła Zalewska wcisnęła pedał gazu i ruszyła przed siebie. Samochód wściekle zawył. Pani prokurator miała iście diabelski temperament.

†

Na siłownię wpadł spóźniony. Zziąjany, zaczął rozglądać się po sali. W końcu ją dojrzał. Tym

razem podciągała się na drążku. Cała Julia. Niezmordowana, codziennie przesuwiała zdawałoby się nieosiągalne granice swojej sprawności fizycznej. Był pełen podziwu dla jej determinacji. Miał dosyć dzisiejszego, intensywnego dnia. Najpierw nocny seks z niewyżytą prokuratorką, potem kolejne przesłuchania oraz przeszukiwanie mieszkań Staronia i Jesienia. Najgorszy był koniec dnia – nieprzyjemna scena z Zalewską, co na pewno nie wpłynie pozytywnie na śledztwo. Niepotrzebnie pomieszał swoje życie zawodowe z prywatnym, ale nie chciał już o tym myśleć. Bez słowa podszedł do Julii.

– Dawaj, dawaj – powiedział z uśmiechem.

– Oj, coś mi dzisiaj średnio idzie. To chyba nie mój dzień – westchnęła Julia.

– Witaj w klubie. Też dzisiaj miałem ciężki dzień, ale jakoś nie chce mi się o tym gadać. Może wieczór będzie lepszy – powiedział z nadzieją.

– Ale tak w ogóle to chce ci się gadać? – zaniepokoiła się Julia.

– Z tobą – zawsze – roześmiał się Roger.

Godzinę później siedzieli w jego samochodzie. Zaczerwieniona od wysiłku Julia zapięła pasy, po czym zwróciła się do mężczyzny:

– Tak czystego samochodu jeszcze u faceta nie widziałam. Jestem pod wrażeniem.

– Dzięki. Generalnie lubię czystość. Powiedziałbym nawet, że jestem pedantem. Ale to nie jest chyba jakaś wielka wada?

– Nie, ale szczerze współczuję twojej przyszłej kobiecie. Jeśli nie jest pedantką...

– Oj, na pewno jest... Nie wygląda mi na niechlujka... – powiedział zawiadaczko Roger i puścił do niej oczko.

– Roger, powiedz mi lepiej, co z tym obiecany drinkiem? – zapytała nieco zmieszana Julia.

– Jak najbardziej aktualny. Kiedy miałabyś czas?

– Może w sobotę?

– W porządku, niech będzie – uśmiechnął się Roger. Już miał ruszyć z parkingu pod siłownią, kiedy zadzwonił telefon. Na wyświetlaczu zobaczył, że to telefonowała Emilia. W duchu przeklął. Nie mogła wybrać lepszego momentu? Dzwoni akurat wtedy, kiedy obok niego siedzi jego alternatywna zdobycz.

– Nie odbierzesz? – zapytała zaciekawiona Julia.

Roger westchnął. Chcąc nie chcąc, musiał odebrać ten cholerny telefon.

– Roger? Przepraszam, że cię dzisiaj wyrzuciłam z samochodu. Zagalopowałam się – powiedziała bardzo spokojnym głosem Emilia.

– Dobra, nie ma problemu – powiedział wyraźnie zmieszany policjant.

– Czasem mnie ponosi. Nie powinnam być taką furiatką.

– Oj, zdarza się najlepszym.

– Pozdrów swojego synka. Pewnie teraz siedzi gdzieś obok ciebie.

– Pozdrowię – odpowiedział Roger. Czuł się największym kłamcą pod słońcem. I co gorsza, był w tym naprawdę dobry.

– Może jednak wpadniesz do mnie dzisiaj? Mam dwunastogwiazdkową metaxę. Szukam kompana do potrunkowania.

Dwunastogwiazdkowa metaxa? Brzmiało bajecznie, ale wiedział, że nie chce wpaść ponownie w ramiona ognistej pani prokurator. To mogło oznaczać kolejne kłopoty.

– Nie mogę. Życzę ci miłego wieczoru – powiedział szybko i się rozłączył.

– Kto to był? – zapytała zaciekawiona Julia.

– Dobra kumpela z czasów studiów. Prosiła mnie o przysługę.

– Kumpela? Oj, Rogerku, czy ty przypadkiem nie grasz na dwa fronty? – zaśmiała się nieco nerwowo Julia.

– Ja na dwa fronty? Nigdy! – skłamał, zbyt łatwo, Roger.

22 sierpnia 2014, piątek,
Poznań

To było do przewidzenia. Grażynka Orłowska już na niego czekała przed blokiem. Tym razem nie ścisłała w dłoni żadnej gazety, ale była niezwykle poruszona. Żrenice miała tak powiększone, że ginęły w oprawie oczu zamazanej grubo tanią, czarną kredką, kupioną w jakimś kiosku prosto spod lady.

– Panie władzo! Słuchał pan radia? Mówili, że szukacie jakiegoś psychopaty, który miał w mieszkaniu mnóstwo zdjęć pani profesor! On pewnie popierał tych łobuzów z rządu, dlatego zabił taką patriotkę, jaką była nasza pani profesor! Musicie go złapać! Ten mason będzie dalej mordował!

– To w radiu mówili, że ten psychopata, jak to pani określiła, miał fotografie Matuszewskiej? – Nie wierzył własnym uszom.

– Dokładnie tak powiedzieli – potwierdziła plotkara.

Roger przeklął w duchu. Dziennikarze wszystko wyniuchają, a potem takie wiemy jak Orłowska chcą stopy rozpalać pod człowiekiem, który niekoniecznie musiał zabić. Czy Jesień naprawdę był w stanie zabić Staroniową? Nie jest wykluczone, ale na razie brak na to jakiegokolwiek mocnego dowodu.

– Wygląda pan władza na zmęczonego. Pewnie dużo pan pracuje? – martwiła się Orłowska. Roger nie wierzył w jej troskę. Coś musiało się za tym kryć.

– Nie mam wyjścia – odparł tylko.

– Ale coś na razie brak efektu, panie władzo – powiedziała Orłowska dziwnie wrogim tonem głosu. – W radiu mówili, że prokuratura i policja nie chciały udzielić żadnej informacji na temat tego strasznego morderstwa. Ludzie powinni wiedzieć... A wy nabraliście wody w usta! Ktoś was naciska! Pewnie masońskie elity!

– Wśród tych ludzi, co rzekomo, według pani, powinni wiedzieć, może być również morderca. Chce pani, żeby wiedział, na jakim etapie śledztwa jesteśmy? Co o nim wiemy i tak dalej? A mediom proszę tak bezkrytycznie nie wierzyć. Często błędzą...

– Rządowe media kłamią jak najbardziej, ale te, których słucham, czytam i oglądam, to już nie.

– Skoro tak pani uważa... Nie będę się kłócił. Ja już muszę jechać... – po czym wyminął Orłowską i czym prędzej ruszył do samochodu. Był koszmarne niewyspany. I przysłówkę „koszmarne” doskonale w tym przypadku pasował. Całą noc słabo spał, bo śniły mu się jakieś kosmary, których dokładną treść zdążył już zapomnieć. Pamiętał tylko, że przewijała się w nich litera H i liczba 1511. Czy to one stanowiły klucz do rozwiązania zagadki zabójstwa pani profesor? Być może. Czasem to właśnie w głębokiej podświadomości tkwią odpowiedzi na najtrudniejsze pytania. Machnął na to ręką. Musiał już jechać do pracy.

W robocie czekała na niego Aśka, która wyglądała tak samo jak on – jakby w ogóle nie zmrużyła oka. Zaczerwienione oczy próbowała zatuszować... tuszem do rzęs. Roger nie miał jednak ochoty wypytywać jej, co się stało. Nie musiał, sama mu opowiedziała o swoich zmartwieniach.

– Roger, co za straszna noc. Mój ojciec trafił do szpitala. Wczoraj wieczorem miał zawał. Całą noc przy nim czuwałam. Może ze dwie godziny się zdrzemnęłam. Więc wybacz, dzisiaj słabo trybię.

– Współczuję i rozumiem. Ale co dokładnie się stało?

– Przygotowywał sobie kolację i nagle zasnął. Dobrze, że wtedy byłam u niego z wizytą. Zadzwoiłam na pogotowie i go zabrali.

– Może chcesz wolne? – zaproponował Roger.

– Nie. Mój brat zaczyna od dzisiaj urlop. Miał jechać nad morze, ale zrezygnował. W weekend go zmienię i więcej posiedzę przy tacie. Jeśli sprawa Staroniowej pozwoli... – zamartwiała się Aśka.

Według Rogera nie powinna przejmować się pracą, tylko myśleć o zdrowiu ojca. Ale taka już była panna Majchrzak.

– Jeśli będziesz potrzebowała wolnego, daj znać... Mamy coś nowego?

– Udało mi się w końcu stworzyć listy wielkopolskich różokrzyżowców i zaratusztrian. Na obu

znajduje się Jesień.

– Pokaż mi te listy – ożywił się Roger.

Aśka sięgnęła po plik kartek, który zalegał na jej biurku, i podała Kalicie. Policjant w milczeniu przejrzał ich zawartość. Wszystkie nazwiska, poza tym należącym do pana Zbigniewa, brzmiały obco. Nie były polskie.

– Z tego, co pamiętam, w Poznaniu nie ma żadnej sformalizowanej organizacji różokrzyżowców? – upewniał się Roger.

– To prawda. Pozwoliłam sobie zadzwonić do ich ośrodka konferencyjnego w Wieluniu. Początkowo nie chcieli ze mną współpracować, ale jak wiesz, mam swoje sposoby... – szeptała konspiracyjnie Aśka, po czym zaczęła mówić głośnie: – I faktycznie, Jesień zgłosił kiedyś akces do nich poprzez, jakby to powiedzieć, filię we Wrocławiu. Dojeżdżał tam na spotkania. Od początku był aktywny i udzielał się, ale od pewnego czasu zrobił się agresywny. Wygrażał im, że nie dbają dostatecznie o interesy różokrzyża. Chciał zostać nawet kimś ważniejszym w tej organizacji, ale zdążył zrazić do siebie absolutnie wszystkich. W pewnym momencie dano mu delikatnie do zrozumienia, żeby przestał przyjeżdżać do Wrocławia. Ale tak naprawdę zrezygnował z całkiem innego powodu. Stracił pracę i po prostu nie miał pieniędzy na te wojaże. W tym okresie zaczął też nachodzić panią profesor. Miał przecież, jako bezrobotny, dużo wolnego czasu.

– Chyba faktycznie miał nierówno pod kopułą. Ciekawe, czy leczył się gdzieś psychiatrycznie... Coś poza tym?

– Dzisiaj w gazetach poszła informacja, że poszukujemy Jesienia. Nie podaliśmy jedynie kontekstu. Tylko, że poszukujemy ważnego świadka. Było już sporo telefonów. Ciągłe nas zasypują niekoniecznie przydatnymi informacjami...

– Asiu, a czego się spodziewałaś? Zawsze tak jest. W niektórych stacjach radiowych sugerują już, że zabójca jest masońskim psychopata, więc ludzie szaleją. Tak przynajmniej poinformowała mnie życzliwa sąsiadka.

– Tak czy siak, Kafel i inni właśnie sprawdzają, czy te zgłoszenia są zasadne. Poszukiwanie świadka trwa – dokończyła Aśka.

– Media i ludzie i tak swoje wiedzą. Nie wierzą, że to świadek, tylko raczej, że Jesień jest mordercą. Jak już powiedziałem, ta moja sąsiadka, ta stara wiedźma...

– Dobrze, że tylko sugerują. Wiesz przecież, że to może być faktycznie nasz zabójca – zauważyła Aśka.

– Może tak, a może nie. Byle nie doszło do samosądu. Bardziej bym obstawiał mężusia. Jak tam obserwacje u Staronia?

– Nic szczególnego. Dzieci wysłał do dziadków, a sam pił całą noc. Rano wezwał taksówkę i wstawiony, pojechał do pracy.

– Szkoda, że nie swoim SUV-usiem. Przynajmniej byśmy go przyskrzynili – powiedział nieco rozczarowany Roger.

– Pilnuje się, mimo wszystko. Ale chyba ostatkiem sił – podsumowała Aśka.

– Mam wrażenie, że stoimy w miejscu.

– Co ty nie powiesz – westchnęła Aśka. Nie lubiła, kiedy śledztwo utykało w jakże trafny i dosłowny dla ich sytuacji martwym punkcie.

– Zastanawia mnie, dla kogo Staroniowa kupowała te narkotyki? Dla siebie raczej nie... Jeśli dobrze pamiętam, raport z sekcji zwłok nie wykazał pozostałości narkotyków w jej organizmie.

– Dobrze pamiętasz, dzwoniłam do prosektorium, aby się upewnić.

– Jesteś niesamowita... Chyba kroi się awans... – zaśmiał się Roger.

– Przestań kpić...

– Jak chcesz... Wróćmy jednak do sprawy. Na pewno ofiara nie zażywała tego świństwa przez ostatnich kilka miesięcy.

– Może od jakiegoś czasu już nie ępała – powiedziała bez przekonania Aśka. Nie wierzyła w to, że profesorka brała narkotyki.

– Może.

– I co dalej ze śledztwem?

– Dzisiaj spotkam się z Szulikiem. Obiecał mi, że sprawdzi te symbole, które wycięto na zwłokach ofiary. Poza tym jutro czeka nas pogrzeb profesorki. Przejadę się na niego i poobserwuję zachowanie rodziny Matuszewskich. Może ktoś się na nim nie pojawi, a powinien, bo na przykład gryzą go wyrzuty sumienia? W niedzielę przejadę się do Słupcy i poobserwuję tego całego Szredera.

– A kiedy spotkasz się z synkiem? – powiedziała z troską w głosie Aśka.

Nie chciała wtrącać się w sprawy Rogera, ale martwiła się, że nie spędza on z Sewerynem zbyt wiele czasu. Skąd to wiedziała? Bo sama pracowała w policji i zaniedbywała własne dziecko. Nim się obejrzą, ich dzieci dorosną i nie będzie czasu na nadrobienie spraw wychowawczych.

– Jakos to będzie. Kiedyś mu to zrekompensuję – odpowiedział Roger, choć czuł, że to nieprawda.

Aśka nie dała się zwiść.

– Wątpię, sama pracuję w policji, ale to chyba nie moja sprawa...

– Ciągle mam nadzieję, że złapiemy Jesienia i dowiemy się czegoś nowego. – Roger udał, że nie usłyszał ostatniego zdania Aśki. Myślni był już gdzie indziej.

Nagle zadzwonił jego telefon. Kalita niechętnie odebrał. Dzwoniła Zalewska. Chciała się z nim spotkać w pobliskiej kawiarni. Miała z nim do pogadania.

†

Emilia była ubrana w obcisłą, czerwoną sukienkę, a na nią miała zarzuconą, skórzaną kurtkę. Do tego czarne botki. Wyglądała zjawiskowo, ale on miał to gdzieś. Sam siebie nie rozumiał. Na co mu była ta Julia? Skoro na wyciągnięcie ręki miał seksowną Emilię. Może właśnie dlatego? Zalewska zamiast kawy piła szklankę wody z plastrem cytryny. Dopiero teraz dostrzegł, że pod grubą warstwą makijażu ukryła podkrążone oczy i spuchniętą twarz. Płakała? Przez niego?

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– A co? Aż tak widać? – powiedziała z wyrzutem.

– Chyba nie płakałaś...

– No co ty. Zwariowałaś? To nie to, co myślisz. Trochę wczoraj za dużo wypiałam. Żałuj tej dwunasto-gwiazdkowej metaxy. Była mega. – Zastanawiał się, czy kłamała, czy jednak mówiła prawdę. Nie miał pojęcia i może nie chciał wiedzieć.

– Nie wątpię. Mam nadzieję, że nie przyjechałaś samochodem – Roger udał zmartwionego.

– Zwariowałaś? Wzięłam taksówkę. Dziś cały dzień poruszam się taryfami. Ta metaxa kosztuje mnie majątek. Od rana mam urwanie głowy, żyć mi nie dają, a moja rzeczniczka prasowa ledwo żyje. Ktoś puścił farbę o Jesieniu. Pilnuj lepiej swoich policjantów.

– A ty swoich pracowników – odburknął jej Roger. Denerwowało go, że z góry zakładała, że to ktoś od niego miał za długi język.

– W porządku, nie kłóćmy się. Dowiedziałeś się czegoś?

Roger opowiedział jej o ustaleniach Aśki.

– Uważaj na tę Aśkę, jest dobra.

– To chyba dobrze?

– Zależy, jak mocną masz pozycję... Zresztą, nieważne. Jeśli uda nam się rozwiązać tę sprawę, to na pewno się wzmocni... Przeczytałam maszynopis pani profesor, popijając go tą zdradziecką metaxą. I dobitnie stwierdzam, że Staroniowa nie lubiła masonów, zwłaszcza tych współczesnych. Zarzucała im pazerność, obłudę i oszustwa. I ukrywanie prawdy przed ich członkami, że Krystianek Różokrzyż nigdy nie istniał. Jak dla mnie jest to bardziej książka polityczna niż historyczna. Może jej śmierć ma głębsze podłoże? Może faktycznie różokrzyżowcy ją zaciukali?

– Emilia, przestań. Myślisz, że naprawdę zamordowali ją masoni? To niedorzeczne – obruszył się Roger.

– Żartuję przecież. To, że jestem wierząca, nie oznacza wcale, że wszędzie węszę masońskie

spiski. Stwierdzam jedynie, że niektórzy w Polsce by się ucieszyli, gdyby okazało się, że w tym zabójstwie paluchy maczali masoni. To by potwierdziło ich tezę, że wolnomularstwo to wcielone zło. Nawet mój ojciec tak uważa.

– Prokurator Zalewski? Taki wykształcony człowiek?

– Mój ojciec wychował się w bardzo religijnej rodzinie, niechętniej Żydom i masonom. Moi dziadkowie zarzucali im wszystko, co najgorsze. W moim ojcu to ciągle tkwi. Takie mam wrażenie.

Roger miał ochotę się roześmiać, kiedy to usłyszał.

Dziadek Zalewskiej był osławionym, stalinowskim prokuratorem. Gnębił byłych żołnierzy Armii Krajowej. Do kościoła zaczął chodzić dopiero w latach dziewięćdziesiątych, kiedy stało się to opłacalne. Ale jak to z neofitami bywało, stał się wówczas niezwykle zajadłym krytykiem wszelkich odstępstw od wiary i poglądów katolickich.

– A w tobie?

– Mnie polityka nie interesuje. Staram się trzymać od tego wszystkiego z daleka. Czasami żałuję, że nie poszłam na aplikację notarialną. Miałabym spokojną pracę i z nudów pomiędzy strumieniami płynącej do mnie kasy malowałabym sobie paznokcie. A co? Kto by mi zabronił? – błaznowała Emilia.

Rogera to nawet bawiło.

– Jakoś nie wyobrażam sobie ciebie w roli notariuszki. Właśnie umarłabyś tam z tych nudów. Jesteś urodzonym prokuratorem.

– Nie słódź. Wracając jednak do pani profesor, ta jej niechęć do masonów tłumaczyłaby nienawiść Jesienia...

– Bezrobotnego masona bez siódmej kleпки – Roger parsknął śmiechem. – Wspaniały przykład wpływowego członka potężnej organizacji.

– Może go wykorzystali, aby zamordował profesorkę. Wiesz, taki pożyteczny idiota w stylu Lee Harveya Oswalda – powiedziała prokuratorka, nawiązując do zabójstwa prezydenta USA – Johna F. Kennedy'ego.

– Widzę, że niechęć do masonów i wiara w teorie spiskowe tkwi w tobie, wbrew pozorom, tak samo głęboko jak w twoim ojcu.

– Chcesz jeszcze coś dodać? Myślę, że... – prokuratorka przerwała, ponieważ rozdzwonił się telefon Kality.

Roger odebrał. Dzwonił Aleksander Szulik.

– Witam. Dzwonię zgodnie z obietnicą. Nie mam już zbyt wiele pracy w archiwum. Myślę, że za godzinę będę wolny. Gdzie chciałbyś się spotkać?

– Możemy gdzieś w pobliżu archiwum – zaproponował na szybko Roger.

– Znakomicie. Naprzeciwko znajduje się bistro Trio? Kojarzysz? – rzucił Aleksander.

– Tak.

– To może tam?

– Może być. Przyjedzie ze mną pani prokurator prowadząca tę sprawę. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko.

– Oczywiście. Nie co dzień mam możliwość poznawania takich person. W takim razie do zobaczenia za godzinę.

– Do zobaczenia – odpowiedział Roger i rozłączył się.

– Kto to był? – zapytała Emilia.

– Aleksander Szulik, doktor historii ze Szczecina. Mój ojciec zaproponował mi, abym skorzystał z jego pomocy. To jakiś omnibus. Poza historią studiował, z tego, co pamiętam, jeszcze filozofię i politologię.

– Myślisz, że się przyda? – powątpiewała Zalewska. Nie była pewna, czy Roger nie żartuje sobie z tego całego Szulika.

– Zobaczymy. Na razie powiedział, że sprawdzi, co mogą znaczyć liczba 1511 i litera H. Mówiąc szczerze, nie za dużo sobie obiecuję po rozmowie z nim, ale już dla świętego spokoju spotkam się z nim. Przynajmniej ojciec nie będzie mi suszył głowy.

- Kiedy i gdzie się z nim spotkamy? Bo jak słyszałam, zdążyłeś mnie już zapowiedzieć.
- Dokładnie. Ostatnio stwierdziłaś, że chcesz we wszystkim uczestniczyć i wszystko wiedzieć, więc spełniam twoje życzenie. A z Szulikiem spotkamy się za godzinę w bistro Trio.
- Mam nadzieję, że jest przystojny, ale wątpię, skoro to taki mózg – westchnęła Emilia, poddając się popularnemu stereotypowi niezbyt atrakcyjnego naukowca. Jednym haustem dopiła wodę.

†

Emilia Zalewska ledwie kryła swoje zaskoczenie. Doktor Aleksander Szulik w ogóle nie przypominał typowego naukowca – okularnika z dziobami na twarzy. Przede wszystkim nie miał ani okularów, ani blizn po trądziku. Był wysoki, opalony, z olśniewającym uśmiechem. Jego ciemna czupryna opadała zawadiacko na czoło. Spod mocnych brwi spoglądały duże, magnetyzujące, niebieskie oczy, świdrujące ją teraz na wylot. To prawie bolało. Wystrój bistra Trio średnio pasował do jego charyzmatycznej urody. Lokal był malutki i dość skromny, z rustykalnymi stołami i krzesłami oraz tablicą, na której kredą wypisano dzisiejsze menu. Dobre dla pobliskich archiwistek, ale nie dla kogoś, kto wyglądał jak playboy poruszający się na co dzień czarnym porsche.

- Doktor Aleksander Szulik – przedstawił się.
- Prokurator Emilia Zalewska – wydusiła z siebie. Przypomniała sobie swoją spuchniętą twarz. Czy akurat wczoraj musiała opróżnić całą butelkę metaxy? Skąd jednak mogła przypuszczać, że los ześle jej takiego przystojniaka.

– Śledczy Roger Kalita – dopowiedział w sumie niepotrzebnie policjant.

I Szulik, i Zalewska przecież już go znali. Po tych uprzejmościach dosiedli się do stolika doktora Aleksandra. We trójkę ledwie mieścili się w bistro.

– Muszę powiedzieć, że przyjemna knajpa. Smaczne jedzenie tutaj serwują. Właśnie przed chwilą zjadłem się pierogami – powiedział z szerokim uśmiechem Szulik.

– Jestem tu pierwszy raz, ale brzmi zachęcająco – powiedziała Emilia i jeszcze raz spojrzała na doktora. Z jeszcze większą przyjemnością. Pewnie podobną do tej, z którą przystojny naukowiec pochłoniął chwilę wcześniej misę pierogów ruskich.

W odróżnieniu od Emilii Roger nie zamierzał prowadzić *small talks*. Szkoda mu było na to czasu.

– Mam nadzieję, że czymś nas zaskoczysz i że nasza wizyta tutaj jest zasadna. Nie ukrywam, że mamy dużo pracy... – powiedział znudzonym głosem, ale Szulika nie zbiło to z tropu, zwłaszcza po tym, co dopowiedziała Emilia.

– Bez przesady... – przerwała mu. – Zawsze znajdzie się trochę czasu... Roger opowiadał mi, że skończyłeś historię, filozofię i politologię.

– Dokładnie. Studiowałem też archeologię, ale nie skończyłem. Zabrakło czasu. *Humani nihil a me alienum puto*.

– Fascynujące – powiedziała coraz bardziej podniecona Emilia.

Nie uszło to uwagi Rogera. Niespodziewanie dla niego samego poczuł zazdrość. Do tego nie rozumiał, co ten mądrała powiedział po łacinie. Na szczęście wyjaśniła mu to Emilia.

– Nic co ludzkie nie jest mi obce. Na prawie, a dokładniej na łacinie, musieliśmy się uczyć sentencji łacińskich.

– Fascynujące – powtórzył za Emilią, tyle że z sarkazmem Roger, po czym wymownie spojrzał na zegarek. – Może jednak wrócimy do meritum. Co z liczbą 1511 i literą H? Sprawdziłeś to?

– Zajęło mi trochę czasu dojście do tego, co mogą oznaczać, choć od razu chciałbym zastrzec, że są to jedynie teorie. Mój promotor mawiał, że jeśli chcesz zostać wybitnym badaczem specjalizującym się w historii średniowiecznej Polski, musisz być błyskotliwy, ale niekoniecznie pracowity. Natomiast jeśli chcesz specjalizować się w historii dwudziestowiecznej Polski, musisz być pracowity, chociaż niekoniecznie bystry. Wynika to z ilości materiałów, które ma do przeczytania mediewista w porównaniu z tym, przez co musi przebrnąć historyk badający dzieje najnowsze. Badacz średniowiecza może mało przeczytać, ale musi wiele się domyślić. Na temat imienia pierwszego udokumentowanego polskiego władcy zwanego Mieszkiem I powstały przecież obszerne rozprawy, roztrząsające jedynie tytuł

dokumentu *Dagome iudex*. Podobnie ja, muszę na podstawie dwóch, nawet nie słów, tj. 1511 i litery H stworzyć cały kontekst. Na szczęście sporo wiem o zamordowanej. Pani profesor Małgorzata Staroń-Matuszewska całe życie poświęciła masonikom – obszernemu zbiorowi dokumentów wolnomularskich, który trafił się Polsce, co tu dużo ukrywać, całkowicie przypadkiem. Jej dziadek te dokumenty zabezpieczał, przeglądał, przygotowywał do przenosin do Poznania. Jej ojciec również je opracowywał, a ona kontynuowała to rodzinne dzieło. Wprost fascynujące. Ale zanim trafił w ręce polskich naukowców, zajmowali się nim niemieccy badacze na zlecenie samego Heinricha Himmlera. To oni stworzyli ten imponujący zbiór, choć interesowały ich nie tylko dokumenty masonskie. Zainteresowały ich również czarownice, a raczej procesy, jakie wytaczano im w Europie i na świecie na przestrzeni wielu wieków. Heinrich Himmler wierzył, że większość tych czarownic to były prawdziwe Germanki, prześladowane za swoje pochodzenie. Dlatego stworzył ośmioosobowy zespół, który zajął się tymi kwestiami. Wiecie, jak ta grupa się nazywała?

– H-Sonderkommando – powiedział szybko Roger. Rozmawiał już raz na ten temat z profesorem Matuszewskim. Szulik tylko to powtarzał.

– Właśnie. A wiecie, jak po niemiecku brzmi słowo „czarownica”?

– Nie – odpowiedzieli chórem Emilia i Roger.

– *Hexe. Die Hexe* – odpowiedział Szulik. – Zmierzam do tego, że litera H wycięta na ciele ofiary pochodzi albo od pierwszej litery nazwiska Himmlera albo od słowa *Hexe*, albo od tego wszystkiego naraz. Zabójca mógł uważać Staroń-Matuszewską za czarownicę albo ewentualnie fascynował go ten temat. Myślę, że raczej to drugie. Chociaż można powiedzieć, że pani profesor była uosobieniem takiej współczesnej czarownicy. Pomijając już rude włosy, które źle się kojarzą, miała dość ciężki i twardy charakter. Słyszę z ciętego języka. Tak przynajmniej słyszałem. Ale co, jeśli zabójca uważał ją za prawdziwą czarownicę? Świadczyć może o tym również drugi symbol. 1511. Wiecie, kiedy w Poznaniu spalono po raz pierwszy czarownicę? W 1511 roku. Co więcej, była to pierwsza kobieta na polskiej ziemi, którą uznano za czarownicę. Poznań był pionierem pod tym względem, choć nie wiem, czy jest się czym chwalić. Co zabawniejsze spalono ją na... Chwaliszewie. Zarzucono jej, że zatrąła piwo. Prawdopodobnie tylko dlatego, że trudniła się zielarstwem i znachorstwem oraz że ktoś widział, jak kręciła się koło jednego z browarów. Fakt faktem, że biedną kobiecinkę spalono. Dlatego uważam, że panią profesor stracono, ponieważ uznano, że jest czarownicą i że zasługuje na ten los. Może być też tak, że ktoś to upozorował, ale na pewno dobrze znał się na historii Poznania. Jak na mój gust za dużo tu symboliki. Zaratusztriański pochówek, symbole związane z H-Sonderkommando i historią pewnej poznańskiej czarownicy. Jedna wielka kołomyja. W sumie to nie wiem, co o tym sądzić i czy faktycznie wam pomogłem – zakończył swój wykład Szulik.

Roger mógł się tego spodziewać. Doktor nie przybliżył ich do finału tej sprawy.

– Pomogłeś. To bardzo ciekawe, co mówiłeś – pochwaliła go za to Emilia.

Roger spojrzał na nią karcąco. Pewnie jakby żyła w średniowiecznym Poznaniu, też by ją spalono. Bez dwóch zdań.

– Musimy się zbierać. Przed nami jeszcze wiele pracy... – powiedział zrezygnowany Kalita.

– Rozumiem. Ja też mam zaraz pociąg. Gdybyście jeszcze mieli do mnie pytania, proszę dzwonić...

– Mógłbyś podać mi numer do siebie, bo ma go tylko śledczy Kalita – powiedziała szybko Emilia.

Roger poczuł gorąco wokół żołądka. Czy on właśnie odczuwa zazdrość? Przecież jeszcze godzinę temu nic nie chciał od Emilii. Co najwyżej odpowiedzi na palące pytanie, kto zabił profesor Staroń-Matuszewską. A teraz wściekał się, że ktoś wpadł jej w oko. Zachowywał się jak pies ogrodnika. Sam nie weźmie, ale i innemu nie odda. Słabe, Roger.

– Z przyjemnością – powiedział doktor Szulik, po czym podyktował swój numer.

Zalewska skrzętnie go zanotowała, a raczej wprowadziła do swojego smartfona.

– Dziękuję – odpowiedziała rozpromieniona Emilia.

Po czym ten cały doktorek puścił do niej oczko. Roger przez chwilę myślał, że mu się przywidziało, ale rumieniec na policzku prokuratorki świadczył o czymś innym. Rozgniewany,

odburkując słowa pożegnania, ruszył do wyjścia. Emilia dogoniła go, gdy już siedział w samochodzie.

– Coś ty taki naburmuszony? Spoko gość z tego doktora. Nie dość, że diabelsko przystojny, to jeszcze bystrzak.

– Sam bym do tego doszedł, jakbym miał tyle wolnego czasu co on. Przecież on tylko łązi po tych bibliotekach i archiwach. I potem wypisuje głupoty w książkach, których nikt nie czyta. Też mi osiągnięcie.

– Nie wątpię, że sam byś do tego doszedł – powiedziała drwiąco Emilia.

Między nimi zapanowała krępująca cisza, którą ponownie przerwała prokuratorka.

– No ale co teraz o tym wszystkim myślisz? Pomógł nam w czymś Szulik?

Roger ironicznie się uśmiechnął. Jeszcze przed chwilą zapewniała doktorka, że bardzo im pomógł, a teraz miała w tym względzie wątpliwości? Zakichana flirciara.

– Nic nam nie pomogły jego teorie. I choć wiem, że praca doktorska Magdaleny Matuszewskiej miała dotyczyć czarownic i działalności H-Sonderkommando właśnie, nadal podejrzewam kogoś z kwartetu: Staroń, Matuszewska, Szreder i Jesień. Każdy z nich dobrze znał ofiarę i interesował się historią. No może poza Staroniem, którego praca żony raczej nie interesowała, a przynajmniej on tak twierdzi.

– Jesień interesował się tylko masonerią, o czarownicach nic nam nie wiadomo – nie ustępowała Zalewska.

– Nie daleko pada mason od czarownicy – zażartował Kalita. Jego dowcip nie rozbawił Zalewskiej.

– Mnie się wydaje, że zabić mogła faktycznie młodsza Matuszewska. Skoro twierdzisz, że jej praca doktorska miała dotyczyć czarownic i tego zespołu utworzonego przez Himmlera... Ten doktorat zawałła między innymi przez siostrę – myślała głośno Emilia.

– Jeszcze do niedawna twierdziłaś, że to niemożliwe, aby Magdalena zabiła Małgorzatę, bo to taka szanowana rodzinka, a teraz zmieniasz zdanie...

– Wiesz, kto nie zmienia zdania... – wzruszyła ramionami.

– Wiem. Nie kończ – westchnął Roger, po czym dodał: – Wracam na komendę, podwieźć cię gdzieś? – Emilia nie zdążyła odpowiedzieć, bo zadzwonił telefon Rogera. To była Aśka.

– Mamy Jesienia. Przyjeżdżaj – powiedziała krótko policjantka i rozłączyła się. Roger nie zadał ponownie pytania Zalewskiej. Wiedział, że pojedzie razem z nim na komendę.

†

Zbigniew Jesień przedstawiał obraz nędzy i rozpacz. Był brudny i odziany w podarte ubrania. A przecież jeszcze dwa dni wcześniej wcale aż tak tragicznie nie wyglądał. Gdzie on się podziewał? Roger zgadywał, że spał po jakichś ruderach. Poza tym, że wyglądał jak najgorszy menel, cały czas się trząsał. Nie ulegało wątpliwości, że musiał być w kiepskim stanie psychicznym. Roger nie potrafił uwierzyć, że ten człowiek byłby w stanie kogokolwiek zabić. Co najwyżej samego siebie. Schwymano go na moście Rocha, z którego chciał wskoczyć do Warty, żeby się zabić. Tak przynajmniej krzyczał do osłupiałych gapiów.

Prędzej by się wbił w dno, niż utopił, znając poziom wody w Warcie – pomyślał z przekąsem Roger, ale takie złośliwe uwagi zachował dla siebie. Aśka zreferowała mu, że stojącego za balustradą Zbigniewa dostrzegli przechodnie i próbowali powstrzymać.

Trudno było go nie dostrzec, skoro wydzierał się na pół miasta – pomyślał Roger, ale znów nie podzielił się swoimi przemyśleniami z innymi.

Aśka kontynuowała swoją opowieść. Jesień nie zamierzał zareagować na ich prośby, aby zrezygnował ze skoku, dlatego świadkowie zadzwonili w końcu na policję. Jesień łaskawie poczekał na ich przyjazd, ciągle wygrażając, że się zabije. Funkcjonariusze również nie potrafili przemówić mu do rozsądku, dlatego w końcu zdecydowali się siłą ściągnąć go z mostu, co poszło im całkiem sprawnie. Szybko też rozpoznali w niedoszłym samobójcy poszukiwanego mężczyznę. Wsadzili go do radiowozu i przywieźli na komendę. Po drodze nie odezwał się do nich ani słowem. Podobnie zachowywał się na

komendzie. Mimo tych przeciwności Kalita zdecydował się go przesłuchać. Razem z nim do sali weszła prokurator Zalewska.

– Śledczy Roger Kalita – przedstawił się, ale Jesień nie zareagował. Jego wzrok był wbity w podłogę. Nawet przez chwilę nie spojrzał na policjanta.

– Prokurator Emilia Zalewska – odezwała się kobieta.

Na to Jesień również nie zareagował.

– Dlaczego chciałeś się zabić? – zapytał Kalita.

Znów brak reakcji. Takie zachowanie zaczęło drażnić Rogera.

– Dlaczego chciałeś zabić profesor Staroń? – śledczy zmienił pytanie i to był krok w dobrą stronę.

– Nie zabiłem jej. Nie zabiłem jej – zaczął krzyczeć Jesień, chowając głowę w ramionach. Zachowywał się tak, jakby był niespełna rozumu. A może właśnie tak było? Mężczyzna zaczął szlochać.

– Co robiłeś 14 sierpnia, we czwartek, wieczorem? – ciągnął temat Roger.

– Nie pamiętam. Nie pamiętam. Nie zabiłem jej. Nie zabiłem jej – powtarzał przez łzy Jesień.

Śledczy miał wrażenie, że przesłuchiwany zachowuje się niczym skrzywdzone dziecko.

– Naprawdę? To po co robiłeś jej zdjęcia?

Znów cisza. Jesień milczał. Roger sięgnął po fotografie, które miał w teczce leżącej przed nimi na stole. Następnie podszedł do Jesienia i przyłożył mu je do twarzy:

– A to, kurwa, co?

– Roger... – powiedziała bardzo cicho prokuratorka, próbując go przywołać do porządku. Nie zareagował.

– Nie zabiłem jej. To nie są moje zdjęcia – odpowiedział przestraszony Jesień, ale już nie płakał.

– Tak, a czyje?

– Ktoś mi je przysłał i napisał, że ona chce nas zniszczyć.

– Jakich nas? – dopytywał Roger.

– Różokrzyżowców. Napisał też, że jest ćpunką i żebym wykorzystał te zdjęcia, jakby fikała. Że jej zaszkodzą, bo jest sławną osobą. Ja byłem jednym z nich, z różokrzyżowców, nie mogłem na to pozwolić, aby nas zniszczyła. My głosimy takie piękne hasła, jak ona mogła?! Próbowałem ją przekonać, by tego nie robiła. By nas nie niszczyła. Ale ona nie słuchała i wyrzuciła mnie ze swojej biblioteki. Wróciłem tam jeszcze raz, ale ona znowu mnie wyrzuciła. Groziła mi, że zamkną mnie w zakładzie. A ja już nie chciałem tam nigdy wrócić. Wiem, jak to smakuje. Dlatego więcej już jej nie nachodziłem. Nie chciałem tam wracać! Nie chciałem!

– Dokąd nie chciałeś wracać?

– Do Dziekanki – powiedział Zbigniew, po czym znowu schował głowę w ramionach.

Śledczy przeklął w myślach. Czuł, że wątek sprawy zwany Zbigniewem Jesieniem jest drogą donikąd. Dziekanka to wojewódzki szpital dla nerwowo i psychicznie chorych zlokalizowany w Gnieźnie. Zdrowych ludzi tam nie zamykają.

– Nic tu po nas – powiedział do prokuratorki Roger. – Trzeba będzie skontaktować się z Gniezmem i dowiedzieć się, co mu dolega lub dolegało.

Emilia westchnęła. Wiedziała, że Roger miał rację. Mimo wszystko jednak sprzyjało im szczęście. Aśka szybko ustaliła, że lekarz psychiatra, który prowadził Jesienia w Gnieźnie, posiada również prywatną praktykę w Poznaniu, gdzie przyjmuje akurat we wszystkie piątki i soboty. Kalita razem z Zalewską zdecydowali się złożyć mu wizytę jeszcze dzisiejszego popołudnia. Wcześniej zadzwonili i uprzedzili doktora o swoich odwiedzinach. Wyjaśnili również cel swojej wizyty. Psychiatra odpowiedział, że chętnie się z nimi spotka.

Gabinet doktora psychiatrii Łukasza Dobrzyckiego znajdował się na pierwszym piętrze w pomazanej bohomazami kamienicy na Górnej Wildzie. Informacja o tym, że tutaj przyjmuje lekarz psychiatra, była bardzo dyskretna. Dobrzycki nie chciał, aby jego pacjenci byli skazani na wścibskie spojrzenia przechodniów. Choroby bądź zaburzenia psychiczne były ciągle tematem tabu w polskim społeczeństwie.

Musieli poczekać chwilę zanim doktor załatwił jednego ze swoich pacjentów. W końcu, po

kwadransie, psychiatra razem z nim wyszedł na korytarz, życząc mu powodzenia. Zawstydzony pacjent szybko wyszedł z poczekalni, zabierając do domu swoje liczne problemy. Doktor Dobrzycki wyglądał bardzo młodo, choć zdążył się już mocno przygarbić, tak jakby brał wszelkie troski swoich pacjentów na własne barki. Z jego twarzy była jednak spora radość życia. Roger miał nadzieję, że choć odrobiną jej zarażali się jego klienci.

– Cieszę się, że państwa widzę. Bardzo martwię się o Zbyszka – powiedział doktor. Radość życia na chwilę zniknęła z jego oblicza. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

– Pamięta go pan?

– Zobaczyłem jego twarz dzisiaj rano w gazecie, od razu go poznałem, z ciekawości przypomniałem sobie też jego przypadek. Miałem nadzieję, że wyzdrowiał i ułożył sobie życie, ale jego zdjęcie w gazecie i wasza wizyta świadczą o czymś zgoła odmiennym. O tym, że ze Zbyszkiem nie jest jednak najlepiej. Bardzo, bardzo szkoda.

– Dlaczego? – zapytał głupio Roger. Jakoś nie wierzył, że ten psychiatra przejmował się losami wszystkich swoich pacjentów. Judymowie nie rodzą się przecież co chwilę.

– Miło go wspominam. To dobry człowiek, tylko zbyt wrażliwy – rozczulił się Dobrzycki.

Emilia popatrzyła na niego z sympatią. Jej stosunek do lekarza był o niebo cieplejszy od tego, jaki miał do niego Roger.

– Wrażliwy? – dopytywała.

– Wielu ludzi ciągle negatywnie postrzega chorych psychicznie. Często wydaje im się, że to jakieś potwory. Naogłądali się różnego rodzaju horrorów i potem myślą, że tak wygląda rzeczywistość. A zdecydowana większość chorych jest niegroźna, co więcej – wartościowa i zbyt wrażliwa jak na te drapieżne czasy, w których przyszło im żyć. Pan Zbigniew Jesień w krótkim czasie stracił oboje rodziców. Odbiło się to na jego zdrowiu psychicznym. Przeżył ciężki epizod depresyjny. Próbował targnąć się na swoje życie i w końcu trafił do mnie do Dziekanki. Wyleczyliśmy go z tego, miał brać leki i stawiać się regularnie na wizyty, ale tak niestety się nie stało. Możecie mi zdradzić, co działo się z nim przez ten cały czas?

– Kiedy doszło do tego epizodu? – Roger zignorował jego pytanie.

– Dwa lata temu.

– To właśnie od tego momentu zaangażował się w działalność pewnej, można powiedzieć, sekty. Pracował też w sklepie. Potem wyrzucili go z tej organizacji, ponieważ zachowywał się agresywnie. W tym czasie stracił również pracę przez kłótnię z kierownikiem. I wtedy też zaczął nachodzić zamordowaną profesor Staroń-Matuszewską. Oskarżał ją, że chce zniszczyć jego sektę, w której zresztą był już niemiłe widziany. Czyli jednak chorzy psychicznie bywają agresywni, panie doktorze.

– Niedobrze – westchnął zafrasowany psychiatra, nie reagując w ogóle na zaczepkę Rogera. – Mogły wrócić urojenia.

– Urojenia?

– Czasem ciężkim epizodom depresyjnym towarzyszą urojenia. Mogło mu się wydawać, że inni mu zagrażają. Zbyszkowi podczas pierwszego epizodu zdarzały się już takie urojenia, ale leki to wyeliminowały. Muszę jednak stanowczo podkreślić, że nie był agresywny w stosunku do otoczenia. Raczej w relacji do siebie. Nie sądzę, żeby mógł zabić tę kobietę. Czytałem w mediach o okolicznościach tego zabójstwa. Nie wiem, na ile są to wiarygodne informacje, ale pisano, że było to dość starannie zaplanowane morderstwo. Takie popełnione z zimną krwią. Wątpię, aby Zbyszek był w stanie coś takiego wydumać. Nie wyglądał mi na pozbawionego uczuć bystrzaka.

– Takie wnioski proszę pozostawić nam – powiedział Roger.

– Chciałbym się zobaczyć z moim pacjentem.

– Zobacz się pan. Pewnie niedługo trafi do Dziekanki. Pracujemy nad tym.

– Jak on się czuje?

– Był zaniedbany, ale nic mu nie jest – powiedziała uspokajająco Emilia. Polubiła Dobrzyckiego.

– Musimy już iść. Proszę się z nami skontaktować, gdyby przypomniał pan sobie coś istotnego – dodał Roger. Chciał jak najszybciej stąd wyjść.

– Oczywiście – odparł psychiatra. Po czym odprowadził swoich gości do drzwi z mleczonego szkła.

†

Roger siedział przy swoim biurku na komendzie i jeszcze raz przeglądał zdjęcia znalezione w mieszkaniu Jesienia. Jak zeznał Zbigniew, ktoś zrobił te fotografie i przesłał mu pocztą. Jak można się było spodziewać, Jesień nie zachował koperty ani nie pamiętał, co było na stemplu pocztowym. Po prostu kopertę razem z listem wyrzucił do śmieci. Jak twierdził, ktoś kazał mu szantażować profesor Staroń-Matuszewską. Ktoś, kto naprawdę jej nienawidził. Ale kto? I w jaki sposób dowiedział się o istnieniu tego świra, oddanego do cna różokrzyżowcom? Ten ktoś celowo uwiecznił panią profesor kupującą woreczek z narkotykami. Ale na co jej to było? Roger doskonale wiedział, gdzie szukać odpowiedzi na to pytanie i do kogo zadzwonić w tej sprawie, ale ciągle się wahał. Wiedział, że w życiu nie ma nic za darmo, a z drugiej strony zależało mu na rozwiązaniu tej zagadki i zakończeniu śledztwa. Dlatego w końcu zdecydował się, choć robił to bardzo niechętnie. Zwłaszcza że przypomniał sobie, do kogo należała ta znajoma twarz ze zdjęcia. To był zaufany człowiek jego przyjaciela z dzieciństwa. Nie pozostało nic innego, jak zadzwonić do Tomaszka.

– Roger, brachu! Kopę lat! Co u ciebie? – Przyjaciel z dzieciństwa ucieszył się, słysząc jego głos w słuchawce.

– Dobrze.

– Jak tam Seweryn?

– Dobrze. Rośnie.

– No, dzieci już tak mają, brachu. Widzę to po swoim – powiedział Tomaszek, mając na myśli swojego adoptowanego syna. – Ale pewnie nie dzwonicz po to, aby pogadać ze mną o dzieciach? Co się dzieje? Houston, mamy jakiś problem?

– Jeśli chodzi o twoje interesy, to wszystko w porządku. Dzwonię w mojej sprawie.

– Naprawdę? A co? Chcesz coś kupić, brachu? – roześmiał się Tomaszek, ale Rogera ten żart w ogóle nie rozbawił.

– Słyszałeś zapewne o zabójstwie profesor Małgorzaty Staroń-Matuszewskiej?

– No, ba. Słyszałem, że wiedźmę zamordowali masoni. Tak przynajmniej piszą tabloidy. Chyba nie sądzisz, że znam się z masonami? Moje macki tak daleko nie sięgają. Nie wiem też, kto zaciukał twoją profesorkę. Ptaszki o tym nie ćwierkają, brachu. Przynajmniej na razie.

– Po pierwsze nie sądzę, żeby zamordowali ją masoni. I po drugie nie wymagam od ciebie, abyś wiedział, kto ją zabił. Okazuje się jednak, że pani profesor kupowała dragi od twojego człowieka, którego jeszcze nie przyskrzyniliśmy, chociaż pewnie tak się w końcu stanie. Mamy świeżutkie zdjęcia, na których widać, co twój kumpel porabia wieczorami. I nic nie da się z tym zrobić, uprzedzając twoją prośbę – powiedział szybko Roger. – Ten wasz człowiek... Mówicie na niego, zdaje się, Królik.

– Wątpię, żeby pracował dla mnie jakiś Królik, brachu. W moich biznesach mówi się do ludzi po nazwiskach, a nie po ksywach. Może tak było kiedyś... – Tomaszek zaśmiał się. – Ale spróbuję dotrzeć do tego człowieka i pomóc ci. Co dokładnie chciałbyś wiedzieć?

– Kiedy, jakiego rodzaju, dlaczego i dla kogo kupowała te dragi. I czy ktoś ją śledził? A także, czy coś więcej łączyło Staroniową z tym Królikiem? Po prostu zachodzę w głowę, jak ktoś, kto obracał się wśród elity Poznania, co więcej, jest jej częścią, zadawał się z takim mętem jak Królik.

– Poznań to nie Wersal, brachu. Naszym elitom ciągle nie tak daleko do wielkopolskich czworaków – zaśmiał się Tomaszek, mając na myśli prymitywne chałupy, w których jeszcze przed wojną mieszkali biedni robotnicy rolni. – Spójrz na mnie czy na siebie. Opolska się kłania. Twoja babka do dzisiaj tam mieszka, co, brachu?

– Tak, ale nie mam z tym najmniejszych problemów. Nie wstydzę się swojego pochodzenia.

– I bardzo dobrze, brachu. A Królik, brachu, nie jest żadnym mętem. Ale nie martw się, dowiem się, co on ma wspólnego z twoją zamordowaną. Tymczasem... Może wpadniesz do nas w niedzielę na grilla. Weź syna, brachu.

- No, nie wiem... – Roger wahał się.
- Przyjacielowi odmawiasz? I znakomitej kuchni jego małżonki?
- Dobra, wpadnę. Ale nie posiedzę długo – odpowiedział mu w końcu Roger. Nie zamierzał się z nim kłócić.
- Wiesz, wielu moim kumplom też się tak wydawało, a dostali dożywotkę, brachu – zaśmiał się złowieszczo Tomaszek.
- Mogli nie przeginać pały – powiedział Roger.
- No, mogli. Ale z ciebie sztywniak, brachu. Chyba cię w niedzielę upiję. Do zobaczenia.
- Do zobaczenia – odpowiedział Roger i rozłączył się. Westchnął. Wizyta u Tomaszka nie będzie sprawą ani łatwą, ani przyjemną, chociaż nie wątpił, że kuchnia Izabeli zachwyca – ponoć Tomaszkowa bardzo się zmieniła. Roger ziewnął przeciągle, spojrzął na telefon i uznał, że czas zbierać się do domu. Po drodze będzie musiał jeszcze odebrać Seweryna od teściów.

23 sierpnia 2014, sobota,
Poznań

Wolno otworzył oczy. Czuł, że ktoś go mocno obejmuje. Czyżby znów wylądował u Emilii i o tym zapomniał? Ale nie. Był u siebie. Poznawał ten sufit z pęknięciem w rogu. To na pewno było jego mieszkanie. Może więc Julię udało się ściągnąć do jego jaskini lwa? Szczerze jednak w to wątpił. To nie ten etap. Spojrzał wreszcie w bok i zamiast jakiejś ponętnej niewiasty ujrzał Sewerynka. Musiał przyjść do niego w nocy. Coś go musiało wystraszyć. Ostatnio mały przebąkiwał coś o kosmatym potworze ukrywającym się w jego szafie. Tymczasem jego synek też już zdążył się obudzić.

– Tatusi! – krzyknął z radością.

– Synku, dlaczego nie jesteś w swoim łóżeczku?

– Bo wydawało mi się, że widziałem w nocy Kosmatego. Ale, tatusiu... Moje łóżeczko to chyba u dziadka i babci jest, a nie tutaj. – Roger zasepił się, słysząc te słowa, ale maluch kontynuował swój monolog. – Dziadek nie pozwala mi z nimi spać. Mówi, że to takie niemęskie. Ma rację?

– Może trochę... Ale z drugiej strony? Dawno się z tatą nie widziałeś, co? I jeszcze ten Kosmaty. Od czasu do czasu możesz się tutaj trochę poukrywać.

– No właśnie! I dlatego wolałem przyjść i przytulić się do taty.

– Tymczasem trzeba wstawać, synku. Szkoda dnia.

– Wiem. Tatusiu, a co będziemy dzisiaj robić? Może byśmy pojechali nad jakąś wodę – zaproponował radośnie Sewek.

Roger ponownie się zasepił. Musiał jechać na pogrzeb Staroniowej. Branie tam ze sobą pięcioletka nie było dobrym pomysłem. Ewentualny, późniejszy wypad nad jezioro też odpadał, bo prognozy pogody na dzisiaj zapowiadały temperaturę trochę powyżej dwudziestu stopni. Dla ciepłolubnego Rogera to było trochę za mało. Dla Seweryna zresztą też. Nie chciał, żeby synek się zaziębił.

– Może odwiedzisz prababcię?

– Byłem przecież u niej niedawno. Poza tym u prababci nie ma nawet rzeczki – powiedział niezadowolony maluch. Tak bardzo chciał jechać nad jakieś jezioro, żeby radośnie się w nim poplaskać.

– Ale pytała ostatnio o ciebie. Stęskniła się za tobą.

– A ty nie? – powiedział zaskakująco przenikliwie Seweryn.

– Ja też, ale muszę coś załatwić na mieście.

– Tato, ty ciągle coś załatwiasz na mieście. Chciałbym z tobą spędzić wreszcie cały dzień – powiedział naburmuszony Sewek.

– Będzie jeszcze na to czas... Jesteś głodny? Może śniadanko? – Sam siebie za to nienawidził. Chciał skierować zainteresowanie Seweryna z niewygodnych tematów na jedzenie.

– Chyba tak – powiedział radośnie maluch.

Biedaczyna, dał się łatwo zwieść. Roger z ciężkim westchnięciem wygramolił się z łóżka i skierował w stronę aneksu kuchennego. Z niepokojem otworzył lodówkę. Wiedział, że nie czeka go tam nic dobrego. Faktycznie wiało z niej chłodem i pustką. Trzy jajka, pasztet z płamą pleśni i nieotwarta konserwa z sałatką z makreli. Nie miał czasu zrobić zakupów. Nic nowego.

– Wiesz co, mały? Ubieraj się. Kupię ci coś smacznego po drodze. Pojedziemy potem do aquaparku. Będziesz miał tam swoją wodę. A potem jeszcze do prababci. Biegnij migiem po swoje badejki – zawołał do Seweryna, mając na myśli kąpielówki.

Na twarzy chłopca pojawił się duży uśmiech. Perspektywa wizyty w Termach Maltańskich ucieszyła go. Zwłaszcza basen ze statkiem pirackim. Jednak jego największym, niespełnionym dotąd marzeniem pozostawała prawie stumetrowa zjeżdżalnia – Czarna Dziura – z licznymi efektami wizualnymi. Zdawał sobie jednak sprawę, że jest dla niego na razie nieosiągalna. Miał o trzy lata za mało, aby z niej skorzystać, dlatego swoje szanse na Czarną Dziurę oceniał na marne. Nie miał co liczyć na to, że ojciec go przeszmugluje.

Policjanci nie mogą – pomyślał ze smutkiem. Wiedział, że mógł liczyć co najwyżej na przypałową w jego mniemaniu zjeżdżalnię rodzinną. Co gorsza słyszał, że zjeżdżają z niej również siusiumajtki. Skrzywił się na tę myśl i pobiegł po kąpielówki.

†

Było kilka minut po dwunastej, kiedy wyszli z Term Maltańskich i wyruszyli dalej, do babci Franki. Roger spieszył się, bo o trzynastej zaczynał się pogrzeb. Aby dotrzeć na Junikowo, musiał przejechać całe miasto, a następnie szybko zostawić Seweryna u Franciszki na Opolskiej i pokonać jakieś siedem lub osiem kilometrów, aby w końcu dotrzeć na cmentarz. Miał teraz chwilę na rozmyślania, choć powinien słuchać synka, który właśnie relacjonował mu cały swój ostatni pobyt u dziadków Olszewskich. Tymczasem on coraz bardziej gubił się w wątkach sprawy zabójstwa Staroniowej. Zdecydowanie za dużo jest tych podejrzanych i trzeba coś z tym zrobić! Jesień był szaleńcem prześladowającym profesorkę. Jej mąż Grzegorz Staroń cieszył się piękną kochanką i być może miał dość bycia pod pantoflem żony. A może zrobiła to siostrzyczka, Magdalena, która przez lata upokarzana przez zamordowaną, w końcu nie wytrzymała? W pierwszej chwili pomyślał o Małgorzacie Staroń-Matuszewskiej jako o ofierze, ale jakoś mało pasowało do niej to określenie. Może w końcu trafiła kosa na kamień? Ludziom wydaje się często, że ofiara to chodząca szlachetność, a prześladowca to wcielone zło. Nie zawsze tak jest. Zdarza się, że ofiara staje się nagle oprawcą. Ile razy zakuwał w kajdanki bite latami żony, które w końcu nie wytrzymały i wbijały nóż kuchenny prosto w serce „ukochanego” oprawcy, to znaczy małżonka. Czy tak samo było z matką Julii? Jak to jest, że niektóre ofiary nagle, na moment stają się oprawcami, a inne przez całe życie nie wychodzą ze swojej roli.

– Nawet najtwardszą stal można przetopić – usłyszał kiedyś. Nie pamiętał już, kto to powiedział. Może babcia Franka? Pamiętał, jak w szkole pozytywnie nawiedzony nauczyciel chemii zabierał ich na wycieczki do różnych zakładów przemysłowych. Nie zabrakło wśród nich również huty stali. Na własne oczy widział, jak powstaje ten surowiec. Wytapiano go z rudy żelaza i węgla w ogromnym piecu, który zrobił na nim kolosalne wrażenie. Stal, jak tłumaczył im nauczyciel, słynie ze swojej twardości i topnieje dopiero w temperaturze 1150 stopni Celsjusza. Ale jednak topnieje. Sztynna przestaje być już w temperaturze 500 stopni, o czym świadczy zawalenie się wieżowców World Trade Center. Być może pani profesor była właśnie taką stalą. Twardą, ale do czasu. Do czasu, kiedy napotkała na swojej drodze prawdziwie niszczycielski żywioł. Roger uśmiechnął się sam do siebie, chyba za daleko brnął w swoich metaforach. Miał jednak nieustanne wrażenie, że przeoczył coś ważnego. Strasznie go to męczyło. Nawet w snach. Być może dzisiejsza wizyta na cmentarzu coś poruszy w jego głowie.

Nim się obejrzał, byli już u babci Franciszki. Zastali ją szykującą się do wyjścia z domu. Szukała bezradnie swojej chustki, której nigdzie nie mogła znaleźć. Średnio ucieszyła się na ich widok, była wręcz niezadowolona, ponieważ Roger nie uprzedził jej o swojej wizycie.

– Wychodzę właśnie do sklepu, a ty mi Sewka przywozisz.

– Babciu, nie cieszysz się na widok prawnuka?

– Cieszę się, ale mogłeś przekręcić i mnie uprzedzić... Ale w sumie to nie ma problemu. Wezmę go ze sobą do tego sklepu. Jadł coś?

– Tak, pączka.

– Rogerku, wiesz, co o tym myślę. Jakiejś wędlinki z pomidorkiem trzeba było mu dać. Co, pewnie nic nie miałeś w lodówce?!

– Babcia mnie doskonale zna...

– A co mam nie znać?! Jak tam twoje panny? Coś się ruszyło? – Franciszka zmieniła temat. Uważała, że Rogerowi przydałoby się jakieś damskie wsparcie. Ledwo ogarniał to wszystko, przynajmniej w jej mniemaniu.

– Jednej dałem do zrozumienia, że to nie to – odpowiedział jej Roger.

– Zrozumiała?

– Raczej tak.

– Raczej nie – wątpiła babcia Franka. Mężczyźni zawsze kluczyli w takich sprawach i zwodzili

kobiety. – Odprawileś pewnie tę prokuratorkę?

– Dokładnie.

– Nie wiem, wnusiu, czy to dobry ruch. Nic nie wiesz o tamtej drugiej dziewczynie. Może być jakaś pokręcona – babcia kręciła głową.

– A ta prokuratorka nie jest? – zapytał retorycznie rozdrażniony Roger. – Babcia jej nie zna. Ma diabelski temperament.

– To dobrze, przy niej nie zginiesz. I jakoś musiała dojść do swojej pozycji, więc głupia też nie jest.

– Tatuś prokurator jej pomógł.

– No to szanowana rodzina, pewnie sporo trupów trzyma w szafach, ale jednak szanowana. Sewerynkowi byłoby w niej dobrze.

– Ale mnie nie. Nie mam najlepszego zdania o prokuratorze Zalewskim.

– Tak jak cała Opolska o twojej matce. A naprawdę trzeba się postarać, żeby zapracować sobie na kiepską opinię na naszej ulicy. Wybacz, kochana córuniu – westchnęła Franciszka, patrząc wymownie w górę.

– Babciu, daj już spokój. Od kiedy jesteś taka złośliwa?

– Od zawsze, jakbyś nie zauważył, ale już w porządku. Kiedy odbierzesz małego?

– Jak najszybciej się da.

– Czyli wieczorem – westchnęła Franciszka.

– Niekoniecznie. Idę tylko na pogrzeb pani profesor, sprawa służbowa – powiedział Roger.

– W porządku. Ja cię zatrzymywać nie będę. Zajmę się Sewerynkiem, ale pamiętaj – wieczna nie jestem. Nawet najtwardsza stal w końcu topnieje – westchnęła Franciszka, a Roger poczuł się bardzo dziwnie. Jakby miał *deja vu*.

†

Przed białym domem pogrzebowym na cmentarzu na Junikowie kłębiły się spore tłumy. Byli tu pracownicy uniwersytetu, archiwum, studenci, dalsi i bliżsi znajomi zmarłej. Wśród nich Roger dojrzał Mikołaja Szredera. Nie zabrakło także rodziny zamordowanej. Profesor Matuszewski, ubrany w czarny jak smoła garnitur, wyglądał bardzo staro, prawie jak chodzący trup, choć jeszcze tydzień wcześniej wyglądał z dziesięć lat młodziej. Obok niego stała otumaniona przez leki uspokajające żona. Ubrana w czarną, wełnianą sukienkę, pociła się w niej niemiłosiernie. Roger zastanawiał się, jak to się stało, że jeszcze jej nie przesłuchali? Wiedział dlaczego. Od wiadomości o śmierci córki jej depresja tak się pogłębiła, że przestała się odzywać. Policijny psycholog zalecił, żeby przesłuchali ją na dalszym etapie śledztwa. Posłuchali. I tak wątpił, żeby powiedziała coś więcej, niż przekazał im profesor Matuszewski. Obok teściowej stał Grzegorz Staroń z czerwoną od przepicia twarzą. Oczy miał podkrążone, a na ich białkach liczne, czerwone żyłki. Za rękę trzymał młodszą córeczkę, również ubraną na czarno. Prawdopodobnie była w wieku Sewerynka. Roger posmutniał. Nie będzie miała łatwego życia bez mamy, nawet jeśli jej rodzicielka była najgorszą wiedźmą w Poznaniu. Obok niej stał jej starszy brat. Jego mina nie wyrażała nic. Wydawało się, że myślami był tysiące kilometrów stąd. Może to była najlepsza strategia na przetrwanie całego kłębiącego się tutaj szaleństwa? Nie dojrzał za to Magdaleny Matuszewskiej. Może się spóźni?

Nie zabrakło, oczywiście, dziennikarzy. Ich twarze dziwnie przypominały sępie główki. Byli również różnego rodzaju oficjele – rektor uniwersytetu, wiceprezydent Poznania i kilku radnych. Tam, gdzie dziennikarze, tam i oficjele, zwłaszcza ci, których przyszłość zależy od poparcia poznaniaków. Nie zabrakło też, jakżeby inaczej, biskupa. Rodzina Matuszewskich słynęła ze swojej pobożności, mimo że od pokoleń zajmowała się tymi, według wielu duchownych, obrzydliwymi masonami. No ale w końcu wroga trzeba dobrze poznać, aby namierzyć jego słabości. Sam Heinrich Himmler doszedł do takich wniosków. Roger skarcił się za takie myśli. Im bardziej polski naród pobożniał, tym on stawał się bardziej zatwardziałym ateistą. Nie potrafił inaczej. Na drugie imię było mu przekora.

Na pogrzeb przyszła też prokurator Emilia Zalewska. Stała obok mężczyzny, do którego była

trochę, ale tylko trochę podobna. To był jej ojciec, ponury jak zwykle prokurator Tadeusz Zalewski. Przynajmniej dzisiejsza okoliczność sprzyjała jego stanowi ducha. Roger miał pecha, Zalewscy szybko go zauważyli. I nie byli wcale z jego widoku zadowoleni.

– Witam. Dobrze, że tu pana widzę, świadczy to jednak o tym, że pana to śledztwo choć trochę interesuje – powiedział bez ogródek Zalewski. Zmarszczył brwi tak mocno, że zaczęły przypominać czarne wykrzykniki.

– Tato, przestań, obchodzi go. Współpracuję z nim, to wiem – powiedziała szybko Emilia. Raziła ją niesprawiedliwość ojca.

– Witam – powiedział krótko Kalita. Miał ochotę zabić wzrokiem tego prokuratora, co to w stanie wojennym ścigał opozycjonistów. Jak on nim gardził, pewnie równie mocno jak prokurator nim.

– Zdaje pan sobie sprawę, że jeśli do połowy tygodnia nie zostanie schwytany zabójca, to pana kariera zostanie zahamowana, a nawet cofnięta? Od początku mówiłem Kuśmierskiemu, że powinien dać do tego śledztwa kogoś bardziej doświadczonego. Wystarczy już, że moja córka, choć cenię jej kwalifikacje, nie ma zbyt wielkiego doświadczenia... Jest prokuratorem dopiero od niedawna.

– Tato, proszę, to nie czas na takie przepychanki – szepnęła Emilia. – Chciałam ci przypomnieć, że jesteśmy na pogrzebie córki twojego znajomego.

– Masz rację, Emilko, ale chcę, żeby ten wychwalany przez ciebie policjant wziął się w końcu do pracy. – Roger był mile zaskoczony, słysząc, że Emilia pochlebnie się o nim wyrażała, bo przecież nie postępował wobec niej uczciwie. Poczul się jak ostatnie ściervo.

– Przepraszam, ale muszę złożyć kondolencje rodzinie – powiedział wymijająco i czym prędzej oddalił się od Zalewskich. Na plecach poczuł palące spojrzenie starego prokuratora. Za kogo ten stary, nawrócony na katolicyzm komuch się uważał? Od kilku lat był na emeryturze. Może niech lepiej tak pozostanie? Ciągle miał jednak wpływy i on, Roger, musiał na niego uważać. Kuśmierski co prawda wierzył w umiejętności i zaangażowanie Kality, ale czasem zwykła, ludzka sympatia przełożonego nie wystarcza, żeby nie zostać odstrzelonym. Dobrze, że ten stary cap nie wiedział, co całkiem niedawno wyrabiał z jego córką.

Roger podszedł do Matuszewskich i Staroniów. Zgodnie z jego przewidywaniami i oni nie byli zadowoleni z jego widoku. Profesor zdawał się go nie kojarzyć i traktował trochę jak natrętą muchę, której nie da się odgonić, dlatego przyjął kondolencje z dużą rezerwą. Inaczej zachował się Staroń. On patrzył na Kalitę z jawną wrogością. Jak na dentystę, który dzień wcześniej wyrwał mu zęba bez znieczulenia, a dziś pyta z uśmiechem, jak się czuje.

– Nie dziękuję – burknął i prawą ręką otoczył dzieci, aby nie ważył się do nich podejść z kondolencjami.

Roger więc zrezygnował i swoje kroki skierował ku Szrederowi. Miał z nim do pogadania. Bibliotekarz wyglądał na bardzo zmęczonego. Jego ziemista cera miała odcień zdechłej ryby.

– Witam. Pamięta mnie pan? – zapytał Szredera na wstępie.

– Oczywiście.

– Widzę, że przyszedł pan na pogrzeb szefowej.

– Nie mógłbym postąpić inaczej – powiedział cicho Mikołaj.

– Niech pan tego nie traktuje jak przesłuchania, ale wspominał mi pan ostatnio, że doktoryzował się z osiemnastowiecznego Poznania.

– To prawda.

– A z szesnastowiecznego? – zapytał Roger, mając na myśli rok 1511 i spalenie pierwszej czarownicy.

– Dziwne pytanie, ale nie. Chociaż będę może nieskromny, ale bardzo dobrze znam historię Poznania – powiedział zdecydowanie głośniejszym głosem i z niespotykaną dla niego pewnością siebie Szreder.

– A w którym roku spalono pierwszy raz w naszym mieście czarownicę? – wystrzelił jak z procy Roger. Miał nadzieję zbić z tropu Szredera, ale nic takiego się nie stało. Bibliotekarz spokojnie i rzeczowo odpowiedział na jego pytanie.

– Trudno powiedzieć, zależy jak na to spojrzeć. Bowiem Chwaliszewo w szesnastym wieku nie

było częścią ówczesnego miasta, ale przyjmuje się, że pierwszą czarownicę na obszarze dzisiejszego Poznania spalono na początku szesnastego wieku. Dokładnego roku nie pamiętam. Może 1509? – strzelił Szreder.

Kalita zaczął się zastanawiać, czy to była celowa pomyłka.

– Może 1511? – poprawił go drwiącym głosem.

– Nie wiem, być może. Nie wiedziałem, że interesują pana poznańskie czarownice. Myślałem, że szuka pan zabójcy pani profesor – powiedział zbyt odważnie Szreder.

Czy on sobie drwił z Kality? Jeśli tak, to Roger wiedział, że jeszcze srogo tego pożałuje.

– A jak jest czarownica po niemiecku? Zna pan niemiecki?

– Oczywiście. Nie da się zajmować historią naszego miasta bez znajomości języka Goethego.

Die Hexe – odpowiedział Szreder.

– Dziękuję za te wyczerpujące informacje...

– Wybacz pan, ale właśnie zaczyna się ceremonia pogrzebowa – zauważył Mikołaj Szreder, po czym dodał: – Jak mi nie mam, pan również przyszedł na pogrzeb pani profesor?

– Dobrze mi nie masz – powiedział ironicznie wściekły Kalita, po czym wyminął Szredera i wszedł do budynku domu pogrzebowego.

†

Ceremonia pogrzebowa dłużyła się niesamowicie. Poza profesorem Matuszewskim przemówili również wiceprezydent, rektor oraz sam biskup. Dobrze, że nie pozwolili przemówić przepitemu Staroniowi. Jego bełkot wszystko by popsuł. A tak każdy z oficjeli miał do powiedzenia wiele ciepłych, nie do końca szczerych słów na temat zamordowanej. Dlatego nikt nie zająknął się nawet, że była prawdziwą wiedźmą, która ze swoich bliskich wysysała energię życiową. O zmarłych mówi się dobrze albo wcale, dlatego też w mowie pogrzebowej musiało być jak najwięcej pochlebstw.

– Pani profesor Małgorzata Staroń-Matuszewska była oddaną córą Kościoła. Hojnie wspierała swoją parafię i cały Kościół. I wcale nie mówię tu o pieniądzach, ale o dobrym słowie i uczynku. Rozmawiałem z proboszczem Julianem Kozienickim. Pani profesor zawsze miała czas dla Kościoła. Takiego podejścia mógłby się od niej uczyć każdy parafianin. Najpierw sprawy duchowe, potem doczesne – grzmiał biskup.

– Pani profesor Małgorzata Staroń-Matuszewska była spełniającą się nadzieją naszego uniwersytetu. Miała wiele talentów. Wśród nich także ten związany z zarządzaniem. Myślę również, że całkiem prawdopodobne byłoby to, że za kilka, a może kilkanaście lat sama pokierowałaby naszą szacowną uczelnią. Nie ulega wątpliwości, że rozślawiłaby ją nie tylko na cały kraj, ale również na całą Europę. To, co zrobiła dla poznańskich masoników, jest nie do przecenienia. Szkoda, że jej praca została w tak niecny sposób przerwana – ubolewał wyraźnie wzruszony rektor.

– Miałem przyjemność studiować z profesor Małgorzatą Staroń-Matuszewską i muszę powiedzieć, że przewyższała intelektem nas wszystkich na każdym kroku. Nigdy jednak nie uważała się za lepszą od innych studentów. Zawsze była pomocna i uśmiechnięta – skłamał kolejny mówca i był w tym naprawdę dobry, po czym kontynuował: – Wiedzieliśmy jednak, że daleko zajdzie. I tak też się stało. Zrobiła oszałamiającą karierę naukową, pokonując jej kolejne szczyble w imponującym tempie. Niestety, ktoś zamordował naszą nieodżałowaną panią Małgosię. I muszę państwu powiedzieć, że nie spoczniemy, dopóki nie dorwiemy tego zwyrodnialca, który w tak brutalny sposób odebrał jej życie. Komendant Kuśmierski zapewnił mnie, że policja dołoży wszelkich starań, aby tak się stało – mówił trochę zbyt bezpośrednio wiceprezydent.

– Pani profesor Małgorzata Staroń-Matuszewska była po prostu moją córką. Najukochańszą córką. Nigdy mnie nie zawiodła, a nawet przerosła moje oczekiwania względem niej. Ogromnie żałuję, że już nigdy nie zjemy wspólnego obiadu rodzinnego ani nie powspominamy starych, dobrych czasów. Mam nadzieję, że śledczy wywiążą się ze swoich zadań, chociaż i tak nie zwróci to życia mojej córce – powiedział miękko, drżącym głosem profesor Matuszewski.

Kalita miał wrażenie, że to była jedyna autentyczna mowa, którą wygłoszono tego dnia w tym

domu pogrzebowym. Bo płynęła prosto z serca zrozpaczonego ojca.

Godzinę później zasypywano już trumnę z panią profesor ciężkimi grudami czarnej jak garnitur pana profesora ziemi. Prokurator Zalewski stał nieopodal Matuszewskiego, wpatrując się w grób. Emilia stała z boku, lekko zawstydzona, prawdopodobnie z powodu ostrego przesłuchania, któremu dzień wcześniej poddała Grzegorza Staronia. Roger miał nieodparte wrażenie, że czasami była zbyt miękka jak na prokuratora. Zwłaszcza wtedy, kiedy musiała komuś ważnemu bądź majątnemu nacisnąć na odcisk. Być może wynikało to z jej krótkiego stażu pracy w charakterze prokuratora. Może z biegiem lat nabierze doświadczenia i zmieni swoje podejście. Tymczasem Roger spojrzał na Mikołaja Szredera. Ten zaś właśnie brał nogi za pas, rozglądając się badawczo, czy nikt za nim nie podąża. Słabo mu to wyszło, bo nie zauważył, że Roger Kalita, co prawda w odpowiednio sporej odległości, ale jednak kroczył za nim. Szreder sięgnął po komórkę i zadzwonił po taksówkę. Kiedy Roger usłyszał, dokąd chce jechać bibliotekarz, jego ukradkowe śledzenie straciło rację bytu. Wiedział już, dokąd zmierza i dlatego skręcił w boczną alejkę, byle jak najszybciej dotrzeć do swojego samochodu.

Mikołaj Szreder podążał na osiedle Kosmonautów. Młody taksówkarz nie był zbyt rozmowny, co akurat było jego atutem, a nie wadą. Być może jego milczenie wynikało stąd, że odbierał bibliotekarza spod cmentarza i jakoś nie miał ochoty rozmawiać o cudzych tragediach, skoro miał własne na karku. Mikołaj Szreder był mocno zaniepokojony i chciał jak najszybciej pozbyć się tego uczucia, dlatego też zdecydował się pojechać na osiedle Kosmonautów.

Nieco inną drogą, może trochę dłuższą, ale jednak szybszą, w tym samym kierunku udał się również Roger Kalita. Magdalena Matuszewska wcale nie spóźniła się na pogrzeb, ona po prostu na niego nie przyszła, co stawiało ją w bardzo złym świetle. W wielu sprawach, które prowadził, było często tak, że zabójcy nie przychodzili na ceremonię pochówku swojej ofiary. Pamiętał głośną sprawę ze Szczecina, kiedy to została zamordowana kobieta wraz ze swoim partnerem i jego niepełnosprawnym synem. Jej rodzony jedynak nie przyszedł na pogrzeb i między innymi z tego powodu szczecińska policja nabrała podejrzeń, że to właśnie on zamordował matkę i jej bliskich.

Roger zaparkował przed blokiem i czekał na Szredera, który ciągle włókł się taksówką. W końcu jednak, jakieś dwie minuty później, granatowa taryfa podjechała pod budynek. Zastanawiało go, co Szredera łączyło z Magdaleną Matuszewską? Do niedawna podejrzewał, że bibliotekarz romansował ze swoją szefową, a teraz zaczął przypuszczać, że ukryty romans miał z jej siostrą. A może Magdalenę i Mikołaja połączyła zwykła wspólnota interesów – usunięcia jędzy, która młodszej Matuszewskiej zrujnowała życie, a Szrederowi blokowała drogę do objęcia kierowniczego stanowiska w bibliotece w Ciążeniu. Ale czy to wystarczające motywy, aby kogoś zabić? Zwłaszcza że były to osoby, bądź co bądź, wykształcone? Ta teoria brzmiała trochę niedorzecznie.

– Jak już mordować, to po to, aby zdobywać miliony, a nie kierowniczą, choć nie najlepiej płatną posadkę na jakiejś wsi – mruknął sam do siebie Roger. Czasem jego sarkazm przekraczał granice przyzwoitości. Musiał teraz chwilę odczekać. Dopiero, kiedy Szreder wszedł do bloku, Kalita wysiadł ze swojego samochodu i skierował się do tego samego wejścia. Drzwi oczywiście zdążyły się zatrzaskać, dlatego Kalita na oślep włączył któryś z przycisków domofonu.

– Policja – powiedział bez ogródek.

– Ale ja przecież nic nie zrobiłam – jęknęła jakaś przestraszona kobieta.

– Ja nie do pani – odpowiedział beznamiętnie.

Po chwili drzwi stanęły przed nim otworem. W końcu udało mu się dotrzeć na ostatnie piętro, pod drzwi mieszkania Magdaleny Matuszewskiej. Szreder, co nie było żadnym zaskoczeniem, zdążył już wejść do środka. Kalicie nie pozostało nic innego, jak przystawić ucho do niezbyt solidnych, starych drzwi. Mimo ich kiepskiego stanu technicznego, a co za tym idzie słabego wyciszenia, ledwie słyszał treść ich rozmowy. Rozmawiali dość cicho.

– Jak ty wyglądasz? – powiedział zatroskanym głosem Szreder.

– Normalnie, o co ci znowu chodzi... – powiedziała słabo Matuszewska. Jakoś tak zbyt słabo, jak na gust Rogera.

– O to, że nie byłaś na pogrzebie Małgorzaty. Mogą zacząć cię podejrzewać. Kręcił się tam ten

glina, jak mu tam, Kalita.

– Oni zawsze chodzą na pogrzeby. Taka praca – odpowiedziała Magdalena.

– Martwię się o ciebie – powiedział z autentyczną troską Mikołaj.

– Daj spokój, nie masz o co.

– Musisz się zacząć leczyć. Tak długo nie pociągniesz.

Roger nic z tego nie rozumiał. Matuszewska na coś chorowała?

– Bądźmy dobrej myśli – odparła Magdalena. Pytania i troska Mikołaja wyraźnie ją męczyły.

Miała nadzieję, że zaraz sobie pójdzie.

– Dlaczego nie byłaś na pogrzebie Małgorzaty? Oni ci tego nie wybaczą! – uniósł się nagle Szreder.

– Mam ich gdzieś. A nie byłam na tym całym cholernym cyrku, bo niby po co? Wysłuchiwać tych kłamliwych pochwał, jaka ta moja siostra była cudowna? Zresztą, przejdźmy do pokoju. Chcesz się czegoś napić?

Odpowiedzi już nie dosłyszał, Szreder i Matuszewska z przedpokoju przeszli do salonu. Nie pozostało mu nic innego, jak wrócić do samochodu i obserwować dalej blok.

Godzinę później z budynku wyszedł zmartwiony Szreder. Tym razem zrezygnował z przejazdu taksówką i udał się na przystanek tramwajowy popularnej „pestki”. Roger odczekał kwadrans i wysiadł z samochodu, kierując swoje kroki w stronę budynku. Kilka chwil później ponownie stał przed mieszkaniem Matuszewskiej. Zadzwoił do drzwi. Magdalena nie była zachwycona jego wizytą, co dało się wyczuć w jej nieco naburmuszonym tonie głosu. Do mieszkania wpuściła go bez większego entuzjazmu. Dokładnie ją zlustrował i w tym momencie zrozumiał troskę o stan psychiczny i fizyczny Matuszewskiej, którą wyraził godzinę wcześniej Szreder. Była wychudzona, miała ziemistą cerę i podkrążone oczy. Określenie nieład dla jej włosów byłoby komplementem. Jej rozczochrane, rude włosy dawno nie były myte. A zaledwie tydzień temu prezentowała się o niebo lepiej. Nawet mu się podobała. Może to depresja?

– Czemu mogę zawdzięczać tę wizytę? – zapytała bardzo słabym głosem. – Poczestowałabym pana kawą, ale właśnie mi się skończyła – dodała nerwowo, dając mu do zrozumienia, że nie jest mile widzianym gościem, co zresztą w ogóle go nie zaskoczyło.

– Byłem dzisiaj na pogrzebie pani siostry – stwierdził, po czym zamilkł, czekając na jej reakcję.

– Naprawdę? – zapytała głupio.

– Widzę, że jest pani zdziwiona. Może dlatego, że pani na tym pogrzebie nie było?

– Pogrzeby nie są obowiązkowe – odpowiedziała słabo. Wyglądała tak, jakby zaraz miała zemdleć.

– Chciałem przypomnieć, że chowano pani jedyną siostrę.

– Nie musi mi pan tego przypominać. Po prostu źle się czuję. Zresztą ostatnim razem też mnie pan o to pytał. Nie chcę już do tego wracać.

– Co pani dolega?

– Nie wiem, chyba jakaś grypa – skłamała. – Po prostu nie miałam siły iść na ten pogrzeb. Ale jak się lepiej poczuję, to na pewno pójdę na grób.

– Nie wygląda pani najlepiej, ale myślę, że nawet gdyby czuła się pani lepiej, to i tak by pani nie poszła na pogrzeb.

– Skąd ta pewność? Nie chciałam patrzeć na ten cały cyrk i wspomnianie Gośki jako chodzącego ideału. – W duchu przyznał jej rację. Tak właśnie było. Tymczasem Magdalena kontynuowała: – Ona własną siostrę i własnego męża prawie do grobu wpędziła. Swoim charakterkiem.

– Dlatego ją zabiłaś? – Roger zastanawiał się, czy nie przeszedł na ty zbyt łatwo. Ale pytanie potencjalnej morderczynie, czy kogoś zabiła, z użyciem formy grzecznościowej, w jego odczuciu, zabrzmiałoby kretynsko.

– Nie zabiłam, zwariował pan?! Po co bym to miała zrobić? Co by mi to dało? Wiadomo, że zaraz stałabym się dla was jedną z podejrzanych. Nie było tajemnicą, że nasze relacje były trudne.

– Pani ojciec wspominał, że zamierzała pani napisać doktorat o Himmlerze i jego

zainteresowaniach związanych z czarownicami.

- To prawda – przyznała Magdalena.
 - Historia poznańskich czarownic nie jest pani obca? W którym roku spalono u nas pierwszą wiedźmę?
 - Zaraz oszaleję. Po co to panu?
 - Proszę odpowiedzieć – nie poddawał się Roger.
 - Nie pamiętam dokładnie. Może początek szesnastego wieku?
 - Podpowiem. W 1511 roku.
 - Skoro pan wie, to po co mnie pyta? – dziwiła się kobieta.
 - Czy pani wie, że ta liczba została wycięta na jej zwłokach?
 - Teraz już wiem i co w związku z tym? – powiedziała obojętnie Magdalena.
- Ten brak zaskoczenia zastanowił Rogera. Musiał ponownie o to zapytać.
- Czy zabiłaś Małgorzatę Staroń-Matuszewską?
 - Nie, do cholery! – krzyknęła zbyt głośno Magdalena, po czym zalała się łzami. Wyraźnie puściły jej nerwy.

Zastanawiał się dlaczego. Czuł się nieswojo, kiedy widział ją płaczącą. Nie wiedział, jak się zachować. Nigdy nie wiedział. Przypomniawszy sobie Olkę, jak z bólu wiała się na kanapie, a po jej policzkach bezgłośnie płynęły łzy. Zamiast wejść i ją pocieszyć, wycofał się z salonu i wrócił do sypialni. Nie zdążyła go zauważyć, więc nie zareagowała. Czuł się wtedy podle. Powinien był ją wtedy przytulić.

- Muszę już iść. Prawdopodobnie na początku tygodnia dostanie pani wezwanie na przesłuchanie. No chyba że pojawią się jakieś nowe dowody, to wtedy my po panią przyjedziemy.

– To wszystko? – zapytała Magdalena.

– Tak.

– To proszę wyjść! – krzyknęła.

Roger z dziwnym uśmiechem spełnił jej żądanie, bo życzeniem tego raczej nie dało się nazwać.

Wrócił do samochodu i już chciał odpalić silnik, kiedy zadzwoniła komórka. Nie zaskoczyło go, kto telefonował. To była Emilia.

– Gdzie jesteś? Nagle zniknąłeś mi gdzieś na pogrzebie – powiedziała z wyrzutem.

– Śledziłem Mikołaja Szredera. Zgadnij, kogo postanowił odwiedzić?

– Magdalenę Matuszewską? – strzeliła bezbłędnie Emilia.

– Dokładnie.

– Po coś do niej pojechał? – jęknęła Zalewska. Nie pochwałała samowoli Kality, ale z drugiej strony była ciekawa, co udało mu się ustalić. – Przesłuchiwałeś ją? Powiedziała ci coś ciekawego?

– Faktycznie ją odwiedziłem, ale zanim to zrobiłem, udało mi się podsłuchać jej rozmowę ze Szrederem. Nie usłyszałem co prawda zbyt wiele, ale bibliotekarz nie był zadowolony, że pani Magdalena nie pojawiła się na pogrzebie. Trudno jednak powiedzieć, czym była powodowana ta troska. Raczej wątpię, żeby przez Szredera przemawiał szacunek do zmarłej. Bardziej martwił się zdrowiem młodszej Matuszewskiej.

– Co jej jest?

– Trudno powiedzieć. Nie jestem przecież lekarzem. Widziałem co prawda na własne oczy, jak kiepsko wygląda, ale nie umiem stwierdzić, co dolega pannie Magdalenie.

– Pewnie się ucieszyła na twój widok?

– Nie bardzo. Nie omieszkałem zapytać o jej zdrowie. Stwierdziła, że ma grypę, chociaż było to mało przekonujące. Oczywiście, tak jak ostatnio, zaprzeczyła, że zabiła siostrę – westchnął Roger.

– No cóż, może mówiła prawdę. Chociaż, który zabójca przyznaje się do morderstwa? – powiedziała bez przekonania Emilia.

– Może mówiła prawdę, można to łatwo sprawdzić. Trzeba pomyśleć o przesłuchaniu jej z udziałem wariografu. Dużo przemawia za tym, że to ona zabiła. Pamiętaj, że specjalizowała się w czarownicach. I prawie na ten temat napisała doktorat. A jeszcze te jej niejasne związki ze Szrederem?

Co łączy tych dwoje? Romans? Związek? – zastanawiał się głośno Roger.

– Nie mam pojęcia. Ale wariograf to dobry pomysł. Może w przyszłym tygodniu to zorganizujemy? Tymczasem trzeba tych dwoje obserwować.

– Też tak myślę. Posiedzę dzisiaj do wieczora pod jej blokiem, a od poniedziałku będzie już miała stałą obserwację. Oddeleguję do tego Kafla. Nie będzie zachwycony, miał dość obserwowania Staronia, ale musi zapłacić frycowe.

– Dlaczego dopiero od poniedziałku?

– Emilia, przypominam ci, że jest sierpień, weekend, okres urlopowy. Mam do dyspozycji w weekend tylko dwóch ludzi. Jednego z nich wyślę jutro rano do Słupcy. Niech obserwuje Szredera.

– A co z drugim?

– Ciągłe obserwuje dom Staronia.

– Faktycznie. Coś macie za krótką ławkę w tej policji – zauważyła zgryźliwie Emilia.

– Niestety. Mamy sporo wakatów. Takie czasy.

†

O dziewiętnastej dostał wiadomość od Julii, że potrzebuje trochę więcej czasu na przyszykowanie się i żeby przyjechał po nią nie o dwudziestej, tylko pół godziny później. Zaklął w myślach. Całkiem zapomniał o dzisiejszej randce. Odpisał jej, żeby się nie spieszyła i że wpadnie po nią o dwudziestej pierwszej. Wbrew jego obawom, ochno się zgodziła. Mógł trochę więcej czasu poświęcić na obserwowanie bloku Matuszewskiej. Zaczął się zastanawiać, czy zdąży się ze wszystkim wyrobić. Największym problemem pozostawał Seweryn. Kalita obiecał babci, że odbierze syna wieczorem i weźmie go do siebie na noc. Tymczasem Roger miał zaplanowaną randkę i pozostawienie pięcioletka samego w domu było nie najlepszym pomysłem. Z ciężkim sercem zadzwonił do Franciszki, zwłaszcza że pamiętał, jak się zarzekał, że odbierze syna wcześniej niż wieczorem. Nie miał jednak wyjścia, musiał poprosić ją o przenocowanie Seweryna. Tak jak się spodziewał, przyjęła to co prawda ze spokojem, ale jej głos był dziwnie smutny, może nawet rozczerwony.

– Nim się obejrzyś, twój syn skończy osiemnastkę i nie będzie miał żadnych wspomnień związanych ze swoim tatą.

– Wiem, babciu, ale proszę cię o to ostatni raz. Jutro przed południem go odbiorę. Obiecuję – zarzekał się Roger.

– Powinieneś mi wyjaśnić, co takiego się stało, że nie możesz przyjechać po Seweryna teraz? Znowu ta nieszczęsna praca?

– Nie. Wiem, że zabrzmi to głupio, ale zapomniałem, że mam randkę z Julią. – Babcię Franke takie tłumaczenie nawet rozbawiło, ale nie zamierzała odpuszczać wnukowi.

– Roger, jak zapominasz o randkach z tą dziewczyną, to szczerze wątpię, czy tak bardzo ci na niej zależy. Trzeba było zainteresować się prokuratorką.

– Babciu! – zaprotestował Roger. Dziwił go upór staruszki.

– Babciu i babciu. Jesteś dorosły, rób, jak uważasz, bylebyś potem nie żałował. Ja oczywiście zajmę się Sewkiem – powiedziała dziwnie smutno.

Roger czuł się jak najgorszy złooczyńca. Ale randka z Julią stawała się coraz bardziej realna.

O dwudziestej przestał obserwować blok Magdaleny. Przez te kilka godzin, które przesiedział w samochodzie, nie wydarzyło się nic istotnego. Co prawda kilkanaście osób przewinięło mu się w tym czasie przed szybą, wybierając się do sklepu po papierosy albo na spacer z psem, ale żadna z nich nie miała znajomej twarzy ani nie wzbudzała podejrzeń swoim zachowaniem. Również Magdalena nie ruszała się z mieszkania. Czy naprawdę zamierzała całą sobotę przesiedzieć w tym ponurym bloku? Westchnąwszy, odpalił samochód i pojechał szybko do siebie, aby wziąć prysznic i włożyć świeże ubranie. Szczerze mówiąc, ledwie się wyrobił na dwudziestą pierwszą. Tak jak się spodziewał, Julia kazała mu na siebie poczekać pod blokiem. Nawet go nie wpuściła do budynku. Dziesięć minut później pojawiła się na dole. Ładnie pachniała, ale jej strój był jakiś taki zwyczajny. Ubrała się w obcisłe, błękitne spodnie dżinsowe oraz przewiewną, kremową, półprzezroczystą koszulę, na którą nałożyła

czarny, rozpinany kardigan. Na stopy włożyła przewidywalne i nudne balerinki, obowiązkowo z kokardką. Już dawno zauważył, że większość obuwia tego rodzaju musiała posiadać ten banalny element dekoracyjny. Czuł rozczarowanie, że nie włożyła szpilek. Jakże lepiej wyglądałyby w nich jej umięśnione łydki. Ale Julia nie była Emilią. Ta myśl sprawiła mu lekką przykrość przypominając pewnego rodzaju rozczarowanie. Sam siebie nie rozumiał.

– Samochodem czy taksówką? – zapytała.

– Taksówką. Wybacz, ale też bym sobie wypił chłodnego piwka w ten przyjemny, sierpniowy wieczór.

– I prawidłowo – zgodziła się z nim Julia.

Taryfa zawiozła ich prostu do pubu, który nosił zabawną nazwę Ministerstwo Browaru. Był to bar z ogromnym wyborem piw, usytuowany przy ulicy Ratajczaka, która krzyżowała się dalej z ulicą św. Marcina, prowadzącą prosto do znanego w całej Polsce centrum handlowego Stary Browar. Stamtąd było już naprawdę blisko do Rynku ze słynnym ratuszem i koziółkami. Na razie jednak woleli trzymać się z dala od rynkowego blichtru, przyciągającego przede wszystkim tłumy turystów i wszelkiego rodzaju innych przyjezdnych. Ponadto wielość piw z całego świata bardzo kusila Rogera. Swoją degustację rozpoczął od indyjskiego Vendetta, a następnie sięgał po kolejne smakołyki prosto z USA, Belgii czy Niemiec. Julia piła zdecydowanie wolniej i mniej. Czyżby nie chciała za wiele o sobie opowiedzieć? On również nie miał ochoty podzielić się z nią informacją o tym, czym się zajmuje. Przecież jej ojciec...

– A więc jesteś policjantem – powiedziała niespodziewanie Julia.

A więc wiedziała. Jego problem przestał istnieć.

– Skąd wiesz?

– Mam swoje kanały – powiedziała ze śmiechem.

– Które nazywają się Grażyna Orłowska i grasują po całej Dębowej? – zapytał Roger.

Julia ponownie się zaśmiała.

– Widzę, że zdążyłeś poznać tę starą plotkarę.

– Zdążyłem?

– Myślę, że maksymalnie od kilku lat mieszkasz przy Dębowej, prawda?

– Zgadza się – przytaknął jej Roger.

– Wybacz, ale podobnie jak Orłowska znam wszystkich tubylców, a ciebie słabo kojarzę.

– Masz rację. Zaledwie kilka lat temu kupiłem mieszkanie przy Dębowej. I to prawda – jestem policjantem. Mam nadzieję, że to żaden problem?

– Żaden. Wychowałam się w rodzinie policyjnej. Mój ojciec był gliniarzem. Co prawda nie wspominam go zbyt miło, ale czy z tego powodu powinnam się zrażać do wszystkich policjantów? Rany, dobrze, że nie słyszą tego moi starzy kumple z Dębca. Dla nich pies to pies. Ale to ich problem, a nie mój.

– No a ty, czym się zajmujesz? – zagadnął Roger. Teraz kolej na jej zwierzenia.

– Jestem programistką w jednej z międzynarodowych korporacji, których wiele w Poznaniu. Jestem typowym korpolutkiem. Może stąd to moje zamiłowanie do siłowni? Odrzuwam się w niej od pracy siedzącej – zaśmiała się.

– Mieszkasz sama?

– Oj, jak to zabrzmiało... Nie mam nikogo, jeśli o to chodzi.

– Ale sama nie mieszkasz?

– Nie. Z mamą. Ciągle odkładam na własne gniazdko, ale nie chcę bawić się w kredyty. Poza tym nie mogę tak od razu się wyprowadzić. Mama potrzebuje mojej pomocy.

– Jest chora?

– Wybacz, ale nie chcę o tym rozmawiać. A ty? Mieszkasz sam czy z jakąś seksowną, cycatą blondyną i jej zajebistość już tak cię oślepiła, że postanowiłeś pospotać się z jakąś zwyczajną dziewczyną?

– Nie, mieszkam tylko z synkiem.

– Masz synka? Zaskoczyłeś mnie tym. Nie wyglądasz.

– A jak wygląda typowy ojciec? – zapytał z rozbawieniem Roger. – Tak, mam syna. Seweryn ma dopiero pięć lat.

– A co z jego mamą? – drażyła dalej Julia.

– Zmarła trzy lata temu. Rak.

– Przykro mi. Życie to jednak potrafi dać w kość. Jak ty sobie z tym wszystkim poradziłeś? – powiedziała ze szczerym współczuciem Julia.

– Jakoś sobie poradziłem, nie miałem wyboru. Choć muszę przyznać, że nie było łatwo. Ciągłe brakuje mi Olki, ale życie toczy się dalej. Mam również nieocenione wsparcie ze strony teściów i własnej babci.

– Ta twoja babcia jest już chyba wiekowa? – zauważyła Julia.

– Tak, ma osiemdziesiąt lat. Ale uwierz mi, werwy i energii mógłby jej pozazdrościć niejeden młodziak. Włącznie ze mną czy z tobą.

– Skoro jesteś policjantem, to prowadzisz pewnie jakieś strasznie skomplikowane śledztwa – zmieniła temat. Nie chciała go dalej wypytywać o rodzinne sprawy. Musiałaby mu się zrewanżować podobnymi wynurzeniami.

– Zgadza się. Zajmuję się dość ciężkimi przestępstwami.

– Jakimi? Nie mów, że zabójstwami?

– Między innymi.

– To musisz prowadzić sprawę tej profesorki? – bardziej stwierdziła, niż zapytała Julia. – Ponoć ktoś ją rytualnie zamordował. Niektórzy twierdzą, że stoją za tym masoni, ale nie chce mi się w to wierzyć. Z drugiej strony skąd ludziom przychodzą takie myśli do głowy? Może coś w tym jest?

– To wzięło się stąd, że zamordowana była historyczką i zajmowała się pokaznym zbiorem dokumentów masońskich. I nic ponad to. Nie ma żadnych dowodów, że za jej zabójstwem stali wolnomularze.

– Macie już podejrzanego?

– Nie powinienem zdradzać szczegółów śledztwa... – zawahał się Roger.

– Ale coś czuję, że masz na to wielką ochotę. Nie martw się, jestem programistką, siedzę godzinami na kompie i nie mam zbyt wielu znajomych, z którymi mogłabym poplotkować o ostatnich zbrodniach dokonanych na mieście – roześmiała się.

– Masz rację, ta sprawa mnie strasznie męczy, a podejrzanych, jak na mój gust, jest zbyt wielu. To wszystko utrudnia.

– Kiedyś zaczytywałam się kiepskimi kryminałami. I z nich wiem, że pewnie podejrzewacie jej męża i kochanka – strzeliła Julia.

– Męża tak, a kochanka nie było.

– Nie wierzę. Musiał być. W dzisiejszych czasach...

– Ona była religijna i dość konserwatywna, to nie ten typ – przerwał jej Roger.

– No proszę cię. Poczytaj Biblię, to najmniej konserwatywna księga, jaką znam. Zwłaszcza Stary Testament. Jak tam określano legalne kochanki? Nałożnice? Dość obrazowe określenie. Prawie jak ulicznica – bawiła się słowem Julia.

– Sprawdziliśmy to. Nie miała kochanka. Przynajmniej w ostatnim czasie. Jej najgorszym przewinieniem było odbicie narzeczonego siostrze.

– I na tym przykładzie dobrze widać, że do świętych nie należała. Ale niech ci będzie, ty znasz to od środka. To kogo jeszcze podejrzewacie? Pewnie kogoś z rodziny? – Julia zaczęła traktować tę sprawę jak jakąś ciekawą zagadkę do rozwiązania.

– Tak, wspomnianą już siostrę. Ona również miała do czynienia z tymi dokumentami masońskimi.

– Normalnie niezła rodzinka.

– To prawda. Sfiksowana na punkcie historii.

– To może zabił ją jakiś przypadkowy psychol? Przecież i tak się zdarza – zgadywała dalej Julia.

– Takiego również posiadamy w panteonie naszych podejrzanych.

– Nieźle. To może wśród nich jest też jakiś zazdrosny o karierę pani profesor współpracownik?

– Julia, zaskakujesz mnie. I takiego gościa mamy wśród podejrzanych – odpowiedział jej zaskoczony Roger.

Była w tym naprawdę niezła.

– No to nie zazdrościsz sprawy. Może być też tak, że żaden z nich nie zabił.

– Julia, weź mnie nie dobijaj, to by oznaczało, że błądzimy kompletnie i że śledztwo nawet nie zostało rozpoczęte.

– Jak jutro mi przejdzie kac, którego z pewnością będę miała, z dużą przyjemnością pogrzebię w sieci na temat tej sprawy. Nie wiem, czy wiesz, że wszystko, co jest widoczne w Internecie, jest tylko wierzchołkiem góry lodowej.

– Słyszałem o tym, ale kompletnie się na tym nie znam.

– Tak myślałam. Na szczęście masz koleżankę programistkę – Julia uśmiechnęła się i niby przypadkiem musnęła jego dłoń. Roger poczuł przyjemne dreszcze.

O drugiej wyszli z pubu i poszli się przejść na Rynek. O tej porze kłębiło się jeszcze sporo osób, ale nie zwracali na nich uwagi. Było już chłodno i Roger dostrzegł, że Julia dygocze w swoim cienkim sweterku. Niewiele myśląc, zdjął skórzaną kurtkę i okrył ją. W odpowiedzi przytuliła się do niego, zachęcając go do kolejnego kroku. Dlatego też pocałował ją prawie identycznie jak w jakiejś polskiej komedii romantycznej, której tytułu na drugi dzień nikt już nie pamiętał. Potem zadzwonił po taksówkę, w której dalej się całowali, tylko bardziej namiętnie. I kiedy zajęchali na Dębową, nie mieli specjalnie ochoty wysiąść z niezbyt reprezentacyjnej taryfy z klejącymi się od potu siedzeniami. Ale w końcu wysiedli popędzani chrząknięciami taksówkarza i udali się w stronę drzwi wejściowych do bloku Julii. Tym razem wpuściła go do środka i pozwoliła się odprowadzić na drugie piętro, gdzie znajdowało się jej mieszkanie. Potem całowali się pod drzwiami jeszcze kilka minut i Roger miał już nadzieję, że kobieta wpuści go do swojego królestwa, by spędzić z nim namiętną noc. Nic takiego się jednak nie stało.

– Nie mogę – powiedziała krótko, po czym zamknęła mu drzwi przed nosem.

Z jednej strony poczuł wściekłość. Już przecież lisek witał się z gąską. Już pożądanie zdążyło się rozlać po jego całym ciele. Z drugiej jednak strony rozumiał i szanował jej decyzję. Mało go znała i do tego w mieszkaniu przebywała z nią chora matka. To nie mogło sprzyjać namiętnym figlom. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zadzwonić do niej jeszcze raz i nie zaprosić jej do siebie, ale zrezygnował. Był przekonany, że odmówi.

24 sierpnia 2014, niedziela,
Poznań

Znowu spał nie najlepiej. Męczyły go koszmary. Śnił, że płynął nie najsolidniejszą łódką po morzu, które początkowo spokojne, stało się nagle wzburzone. Fale stawały się coraz wyższe i bardziej niebezpieczne. Mocno walczył, ale nie był w stanie z nimi wygrać. W końcu któraś z fal zrzuciła go z łódki. Zaczął tonąć. Nagle zdał sobie sprawę, że to, w czym się mიაł, nie było wcale morzem, tylko wielkim zbiornikiem krwi. Czerwona ciecz wlewała mu się do nosa i gardła, dusząc go i odbierając wszelkie nadzieje na przeżycie. Nagle zdał sobie sprawę, że nie tonie w morzu krwi, ale w kłębowisku rudych włosów. Czy tak się czuł kot, kiedy dusił się od kłaczka, który zalegał mu w gardle? Wolał nie znać odpowiedzi na to pytanie. I wówczas zauważył, że to kłębowisko czerwonych włosów należy do ogromnej jak Goliat Magdaleny Matuszewskiej. Obudził się cały spocony. Co gorsza bolała go głowa. Wczoraj zdecydowanie za dużo wypił. Musiał odczekać swoje. Postanowił wysprzątać mieszkanie. Nieraz przekonał się, że to najlepszy sposób na męczącego kaca. Zajął mu to kilka godzin, ponieważ każdy metr kwadratowy mieszkania musiał dokładnie zlustrować i wysprzątać. W razie przeoczenia choćby najmniejszego pyłku, miałby wrażenie, że mieszka w chlewie. Poza tym nie cierpiał pajaków, chociaż zauważył, że w miejskich mieszkaniach rzadko się gnieźdzą, w przeciwieństwie do wiejskich domostw. Tam, choćby odkurzał codziennie każdy zakamarek, niechybnie w końcu by jakiegoś napotkał. One wślą z każdej strony i gnieźdzą się, gnieźdzą się, wyciągając swoje obrzydliwe odnóża w kierunku największych pedantów. Następnym razem już tyle nie wypije.

Około południa zdecydował, że procenty, które w siebie wlewał minionej nocy, opadły do dopuszczalnego i akceptowalnego poziomu, dlatego wsiał do samochodu i podjechał po Seweryna. Babcia Franciszka czekała już na niego przed domem, siedząc na chyboczącej się ławeczce, z której zlażyła obrzydliwa, zielona farba. Ręce trzymała założone na piersiach.

– Roger, Roger – westchnęła z dezaprobatą. – W końcu się pojawiłeś. Mam nadzieję, że przynajmniej randka się udała. – Jej marudzenie ostatnio stało się prawie nie do zniesienia. Ile można?!

– Udała się – mruknął krótko.

– To dobrze, ale pamiętaj, że ucierpiał na tym twój synek. Seweryn ciągle o ciebie pytał, kiedy przyjedziesz i go zabierzesz do domu.

– Gdzie on teraz jest?

– Bawi się tym swoim, jak to się zwało? – powiedziała niepewnie Franciszka.

– Tabletem.

– No właśnie... Seweryn, tata przyszedł! – zawołała babcia.

Po chwili chłopiec wyszedł przed dom. Miał naburmuszoną minę.

– Miałeś po mnie przyjechać wczoraj.

– Wiem, synku. Ale musiałem pracować.

– Ty zawsze pracujesz. Ja na pewno nigdy nie zostanę policjantem.

– I bardzo dobrze – odpowiedział mu z dziwną ulgą Roger. – Szykuj się, jedziemy.

– Dokąd?

– Jedziemy na grilla do mojego starego znajomego. Najpierw jednak pojedziemy do domu.

Trzeba cię przebrać.

Pod piękną willą Tomaszka, położoną na zielonych przedmieściach Poznania, pojawili się o czternastej. Wejścia na teren posiadłości broniła solidna, żelazna brama i wysoki, biały mur. Nie zaskoczyło to Rogera. Wiedział, że Tomaszek miał się od kogo odgradzać. Działalność, którą prowadził, wygenerowała mu wielu wrogów, nie tylko wśród stróżów prawa. Teoretycznie należał do nich również Roger, ale dzisiaj musiał poudawać przyjaciela Tomaszka, co napawało go pewnym obrzydzeniem do własnej osoby. Po chwili, kiedy zadzwonił domofonem, wrota otwarły się.

– Ale tu ładnie – westchnął Sewek, patrząc z zachwytem na wystrzeżone trawniki, piękne, rozkwiecione krzewy i sztuczny strumyczek wijący się przed domem.

Roger z niechęcią musiał mu przyznać rację. Jak na gusta przeciętnego Polaka, było tu pięknie. Przed wejściem do domu czekał na nich ochroniarz Tomaszka. Ku ich zaskoczeniu był ubrany w elegancki garnitur i nie był zbyt mocno napakowany.

– Zaprowadzę was od razu do ogrodu za domem – rzekł beznamiętnym tonem, po czym zrobił tak, jak powiedział.

Za budynkiem czekała na nich elegancka, drewniana altana, pod którą umieszczono ogromny i miękki niczym puch, ale trwałe komplet wypoczynkowy. Na długim stole z marmurowym blatem stały już różnorodne trunki. Postawiono również różnego rodzaju pieczywa i sosy. Brakowało jedynie mięsa. Elektryczny, ogromny grill, ustawiony nieopodal altanki dopiero przyjął na siebie pierwszą porcję zwierzęcych ciał.

– Zwierzęce ciała. – Roger wzdrygnął się na to określenie. Chciał jak najszybciej odegnąć tę natrętą myśl, ponieważ miał straszną ochotę na chrupiące mięsko z grilla. W ogrodzie krzątała się tylko Izabela, co akurat go nie ucieszyło. Jego relacje z nią, ze względu na przeszłość, były lodowate, choć oboje udawali przy Tomaszku, że wszystko jest w porządku. Jego dawny przyjaciel z dzieciństwa nie musiał wiedzieć, że miał kiedyś, dawno temu, kilkutygodniową przygodę z jego żoną. Roger nie potraktował jej wówczas zbyt dobrze, a ona, wtedy beznadziejnie w nim zakochana, nachodziła go i nie dawała mu spokoju. Wstyd się przyznać, ale wzgardził jej uczuciem niczym nieproszonym gościem. W końcu, po jakimś czasie, dała sobie spokój i odpuściła, ale potem dowiedział się, że ćpa. Czy przez niego? Nonsensowne pytanie. Czy ktoś kogoś zmusza do tego, aby zaczął brać? Nie każdy po rozczarowaniu miłosnym sięga po narkotyki. Ale Izabelę widocznie kręcił ten niebezpieczny świat. Tomaszek nigdy nie dowiedział się o romansie ukochanej z przyjacielem, przynajmniej Rogerowi tak się wydawało. Kiedy jego romans z Izabelą rozkwitł, co prawda – na krótko, Tomaszka nie było akurat w Poznaniu. Wyjechał do matki, która po rozwodzie z jego ojcem przeniosła się na Śląsk, do nowego kochanka. Rok później Tomaszek wrócił niepyszny do Poznania, bo pożarł się ze swoją rodzicielką, a jeszcze bardziej z jej facetem, który próbował go wychowywać i sprowadzić na dobrą drogę. I ponownie Tomaszek zamieszkał ze swoim ojcem pijaczną. Izabela wtedy już ćpała jak szalona, staczając się w przepaść. A Tomaszek w tym czasie zaczął rozkręcać swój nielegalny biznes. Udanie zresztą. Za jakiś czas ich drogi ponownie się skrzyżowały.

– Cześć – powiedział do Izabeli Roger.

– Cześć – odpowiedziała mu cicho. Nawet na niego nie spojrzała.

– Świetnie wyglądasz – Kalita wysilił się na niewyszukany komplement. Nie zdziwiło go, że spłynął po niej jak po kaczce.

– Ty za to nie – odpowiedziała złośliwie. – Tomek zaraz przyjdzie. Siadajcie – dodała, wskazując im wygodny wypoczynek. I faktycznie, nie minęła chwila, kiedy z wnętrza wypasionej willi wyłonił się mąż Izabeli.

– Kogo ja widzę! Roger ze swoim synem! – ucieszył się Tomaszek, który akurat schodził z tarasu na zieleniący się trawnik swojego wypielęgnowanego ogrodu. Miał na sobie wygodny dres, który nie zdołał ukryć jego mocnej opalenizny. Musiał niedawno wrócić z egzotycznych wojaży. Obok niego siedł jego adoptowany syn ze zblazowaną miną. Wyglądał tak, jakby ojciec ciut wcześniej oderwał go od ulubionej gry komputerowej. I faktycznie tak było.

– Dawid, poznaj się z Sewerynem i pokaż mu swoje zabawki – powiedział Tomaszek do syna, po czym dodał: – Ja tutaj z jego tatą muszę porozmawiać na ważne tematy.

Chłopiec przyjął to bez emocji, po czym posłusznie podszedł do Seweryna i podał mu rękę na przywitanie.

– Mam nową grę komputerową. Chcesz zobaczyć? A jak nam się znudzi, pokażę ci wszystkie moje klocki Lego, a mam ich bardzo dużo – powiedział z dumą Dawid.

– Pewnie – odparł Sewek i razem ze swoim nowym kolegą skierował się do wnętrza domu.

W tym samym czasie Tomaszek ciężko usiadł na swoim wypasionym wypoczynku, zwracając się do Izabeli:

– Przyniosłabyś nam piwo, kobieto?

Izabela skinęła tylko głową i bez słowa ruszyła do kuchni, gdzie w ogromnej lodówce chłodziły się browary. Musiała mu być bardzo oddana, skoro bez słowa protestu pobiegła po piwo.

– Pięknie się urządziłeś – zauważył Roger.

– Interesy dobrze idą, więc nie miałem wyjścia, brachu – zarechotał Tomaszek.

– Dawid rośnie jak na drożdżach – kontynuował swoje pochwały Kalita. Nie robił tego bezcelowo.

– Nie tylko on. Właśnie wczoraj dowiedziałem się, brachu, że w końcu nam się udało i Iza jest w ciąży.

– Gratuluję. Widzę, że wszystko idzie po twojej myśli. Jak zwykle – zauważył Roger.

– A co ma nie iść, brachu? Byliśmy u najlepszych lekarzy i to wreszcie przyniosło skutek. A co u ciebie? Masz kogoś, brachu?

– Nie.

– Naprawdę? A ja co innego słyszałem, brachu. Że pieprzysz samą prokurator Zalewską.

Roger zmartwiał, słysząc te słowa. Skąd ten łajdak o tym wiedział?

– Coś taki zdziwiony? Mam swoich ludzi na mieście, to wiem, brachu. Ktoś cię obczaił, jak wychodziłeś od niej rano. W warcaby z nią pewnie nie grałeś, brachu. I co? Gorąca z niej laska? Myślę, że tak, widziałem, jak wygląda – kontynuował z nieukrywaniem rozbawieniem Tomaszek. Gdyby nie Izabela, chętnie by się za nią wziął. To byłby tandem! Król podziemia i królowa prokuratury!

– Nie twój interes – odburknął Roger.

– To bądź ze mną szczerzy, a nie gadasz, że prowadzisz życie mnicha – wycedził Tomaszek. Nie lubił, jak gliniarze go okłamywali. Zwłaszcza ci, którzy powinni okazać mu dozągoną wdzięczność.

– Nie prowadzę życia mnicha, ale z nią nie jestem, więc nie łżę.

– To może powinienes z nią być? Po pierwsze fajna dupeczka, brachu. Po drugie miałbyś na nią wpływ i nie robiłaby mi problemów. Przyskrzynała mi ostatnio kogoś ważniejszego niż zwykły diler. Jej ojca też kiedyś trzymałem w kieszeni, ale w pewnym momencie się wywinął i zaczął grać w przeciwnej drużynie, brachu. Na szczęście rychło w czas przeszedł na emeryturę. Nie trzeba było go odstrzelić... – Roger czuł wściekłość, ale z powodzeniem ją ukrywał. Postanowił zmienić temat. W międzyczasie Izabela przyniosła im przyjemnie schłodzone piwo. Tomaszek sięgnął po otwieracz i otworzył butelki.

– No, pij – zwrócił się do Rogera.

– Przyjechałem samochodem.

– To wypij chociaż jedno, brachu – nie ustępował Tomaszek.

– W porządku – poddał się Roger.

– Już widzę, jak twoi koledzy z drogówki każą ci dmuchać, brachu – roześmiał się Tomaszek. – A zatem mówisz, że nie masz nikogo? W sumie to się nie dziwię. Pewnie żadna nigdy nie dorówna w twoim mniemaniu Olce.

– Wybacz, ale nie chcę rozmawiać na ten temat. Wiesz, po co tutaj przyjechałem – odburknął mu Roger. Ta rozmowa trwała już zbyt długo, a nie prowadziła do niczego konstruktywnego.

– Ano, wiem, brachu. I zgodnie z obietnicą wypytałem o wszystko Królika. Musisz wiedzieć, że to nie jest zwykły diler, dlatego nie życzę sobie, abyś mi go przyskrzynał. Wysłałem go na wycieczkę za granicę. Jest dla mnie zbyt cenny.

– Co?! – wyrwało się Rogerowi.

– Pstro. Za dużo dla mnie znaczy, brachu. Ale dowiedziałem się wszystkiego, co by mogło cię zainteresować. Królik, jego dokładne personalia pozostawię dla siebie, chodził z twoją zamordowaną do klasy w podstawówce. Potem trafili do tego samego dobrego liceum, ale do innych klas. Kolegowali się. On też był zdolny, ale w innej dziedzinie. Interesował się chemią. Był w tym naprawdę dobry, ale wiecznie nie miał pieniędzy. I stał się takim poznańskim Breaking Badem. Zaczął produkować domowym sposobem amfetaminę i sprzedawać z powodzeniem na własną rękę. Była niespotykanej jakości i szybko zdobyła renomę wśród klientów. Czyli krótko mówiąc, wszedł nam w drogę. Ale zamiast go zlikwidować, postanowiliśmy, że przeciągniemy go na swoją stronę i będzie pracował dla nas. Dostał własne laboratorium i zaczął działać, produkując już nie tylko amfetaminę. Jednocześnie

zgodziliśmy się, aby dalej, ale minimalnie, dorabiał sobie na boku. Z jakiś rok temu zgłosiła się do niego jego dawna przyjaciółka z dzieciństwa, czyli pani Staroń. Był zaskoczony, że chciała od niego kupić dragi. Nie mieściło mu się w głowie, że taka szacowna persona może ćpać. Ale faktycznie, ona nie brała. Kupowała je dla kogoś...

– Dla kogo? – wyrwało się Rogerowi.

– Początkowo nie chciała mu powiedzieć, ale potem przyznała się, że te dragi kupuje dla siostry, bo jest z nią bardzo źle, wygląda, jakby miała wykitować i wręcz błagała siostrzyczkę o kupno towaru, na dodatek grożąc samobójstwem. Nie ma jak siła przekonywania. Według Królika profesorka miała jakiś dług wdzięczności wobec siostry, dlatego zgodziła się na zdobycie dla niej towaru.

W tym momencie Roger zrozumiał, na czym polegały „problemy zdrowotne” Magdaleny. Kiedy ostatnio ją odwiedził, była na głodzie narkotycznym, a nie chorowała na gripę. Że też na to nie wpadł!

– To były raczej wyrzuty sumienia. Odbiła kiedyś Magdalenie narzeczonego – wyjaśnił Roger.

– Królik też podejrzewał, że o to chodziło, chociaż nie dopytywał. Dochodziły do niego pewne plotki od wspólnych znajomych.

– A kiedy przestała kupować to świństwo? – zapytał Roger.

– Tak mniej więcej od kwietnia przestała się w to bawić. Powiedziała Królikowi, że nie zamierza dalej tolerować nałogu Magdaleny i musi ją w końcu wysłać na odwyk. Od tego momentu przestała się u niego pokazywać. Ale Królik to niezła, pazerna świnia. Zdobył namiary na uzależnioną siostrzyczkę i sam dalej dostarczał jej towar. Przedsiębiorczy typ, brachu – powiedział cynicznie Tomaszek. W gruncie rzeczy pochwalał postępowanie Królika.

– Wykończycie tę biedną kobietę – wyrwało się Rogerowi.

– Daj spokój, brachu. Nikt jej nie zmuszał, żeby zaczęła brać. Każdy jest panem swojego losu. Ty, brachu. I ja też.

– Typowe dilerskie gadanie. Gdybyś nie wyciągnął ręki do Izabeli, to nie wiadomo, czy nie odwiedzałbyś jej teraz na cmentarzu – wycedził przez zaciśnięte zęby Roger. Jednocześnie spojrzął na krzątającą się wokół grilla Izabelę. Wydaje się, że nie usłyszała jego wypowiedzi.

– Udam, że nie usłyszałem tego tekstu, brachu. – Tomaszek wykazał się wspaniałomyślnością. Temat upadku Izabeli nie należał do jego ulubionych.

– I co, wywiozłeś tego swojego Króliczka za granicę? – Roger zmienił temat.

– Dokładnie tak, policja nie zmarnuje mi talentu, brachu.

– Wybacz, ale kutas z ciebie. Przynajmniej przestań już dostarczać tej dziewczynie towar. Jej ojcu pozostała tylko ona.

– Nie muszę, brachu. Sama odstawiła dragi. Ponoć od tygodnia już nic nie bierze. Odkąd dowiedziała się, że Staroniową ktoś odstrzelił. Chyba się czegoś lub kogoś wystraszyła. Tak to wygląda.

– Mam nadzieję, że to nie ty za tym stoisz? Za tym zabójstwem? – powiedział dziwnie spokojnie Roger, bo szczerze wątpił, żeby Tomaszek lub ktoś z jego chciwej bandy mógł to zrobić.

– Zwariowałeś, brachu? Czy ja jakiś mason jestem?! Po co miałbym odstrzelić jakąś profesorkę. Kiedyś kupowała u mnie towar, przestała, jej wybór. Ale ani nie doniosła na Królika na policję, ani nawet nie powstrzymała Magdaleny przed dalszym braniem. Po prostu się na nią wypięła, brachu. Nie ona pierwsza i nie ostatnia.

– Kiedy Magdalena ostatni raz kupiła u niego towar? I co to było?

– W zeszły weekend. A brała, z tego co mi wiadomo, kokainę w różnej postaci.

– Mówiła coś?

– Królik nie zapamiętał nic szczególnego z tej transakcji. I właściwie to jest wszystko, w czym mogę ci pomóc, brachu.

– Będę się zbierał – odpowiedział mu Roger.

– Już, brachu? Nie spróbujesz znakomitego, grillowanego mięsiwa? – zapytał wyraźnie rozczarowany Tomaszek.

– Nie. Przypominają mi zwłoki wszystkich narkomanów, których masz na sumieniu – wycedził Roger, ale Tomaszka to nie wzruszyło.

– Skoro tak, to spoko, brachu. Ale nie zapomnij zabrać ze sobą syna. Pewnie wypasione klocki Lego Dawidka wciągnęły go na dobre. Pewnie pierwszy raz w życiu takie widział – Tomaszek zarechotał złośliwie.

†

Godzinę później Kalita siedział z Sewerynkiem w McDonalddie i zastanawiał się nad dalszymi krokami w śledztwie. Najpierw jednak coś musiał począć z synkiem. Spojrzał na Seweryna z żalem, a o sobie pomyślał z politowaniem, że kiepski z niego ojciec, ale coś go pchało, by ponownie odwiedzić Magdalenę Matuszewską. Miał naprawdę złe przeczucia. Sewerynek w tym czasie kończył cheeseburgera i powoli zabierał się za frytki. Nie powinien tak syna żywić, ale nie miał ochoty dalej siedzieć u tego bandziora Tomaszka. Czuł, że z dawnej, młodzieńczej przyjaźni nie pozostało już nic. Nie podobało mu się to, że Tomaszek chciał zrobić z niego swojego darmowego informatora. Pomógł jego żonie, w porządku, ale trzeba będzie zerwać ten układ. Teraz musiał znaleźć kogoś, kto się zaopiekuje małym albo przynajmniej popilnuje go, kiedy Roger wpadnie z wizytą do Magdaleny. Nie chciał, żeby syn w tym uczestniczył. Babcia Franciszka odpadała w przedbiegach. I tak miała już o nim jako ojcu nie najlepsze zdanie. Teściowie również odpadali. Wyjechali na weekend nad morze i do Poznania mieli wrócić dopiero późnym wieczorem. Zadzwoił do Emilii.

– Czego chcesz? – zaczęła niezbyt uprzejmie prokuratorka.

Streścił jej całą rozmowę ze swoim, jak to określił informatorem, pomijając pewne niekorzystne dla siebie fragmenty.

– Trzeba przyskrzynić tego dilera – powiedziała twardo Emilia.

– Nie da się.

– Co to za niedasizm? Wszystko się da. Niby dlaczego nie można? – nie odpuszczała Zalewska.

– Bo nie ma go w Polsce i nie będzie. W sumie to nie wiadomo, gdzie jest... Wrócimy do jego sprawy kiedy indziej. Skupmy się na Magdalenie Matuszewskiej. Chciałbym ją dzisiaj odwiedzić.

– W niedzielę? Znowu? Chcesz, żeby oskarżyła cię o nękanie? Daj innym pożyć – Zalewska nie wydawała się przekonana do jego pomysłu.

– Właśnie chcę jej dać pożyć. Wczoraj wyglądała tak, jakby za chwilę miała zejść z tego świata. To, czego się dowiedziałem, utwierdza mnie jedynie w przekonaniu, że trzeba natychmiast pomóc tej kobiecie. Poza tym wiem, że w twoich uszach nie zabrzmiałoby to zbyt profesjonalnie, ale miałem dzisiaj związany z nią zły sen. Muszę tam pojechać, a jest ze mną Seweryn. Pojechałabyś tam ze mną? Przypilnowałabyś go z pół godzinki.

– Wzruszyło mnie twoje dobre serduszko, ale chyba cię pogięło. Jestem prokuratorem, a nie niańką. Poza tym moja mama ma dzisiaj urodziny, zresztą przełożone z wczoraj, bo przecież z ojcem byliśmy na pogrzebie... – Emilia nie wierzyła własnym uszom. Najpierw dał jej kosza, a teraz chciał, żeby opiekowała się jego dzieckiem.

– Nie wyrwiesz się choćby na godzinkę? – nie ustępował Roger.

– Nie. Możemy jej pomóc w poniedziałek. Pa. – Po czym rozłączyła się.

Roger siarczyście zaklął. Jakaś kobieta siedząca nieopodal niego spiorunowała go wzrokiem. Mówiąc szczerze, miał to gdzieś. Następnie zadzwonił do Julii, ale ta nie odbierała. Przeklął jeszcze raz. Tym razem kobieta od piorunującego wzroku nie wytrzymała i zwróciła mu uwagę.

– Jak pan się zachowuje przy dziecku! Tak przeklinać!

– Da pani spokój – odburknął. Po czym zwrócił się do Seweryna: – Zjadłeś już? Musimy jechać.

– A dokąd? – zainteresował się chłopiec.

– Muszę coś załatwić, ale potem pojedziemy na lody. Obiecuję.

Seweryn jeszcze bardziej się ożywił i zadowolony, skinął głową.

Dwadzieścia minut później zaparkował przed blokiem Matuszewskiej. Spojrzał na zegarek. Dochodziła szesnasta.

– Poczekasz tu chwilę na mnie? Zamknij się od środka i nikogo nie wpuszczaj. Uchylę ci trochę okno – powiedział do syna i opuścił mu szybę w samochodzie. Następnie wysiadł z pojazdu i szybkim

krokiem ruszył w stronę wejścia do bloku.

Zadzwoił domofonem do mieszkania Magdaleny, ale nikt nie odpowiadał. Czyżby nie było jej w domu? Może jednak poszła zaopatrzyć się w kokainę? Szczerze w to wątpił, nie wyglądała wczoraj na taką osobę, która miałaby siły na wyjście z domu. Spróbował jeszcze raz, ale bez rezultatu. Trzeba będzie zadzwonić do kogoś innego. Znów wybrał ten sam numer mieszkania co ostatnio.

– Policja – powiedział spokojnie.

– Znowu? To już drugi raz. Mam nadzieję, że to żaden bezczelny ulotkarz nie wpadł na genialny pomysł podszywania się pod policję – odpowiedział mu sceptyczny, kobiecy głos, ale po chwili wahania wpuścił go do środka.

Roger, wyraźnie się niecierpliwiąc, szybko dotarł pod drzwi kawalerki Magdaleny. Zapukał, ale odpowiedziała mu jedynie głucha cisza. Spróbował ponownie, ale również bez powodzenia. Czuł, że coś jest nie tak. Nacisnął na klamkę i ku swemu zdziwieniu odkrył, że drzwi były otwarte. Niewiele myśląc, pchnął je. Może Matuszewska zasłała? Nie zasłała. Leżała bez życia na podłodze, ubrana tylko w koszulę nocną. Sprawdził jeszcze, ale po chwili był już pewien. Magdalena Matuszewska nie żyła. Obok niej na kanapie leżał srebrny laptop. Roger podszedł do niego i nacisnął pierwszy z brzegu klawisz. Z pulpitu zniknął czarny ekran i pojawił się odpalony edytor tekstu, a w nim list, w którym tłumaczyła się z samobójstwa poprzez przedawkowanie narkotyków.

Jeśli to czytacie, to już wiecie, że nie żyję. Z pewnością macie do mnie wiele pytań. Spróbuj pokrótce na nie odpowiedzieć. Tak, dobrze się domyślacie, przedawkowałam. Tak, popełniłam samobójstwo, ale musiałam to zrobić, ponieważ moja dalsza egzystencja tutaj nie miała sensu. Tak, to ja zabiłam moją siostrę, prof. Małgorzatę Staroń-Matuszewską, która była przyczyną wszelkich moich nieszczęść. Po pierwsze odbiła mi ukochanego mężczyznę, za którego zresztą wyszła za mąż. Po drugie zniszczyła mi karierę naukową, bowiem zmieszała z błotem moją pracę doktorską, dotyczącą Heinricha Himmlera i jego fascynacji czarownicami. Dlatego na skórze mojej siostry wycięłam literę H, oznaczającą H-Sonderkommando, organizację, która pracowała dla Himmlera i zbierała dokumenty dotyczące procesów czarownic na przestrzeni wieków. Litera H oznaczała również niemieckie słowo „die Hexe”, czyli czarownica. Moja siostra była prawdziwą wiedźmą i powinna zostać spalona na stosie, a nie uduszona, tak jak ja to zrobiłam, ale z przyczyn technicznych nie było to możliwe. Wyobrażacie sobie tę lunę nad Okrąglakiem? Zaraz wszyscy by się tam zlecieli. Wycięłam na jej ciele również inny znak – liczbę 1511, która oznacza rok, kiedy po raz pierwszy zabito czarownicę w moim ukochanym mieście Poznaniu. Zamordowałam ją na Okrąglaku, rozprułam jej brzuch, aby ta jej śmierć przypominała pochówek zaratusztriański. Dlaczego właśnie zaratusztrianizm? Był czas, kiedy fascynował mnie ten temat. Chciałam nawet przejść na tę religię. Poznałam Kashmirę Jesień, która gorąco mnie do tego namawiała, ale ostatecznie się na to nie zdecydowałam. Poznałam również jej niezbyt rozgarniętego syna Zbigniewa. Posłużył jako doskonale narzędzie do szantażowania mojej siostry, która najpierw, niechętnie, bo niechętnie, ale jednak zdecydowała się kupić dla mnie działkę, a on w umówionym czasie zrobił jej zdjęcia. I potem ją szantażował. Nawet przez chwilę mnie to bawiło, ale to ciągle było zbyt mało. Musiałam się zemścić za te lata upokorzeń, za to, że zawsze byłam tą gorszą dla naszego ojca. I dlatego ją zabiłam. Ale moje życie również nie miało dalszego sensu. Już dawno zawładnęły nim narkotyki. Nie potrafiłam tego powstrzymać. To mnie opętało, dlatego postanowiłam umrzeć przez przedawkowanie. Nie chcę już więcej czuć tego głodu, który zżerał mnie od środka. Nie żałuję tego, co zrobiłam. Niech moja siostrunia razem ze mną smaży się w piekle.

Rozejrzał się po mieszkaniu. Było zaniedbane i niesprzątane, ale na pierwszy rzut oka nie zauważył nic niezwykłego. Ciężko westchnął. Czyżby naprawdę Magdalena zabiła swoją siostrę? Wydawało się, że wszystko za tym przemawiało. Nie pozostało mu nic innego, jak wezwać wsparcie.

†

Godzinę później w mieszkaniu Matuszewskiej krzatali się policjanci, technik oraz prokurator

Zalewska, która z niezadowoloną miną zwróciła się do Rogera:

– Ten twój synek dalej siedzi sam w samochodzie?

– Tak, ale byłem u niego przed chwilą. Zasnął, jednak wiesz doskonale, że muszę go w końcu odwiedzić. Tylko nie ma kto się nim zająć, a trzeba jeszcze przesłuchać sąsiadów.

– Myślę, że to długo nie potrwa. Wydaje mi się, że to faktycznie samobójstwo, chociaż o wszystkim zadecyduje sekcja zwłok.

– Myślisz, że to ona zabiła siostrę? – zapytał z powątpiewaniem w głosie Roger. Nie mógł zrozumieć, dlaczego Emilia tak łatwo uwierzyła w to samobójstwo. Gdzie jej bystry umysł?

– Myślę, że tak.

– Jeszcze niedawno mówiłaś coś innego.

– Widocznie myliłam się. Nawet ja się mylę – uśmiechnęła się pojednawczo Emilia. Marzyła o jak najszybszym zamknięciu tej sprawy. Miała nadzieję, że jej pragnienia podzielał również on. Myliła się.

– A może po prostu chcesz zamknąć niewygodną dla prokuratury sprawę? – powiedział z przekąsem Roger.

Emilia spiorunowała go wzrokiem. W tej chwili zdała sobie sprawę, że Kalita nie chciał zamknięcia tej sprawy.

– Nie obrażaj mnie. Również zależy mi na ujęciu zabójcy – odparowała mu Zalewska.

– Skoro tak mówisz... Chodźmy przesłuchać tych jej sąsiadów, bo naprawdę nie mam za wiele czasu. – Emilia skinęła głową i wyszli z mieszkania do niewielkiej klatki, gdzie poza drzwiami wejściowymi do kawalerki Matuszewskiej były jeszcze dwa inne lokale. W pierwszym, bezpośrednio przylegającym do mieszkania Magdaleny, nikogo nie było. W drugim, naprzeciwko jej kawalerki, mieszkał starszy pan, który otworzył im drzwi, ale raczej nie zamierzał ich wpuszczać do środka.

– Ja nic nie wiem – zaczął, przyjmując pozycję zamkniętą.

– Każdy coś wie – odpowiedziała z rozbawieniem Emilia.

– Ja nic nie wiem o tej pani. Co prawda kłaniała mi się, ale co z tego? Mnie nie obchodzi życie moich sąsiadów.

– Czy wczoraj wieczorem ktoś ją odwiedził? – zapytał zniecierpliwiony Roger. Staruch go irytował.

– Nie widziałem, ale ja chodzę wcześniej spać. Poza tym mam słaby słuch, niestety. – Faktycznie, na uchu miał założony aparat słuchowy.

– A co z sąsiadami obok? Kto tam mieszka?

– Takie młode małżeństwo, ale oni rzadko tu bywają. Od dwóch lat pracują w Norwegii. Dawno już ich nie widziałem. Pewnie przyjadą dopiero na Boże Narodzenie! Proszę, do czego doprowadziło to złodziejskie państwo! Wszyscy stąd uciekają! – uniósł się staruszek.

– Czy ostatnio ktoś odwiedzał pannę Magdalenę? – nie poddawała się Emilia.

– Czy ja wiem? Ona raczej była odludkiem. Mało kto do niej przychodził. Dawniej widywałem jej siostrę, ale ostatnio nikt do niej nie zaglądał. Stara panna po prostu, co się dziwić. Przegapiła swój moment i tyle.

Roger spojrzął na minę Emilii. Była lekko naburmuszona. Jej także nie przypadło do gustu to, co wygadywał ten zgorzkniały starzec.

– Dziękujemy. Gdyby jednak coś sobie pan przypomniał, proszę zadzwonić – powiedziała chłodno Emilia i podała dziadkowi swoją wizytówkę. Mężczyzna wziął ją bez entuzjazmu, po czym bez słowa pożegnania zamknął drzwi.

– Nie pomógł nam, stary... – Emilia nie dokończyła i ponownie skierowała swoje kroki do mieszkania Matuszewskiej.

†

Rogeroi nie pozostało nic innego, jak w końcu zawieźć małego do domu. Seweryn wreszcie się obudził i kiedy usłyszał, że z lodów jednak nici, zalał się łzami i obraził na ojca. Roger już miał odpalać

samochód, kiedy zadzwonił telefon. To była Julia.

– Przepraszam, że dopiero teraz oddzwaniam, ale nie słyszałam, że dzwoniłeś. Poszłam pobiegać. Stało się coś?

– Nic. W sumie chciałem podziękować ci za miłą randkę. Mam nadzieję na powtórkę.

– Ja także – roześmiała się.

– Długo spałeś?

– Do dziewiątej.

– Co tak krótko? Ja spałam do południa.

– Miałem koszmary – powiedział Roger. Na wspomnienie swoich złych snów przeszły go nieprzyjemne ciarki.

– Co potem robiłeś? Ja spędziłam bezproduktywnie dzień na oglądaniu głupawych filmików w Internecie. A potem w końcu poszłam pobiegać, ale to nie trwało zbyt długo. Kac.

– Pojechałem po syna.

– To pewnie miło spędziliście dzisiejszy dzień?

– Niespecjalnie. Musiałem prawie że zabrać go do pracy. Magdalena Matuszewska, siostra tej mojej zamordowanej, nie żyje.

– No co ty? Ktoś ją zabił?

– Nie, prawdopodobnie popełniła samobójstwo. Zostawiła też list, w którym przyznaje się do zabójstwa siostry.

– Jakoś to wszystko grubymi nićmi szyte – powątpiewała Julia.

– Obawiam się jednak, że prokurator prowadząca tę sprawę przychyliła się do teorii o samobójstwie Magdaleny i zabiciu przez nią siostry. Media i politycy za bardzo ją cisną – wyjaśnił z rezygnacją Roger.

– Jak zawsze, ale nie poddawaj się. Prawda w końcu zwycięży – powiedziała górnolotnie Julia.

– Muszę przesłuchać męża profesorki, ale bez wiedzy tej mojej prokuratorce. Zalewska zamierza czekać do sekcji zwłok, która ma potwierdzić jej z góry postawioną tezę, a mnie szkoda czasu. Mam jednak mały problem.

– Jaki?

– Nie mam z kim zostawić Seweryna. Jego dziadkowie będą w Poznaniu dopiero po dwudziestej pierwszej. Miałem im go wtedy przywieźć, a jeszcze zostało kawał czasu do tej godziny. Nie wiem, co robić.

– Może ja się nim zajmę? – zaproponowała z entuzjazmem Julia, po czym szybko dodała: – Ale u ciebie. Mam trochę bałaganu na chacie.

– Spokojnie, nawet lepiej – powiedział z ulgą w głosie Kalita.

Półtorej godziny później podjechał pod piękny dom Staroniów. Furtka, ku jego zaskoczeniu, była otwarta. Czyżby i Grzegorz Staroń targnął się na swoje życie? Nic z tego. Próżne jego nadzieje, że „suwnicowego” trafił szlag, jeśli już, to alkoholizm. Powiedzieć, że Staroń jest pijany, byłoby dużym eufemizmem, ponieważ mąż profesorki był najzwyczajniej w świecie zalany w trupa. Na szczęście jego pozorne zwłoki były jeszcze w stanie mówić. Po otwarciu śledczemu drzwi wrócił do salonu i leżał na podłodze niczym znużony zwierz w swojej jaskini. W pokoju panował nieopisany bałagan, który brzydził Rogera. Na podłodze walały się puste butelki po różnych, wysokoprocentowych trunkach. Staroń w ciągu zaledwie kilku dni opróżnił całą swoją bogatą kolekcję alkoholi, która jeszcze niedawno zajmowała w całości dość okazały barek. „Suwnicowy” milczał, wbijając swój błędny wzrok w podłogę. Roger sam musiał podjąć dialog, co niezwłocznie zrobił.

– Magdalena Matuszewska nie żyje.

– Zaćpała się? – wybełkotał Staroń.

Roger miał wrażenie, że wiadomość o jej śmierci spłynęła po nim jak po kaczce.

– Słucham? – nie wierzył własnym uszom.

– Czy zaćpała się? – powtórzył Staroń, który następnie wydał z siebie potężne czknięcie. A zatem Grzesiu doskonale znał problemy swojej szwagierki. I jak do tej pory nie podzielił się swoją wiedzą

z policją.

– Tak – przytaknął uczciwie Roger. Może „suwnicowy” zrewanżuje mu się szczerością?

– Neeee – jęknął Staroń, po czym schował głowę w dłoniach. Chyba dopiero teraz dotarło do niego, co stało się z siostrą jego żony. Ten łajdak posiadał jednak jakieś uczucia albo dobrze udawał.

– Od kiedy brała? – zapytał Roger.

Staroń nie odpowiedział od razu. Kalita czuł narastającą złość. Tracił czas na tego pijaka.

– Od kiedy brała? Gadaj, kurwa – powtórzył zdecydowanie śledczy.

Staroń lekko podniósł głowę i spojrzał na Kalitę spode łba.

– Zależy, o czym mówimy. Bo maryškę to paliła już w szkole średniej.

– Dobrze wiesz, że nie chodzi mi o maryškę.

– Coś mocniejszego brała od kilku lat – zaczął Staroń. Chciał mieć to już za sobą. – Ale ostatni rok był najgorszy. Koka, hera, meta, feta i jakieś inne świństwa, co to ludzi zmieniają we wraki. Wiesz, ona nie była na żadnym urlopie, bo słyszałem, że tak wszystkim gadała wokół, więc i wam pewnie te farmazony sprzedawała. Oni ją po prostu wyjebali z pracy. Nie dawała już rady z tym swoim nałogiem. Wicie, superświatna policjo. Nie radziła sobie z tym. Biedna Magda.

– To dlatego twoja żona kupowała jej kokainę? Żeby ją dobić? To chyba nie było zbyt pedagogiczne, co? – nie ustępował Roger.

– Zrobiła to kilka razy dla Magdy, jak zobaczyła, w jakim jest stanie i że zwijała się z bólu. Jak ona wtedy cierpiała! Sam to widziałem, jak kiedyś do niej przyjechałem z Gošką. Moja żona straciła w końcu cierpliwość i kazała jej iść na odwyk. Magdalena odmówiła, więc Goška się wściekła i zerwała z nią wszelkie kontakty. Myślała, że to da jej do myślenia i zmusi do działania. I to był właśnie prawdziwy powód tego, że przestały ze sobą gadać. A nie jakaś jebana karta od tarasu widokowego na Okrąglaku – roześmiał się głupio. – Owszem, Goška jej tej karty nie oddała, ale po co, skoro Magda wzięła sobie długoterminowe zwolnienie lekarskie? Dali jej wypowiedzenie, a ona siup, poleciała do jakiegoś doktora od głowy i od maja, zdaje się, siedziała w domu i ćpała, coraz więcej ćpała.

– Sami święci w tej waszej rodzinie – powiedział z przekąsem Roger.

– Każda rodzina ma swoje tajemnice, ale poza problemami Magdy z narkotykami i tym, że Goška odbiła jej kiedyś narzeczonego, czyli mnie, było u nas całkiem normalnie. One sobie zresztą w końcu wybaczyły. Co prawda Magda czasem miała do niej żal, ale jednak nigdy nie zdecydowała się na zerwanie kontaktów z siostrą. Dopiero te przekłete narkotyki ją zmieniły. Myślę, że nie radziła sobie z samotnością i za bardzo lubiła się bawić. Nie wiem, jak ja sobie poradzę bez Goški. Ona wszystko trzymała w kupie – rozczulił się nad sobą Staroń.

Roger, słysząc to, z jednej strony poczuł do „suwnicowego” odrazę, że jest tak bardzo słaby, ale z drugiej rozumiał ten ból, który nim targał. Kiedyś miał już z nim do czynienia. Ciągle miał.

– Przestań się mazać. Masz dzieci, masz dla kogo żyć. Pozbieraj się i zajmij się nimi. A gdzie one w ogóle są?

– U dziadków.

– To dobrze, a ty przestań chlać. Nie jesteś jedynym, który stracił żonę. Ja też jestem wdowcem. Moja żona zmarła na raka.

– Ty przynajmniej miałeś szansę przygotować się na jej śmierć. Na mnie to spadło jak grom z jasnego nieba.

– Nigdy nie można się przygotować na śmierć najbliższej ci osoby – powiedział gorzko Roger. – Jak rozumiem, dzisiejszą noc spędziłeś w tej norze na chlaniu? Bo teraz wypasionej, nowobogackiej chałupy raczej nie przypomina.

– Tak – powiedział szczerze Staroń.

– Ktoś z tobą był? Czy piłeś sam?

– Piłem tu samiuteńki jak palec – odpowiedział mu mąż zamordowanej.

Tak jak się spodziewał Roger, „suwnicowy” nie miał żadnego alibi. Ale jego stan psychiczny nie wskazywał na to, aby był w stanie zamordować wczoraj swoją szwagierkę. Może faktycznie Magdalena targnęła się na swoje życie?

– Posprzątaj ten chlew – powiedział po chwili zadumy Roger. Czuł się nieswojo w miejscach, w których rządził bałagan. Po czym udał się do wyjścia. Nie miał już tu więcej nic do roboty. Staroń musiał sam poradzić sobie ze swoimi problemami.

†

Julia czekała na niego z aromatyczną kawą, którą niechętnie wypił, bo zbliżała się noc. Doceniał jednak to, że zajęła się jego synem i nie chciał jej urazić, dlatego posłusznie wypił napój aż do dna. Następnie opowiedział jej o swojej wizycie u Staronia.

– Mam wrażenie, że to nie on zabił. Chyba kochał swoją żonę – powiedziała Julia.

– I ją zdradzał? – powątpiewał Roger, po czym dodał: – Ludzie to kłamcy, Julia. Potrafią czasem odstawić taką szopkę, że mało kto jest w stanie to przejrzeć. I tak wszystko zależy od prokurator Zalewskiej. Ja mało mogę. – W tym momencie zadzwonił jego telefon. – O wilku mowa, a wilk tu – powiedział do Julii.

Dzwoniła Emilia.

– Wyniki sekcji zwłok będą dopiero pojutrze. Pojedziesz we wtorek po południu do Krępskiego? Jak będę miała czas, to zabiorę się z tobą.

– Pojadę. Rodzice Matuszewskiej już wiedzą? – dopytywał Roger.

– Tak. Są załamani, zwłaszcza matka. Wysłaliśmy do nich psychologów. Rozmawiałam z Matuszewskim i nie wiem, co go bardziej załamało, śmierć córki czy to, że w końcu wyjdzie na jaw, że Magdalena była ćpunką.

– Powiedziałaś mu o liście, który zostawiła?

– Na razie nie. Znając jego miłość do Małgorzaty, to byłby dla niego podwójny szok. Na wszelki wypadek trzeba sprawdzić odciski palców na laptopie. Myślę jednak, że nie znajdziemy innych niż te należące do Magdaleny. Sądzę, że list jest autentyczny i że, niestety, to ona zabiła siostrę.

– Wyciągasz zbyt pochopne wnioski – nie zgadzał się z nią Roger.

– Masz prawo do własnego zdania – powiedziała chłodno Emilia, po czym zmieniła temat. – Jak tam synek? Znalazłeś mu opiekę?

– Tak... – zawahał się przez chwilę, po czym znów zmienił temat. Przeczynał, że nie powinien jej o tym mówić, ale może dzięki temu zmieni zdanie i przestanie wierzyć w to, że Magdalena zabiła profesorkę. – Byłem u Staronia.

– Po co? To samowola z twojej strony – powiedziała jeszcze chłodniej Emilia. Roger, w jej opinii, pozwalał sobie na zbyt wiele.

– Żadna samowola. Musiałem to zrobić. Tak jak się spodziewałem, był zalany w trupa i nie ma żadnego alibi, jeśli chodzi o wczorajszy wieczór i dzisiejszą noc. Dzieci wysłał do dziadków.

– Ale ty jesteś uparty. Wątpię, aby Staroń w tym uczestniczył.

– Być może. Wiemy też, że Jesień zdecydowanie odpada, nie mógł tego zrobić, bo przewieziono go już do Dziekanki. Ale pozostaje nam jeszcze Szreder. Wysłałem tam człowieka, który ma go obserwować. Jutro zapoznam się z jego raportem. – Roger nie ustępował, ale to nie przekonało Zalewskiej.

– Sekcja zwłok wykaże, że Magdalena popełniła samobójstwo przez przedawkowanie narkotyków. Dlaczego jesteś taki uparty?

– Mój informator twierdził, że od tygodnia była czysta i nic nie brała. Jak byłem u niej wczoraj, wyglądała, jakby była na głodzie. Chciała to rzucić. Obserwowałem jej dom wczoraj do dwudziestej, ale nigdzie nie wychodziła.

– To zadzwoń do swojego informatora i dowiedz się, czy jednak wczoraj wieczorem nie zamówiła sobie kokainy z dostawą do domu. Muszę skończyć, zamierzam wrócić na urodziny mojej mamy. Akurat dzisiaj ta druga Matuszewska musiała się zabić – westchnęła nieco cynicznie Emilia i się rozłączyła.

Rogeroi nie pozostało nic innego, jak zatelefonować do Tomaszka. Nie miał na to najmniejszej ochoty, ale nie miał też wyjścia. Nie chcąc, aby Julia usłyszała treść jego rozmowy z królem

poznańskiego narkobiznesu, zamknął się w łazience. Nie czekał długo na połączenie.

– Co, jednak zmieniłeś zdanie i masz ochotę wszamać zwłoki moich narkomanów? Mam złe wieści. Wszystko zjedzone, brachu – powiedział z przekąsem Tomaszek.

– Lepiej nie fikaj. Nie wiem, czy wiesz, że Magdalena Matuszewska nie żyje. – Roger zawiesił głos. Usłyszał w odpowiedzi jedynie ciężki oddech swojego rozmówcy, dlatego kontynuował: – Przedawkowała. Jestem ciekaw, kto z twoich ludzi za to odpowiada? Może jednak Królik ciągle siedzi w Poznaniu?

– Powaliło cię? – wycodził Tomaszek.

– Jeśli ktoś z twojej bandy maczał w tym palce, będziesz miał kłopoty, a ja nie zamierzam cię chronić, to zbyt głośna sprawa. Radzę ci się dowiedzieć, kto i dlaczego sprzedał jej towar.

– Może coś jej zostało z tego, co kupiła od Królika? – zasugerował Tomaszek. Przestał nazywać go brachem, bo stracił poczucie pewności siebie.

– Nie rozśmieszaj mnie. Dobrze znasz ćpunów. Oni nie są jak wiewiórki gromadzące orzeszki na zimę – powiedział z ironią Roger.

– Dobra, dobra. Nie baw mi się tutaj w te, jak im tam było...

– Metafory? – podpowiedział mu Roger.

– Nie cwaniakuj. Zadzwoń do ciebie jutro albo pojutrze, jak czegoś się dowiem. Nara – odpowiedział podenerwowany Tomaszek, po czym się rozłączył.

Roger wrócił do Julii. Nie pytała go, kto dzwonił. Wolała nie wiedzieć.

– Muszę już iść – powiedziała tylko.

– Spoko, serdeczne dzięki za pomoc. Muszę jeszcze odwiedzić Seweryna do dziadków.

– Wiesz, co? Fajny ten twój dzieciak. Nie zmarnuj tego – powiedziała Julia, po czym pocałowała go na pożegnanie.

26 sierpnia 2014, wtorek,
Poznań, Słupca

Aśka nawet nie zaszczyliła spojrzeniem Rogera, który właśnie wchodził do ich wspólnego biura. Słuchała wiadomości radiowych, potrząsając głową z niedowierzaniem i dezaprobatą.

W ostatnią niedzielę po południu w jednym z mieszkań na osiedlu Kosmonautów odkryto zwłoki kobiety. Jak się okazało, należały one do Magdaleny Matuszewskiej – siostry zamordowanej niecałe dwa tygodnie wcześniej szanowanej profesor Uniwersytetu Poznańskiego Małgorzaty Staroń. Jak się nieoficjalnie dowiedzieliśmy, Magdalena Matuszewska popełniła samobójstwo. Wysoce prawdopodobne jest również to, że odegrała, jak to określił nasz informator, kluczową rolę w zabójstwie Małgorzaty Staroń. Miała zostawić list wyjaśniający motywami popełnienia przez nią samobójstwa oraz okoliczności śmierci jej siostry. Jakże to były okoliczności? Na razie brak szczegółów. Prokuratura zapowiedziała konferencję prasową na godzinę szesnastą.

– Nie do wiary – prychnęła Aśka, dopiero teraz dostrzegając Kalitę. – Skąd oni to wszystko wiedzą? Wydali już wyrok na tę biedną dziewczynę.

– Sam już nie wiem, Aśka. Może Magdalena naprawdę zabiła siostrę?

– Nie chce mi się wierzyć. Mam przeczucie, że pani prokurator o godzinie szesnastej za wszelką cenę będzie chciała odtrąbić swój sukces. Ciekawe, czy choć trochę zająknie się na nasz temat – powiedziała rozeźlona Aśka.

– Nie liczyłbym to.

– Nie mieści mi się to w głowie, ale ciągle ktoś biega do mediów i kłapie jęzorem. Jest we mnie dużo wiary, że jednak nikt z naszych tego nie robi. Może ktoś z prokuratury ma problem z dyskrecją?

– Aśka, to chyba mało istotne, kto lata do mediów. Pozostało nam czekać na tą pieprzoną sekcję zwłok. Dopiero dzisiaj Krępski będzie miał gotowy raport.

– Nie będę tego komentowała. Lepiej opowiedz mi, jak to wszystko w niedzielę wyglądało? Nie znam szczegółów, mój ojciec leży dalej w szpitalu i musiałam wczoraj wziąć wolne. Mam nadzieję, że nie masz do mnie żalu?

– Ależ oczywiście. Zaraz będę miał żal, że mnie o to podejrzewałaś.

– Nie żartuj sobie. Co cię tknęło, żeby pojechać do Matuszewskiej? – Rogerowi nie pozostało nic innego, jak pokrótce wtajemniczyć ją w szczegóły ostatnich wydarzeń. Aśka z uwagą go wysłuchała, po czym wyraziła swoje wątpliwości dotyczące domniemanej morderczyni pani profesor.

– Po tym, co mi powiedziałeś, tym bardziej nie wierzę, że Magdalena zabiła Staroniową. Po prostu nie wierzę. To nie jest takie proste kogoś udusić. Trzeba mieć sporo sił, a ta cała profesorka do chucherek raczej nie należała... Czego nie można powiedzieć o Magdalenie. Nie wyglądała mi na szczególnie silną kobietę – powiedziała Aśka.

– Zgadza się z tobą.

– Przed chwilą minęłam się z Adrianem. Kafel mówił mi, że od poniedziałku obserwuje mieszkanie Szredera. Ale nic mi więcej nie powiedział. Zarejestrował coś ciekawego?

– Niestety nie – westchnął Roger. – Dom Szredera w Słupcy obserwował od wczorajszego poranka. Mikołaj cały dzień siedział w domu, tylko po dziesiątej wyszedł z mieszkania i poszedł do przychodni. Zamiast do pracy wybrał się do lekarza, od którego, jak się dowiedzieliśmy, wziął zwolnienie. Ponoć grypa, ale jakoś nie chce mi się w to wierzyć.

– Może przejął się śmiercią Magdaleny? – powątpiewała Aśka.

W tym momencie zadzwonił telefon Rogera. Kalita domyślał się, kto telefonuje. To musiał być Tomaszek i tak też było. Przeprosił Aśkę i wyszedł na korytarz. Czuł, że igra z ogniem, rozmawiając z nim na komendzie, ale za bardzo go ciekawiło, co ten gangster ma mu do powiedzenia.

– To ja, brachu – powiedział dziwnie zmęczonym głosem Tomaszek. – Podzwoniłem gdzie trzeba

i nie mam dla ciebie dobrych wieści. Twoja panna u nikogo z moich nie robiła zakupów. Przykro mi, brachu. A jej poprzedni sprzedawca, tak jak mówiłem, zapewniał mnie zza granicy, że od tygodnia nie miał z nią żadnego kontaktu. Żadnego, nawet nieodebranego połączenia. Więc może faktycznie załatwiła się jakimś świństwem ze starych zapasów. Albo przynajmniej nie towarem od moich sprzedawców.

– Tomaszu, rozczarowujesz mnie – westchnął Roger.

– Nic na to nie poradzę, brachu. Zrobiłem wszystko, co byłem w stanie. Może ktoś inny zrobił za nią zakupy na mieście? Przemysł tę opcję.

– Dzięki za radę – powiedział chłodno Roger.

– Może w sobotę znów wpadniesz z synkiem? Mój Dawid go polubił, brachu. Chłopaki się pobawią, a my się w tym czasie nawalimy.

– Nie, dzięki. Myślę, że to było nasze ostatnie spotkanie.

– Skoro tak uważasz, to nic na to nie poradzę. Mimo wszystko coś mi mówi, że się mylisz. I niedługo znów się spotkamy. Trzymaj się, Roger – powiedział pojednawczo Tomaszek, po czym rozłączył się.

†

Doktor Andrzej Krępski czuł lekkie zmęczenie i wiedział doskonale, jaki był tego powód. Prawdopodobnie się przejadł. Ten schabowy z pobliskiej jadłodajni był stanowczo za duży, ale cóż mógł poradzić, skoro tak smakowicie wyglądał. Przed jego gabinetem czekała na niego znajoma twarz, taka jakaś nad wyraz posępna. W sumie to nie był tym zbyt zdziwiony. Temu przemilemu policjantowi nie udało się zapobiec kolejnej śmierci. Śledczy nie przyszedł jednak sam. Towarzyszyła mu atrakcyjna blondynka. Przypominała Krępskiemu jego dawną kochankę z czasów studiów. Pamiętał, że była niesamowicie gorąca i to właśnie przez nią zawałił jeden, choć niezwykle ważny, egzamin na studiach medycznych. Tym bardziej ze smutkiem przyjął w zeszłym roku wiadomość, że dawna ukochana zginęła w wypadku samochodowym. Doszły go jednak słuchy, że jej córka jest równie piękna.

Nikt nie jest w stanie zapobiec śmierci, można ją najwyżej odroczyć – skonstatował w myślach Krępski, po czym zwrócił się do swoich gości:

– Witam, Rogerze. Domyślam się, że ta piękna niewiasta obok ciebie to nie kto inny, ale sama pani Emilia Zalewska – nowa gwiazda poznańskiej prokuratury? Jakoś do tej pory się mijaliśmy.

– Cześć – powiedział krótko Roger.

– Dzień dobry, niech pan nie przesadza z tą gwiazdą, dopiero zaczynam swoją karierę – odpowiedziała zarumieniona Emilia. – Miałam już przyjemność współpracować z doktor Barbarą Sawczuk. Poza tym raczej tu nie bywam, tę przyjemność pozostawiam policji.

– Jak rozumiem, sprawa jest dla pani bardzo istotna, skoro mam jednak przyjemność panią u siebie gościć? Przypomina mi pani pewną wspaniałą kobietę.

– Naprawdę?

– Niestety, odeszła z tego świata w zeszłym roku. Na szczęście jej śmierć była na tyle banalna, że jej zwłoki nie trafiły do nas. Nie chciałbym przeprowadzać jej sekcji zwłok. Chyba zleciłbym to Basi.

Emilia, słysząc te słowa, spojrzała na Krępskiego jak na obłąkańca. Roger nie zdążył uprzedzić jej o niekonwencjonalnych wypowiedziach doktora.

– Współczuję – zdołała z siebie wydusić.

– A jak w życiu osobistym, panie Rogerze? – zapytał swoim zwyczajem doktor Krępski. Każdemu ze swoich gości musiał poświęcić choć część swojej uwagi.

– Dobrze, panie doktorze.

– To znaczy jest jakaś kobieta? Ładna chociaż? – zapytał swoim zwyczajem medyk.

– Być może – odpowiedział Roger.

W tym momencie poczuł na sobie przenikliwy wzrok Emilii. Zaskoczyła ją jego odpowiedź. Spodziewała się raczej zaprzeczenia. Przecież odrzucił jej zaloty.

– Być może jest, czy być może ładna? – nie ustępował Krępski.

Rogera zaczęło drażnić jego wścibstwo.

– Być może jest.

– O, widzę, że nastąpił jakiś postęp. Ostatnim razem pan Roger zaprzeczył, że jest – zarechotał Krępski, dolewając w ten sposób oliwy do ognia, a raczej rozbudzając zainteresowanie Emilii wymijającą odpowiedzią Rogera, po czym medyk dodał: – To dobrze. Jak długo można prowadzić życie zakonnika? A pani, pani prokurator? Jak w miłości?

– Nie najgorzej – odpowiedziała wymijająco Emilia.

Tym razem zaskoczyło to Rogera. Czyżby dalej miała nadzieję, że między nimi będzie coś więcej? A może chciała mu się odgryźć? A może, co gorsza, podobnie jak on, grała na dwa fronty? I dlaczego, do cholery, w myślach użył sformułowania „co gorsza”? Inny adorator Emilii nie byłby mu w smak?

– To dobrze, bardzo dobrze. Jesteście młodzi, kochajcie się, zanim wasze ciała trafią do mnie – zarechotał znów doktor Krępski. – Chociaż w sumie to pewnie ja zejść z tego świata przed wami. Biedna Beatka – dodał, mając na myśli swoją długoletnią małżonkę. – Kobiety żyją statystycznie dłużej niż mężczyźni...

– Panie doktorze Krępski, może przejdziemy do sprawy Matuszewskiej? Niedługo mam ważną konferencję prasową, muszę wiedzieć, co ujawnić mediom. Chociaż wolałabym nic im nie mówić, ale jest, jak jest.

– No tak. Ta sprawa faktycznie nurtuje zbyt wielu ludzi, choć z punktu widzenia patomorfologa bądź medyka sądowego przypadek pani Matuszewskiej nie był szczególnie interesujący.

– To znaczy? – nie ustępowała Emilia.

– Typowe przedawkowanie narkotyków, a konkretnie dożylniej kokainy – westchnął ze smutkiem Krępski. Miał słabość do wybranych pacjentów i niektórym szczerze współczuł, że umarli. Ta rudowłosa ślicznotka, choć zmizerniała, zdążyła dołączyć do jego ulubieńców. – Na jej ciele znalazłem świeży ślad po wstrzyknięciu. Bardzo też, moi drodzy, łatwo przedawkować dożylną kokainę, niestety. Dzieje się to już przy dwudziestu miligramach i prawdopodobnie tyle przyjęła nasza ofiara. Potem straciła świadomość, a następnie po prostu się udusiła. Miałem już wiele takich przypadków.

– Kiedy ofiara zmarła? – zapytała Emilia.

– Między dwudziestą pierwszą a dwudziestą trzecią w sobotę.

– Czy ktoś mógł jej w tym pomóc? Zmusić ją do tego? – dopytywał Roger, ale medyk szybko rozwiął jego nadzieje.

– Raczej wątpię. Nie znalazłem żadnych śladów na jej ciele, które wskazywałyby, że przed kimś się broniła. Według mnie to nic więcej niż śmiertelne przedawkowanie kokainy. Jeśli jeszcze zostawiła ten list pożegnalny, to może faktycznie wskazywać, że zrobiła to celowo, że chciała się zabić.

– Ma pan gotowy raport? – zapytała Emilia.

– Tak, proszę – odpowiedział Krępski, podając jej szarą teczkę. – O której będzie ta konferencja prasowa?

– O szesnastej – odpowiedziała Emilia.

– Dziękuję, chętnie obejrzę. Mój zawód jest niezwykle. Zawsze w takich sprawach na pierwszym planie jest prokurator, śledczy, ale bardzo często wyniki mojej pracy przesądzają, jak dana sprawa się skończy. Można rzec, że jestem taką szarą eminencją – westchnął z rozculeniem Krępski.

– Dokładnie, panie doktorze – powiedział z rozbawieniem Roger.

– Dziękujemy. Musimy już iść. Do widzenia – zakończyła rozmowę Emilia i bezgłośnie skinęła na Kalitę, by odszedł razem z nią.

– Do widzenia. Naprawdę miło było panią poznać – powiedział Krępski, kłaniając się nisko, po czym szybko odszedł w znanym sobie kierunku.

– Ale dziwak – westchnęła Emilia. – Ale być może to taka strategia przetrwania, aby wytrzymać lata w tym okropnym zawodzie. Mam do ciebie gorącą prośbę. Mógłbyś przejechać się do profesora Matuszewskiego i uprzedzić go, że dzisiaj na konferencji prasowej ogłoszę, że jego młodsza córka jest morderczynią? Mam nadzieję, że nie słuchał dzisiejszych medialnych spekulacji. Słyszałam, jak podali, że Magdalena może być zamieszana w śmierć siostry.

– Mógłbym go uprzedzić, chociaż osobiście mam wątpliwości. Może lepiej przełoż tę konferencję prasową i daj mi szansę przesłuchać jeszcze jeden raz Szredera? Może warto znowu przesłuchać Staronia? Zszargasz tej rodzinie dobre imię tylko na podstawie jednego cholernego listu, który nie został napisany własnoręcznie i tylko dlatego, że chcesz jak najszybciej zakończyć tę sprawę? Pewnie ojciec cię naciska, żebyś to zrobiła – powiedział zbyt szczerze Roger, ale chyba trafił w sedno.

– Nie twój interes – syknęła Emilia. – Jestem stuprocentowo przekonana, że profesorkę zamordowała jej siostra. Temat uważam za zakończony.

– Bylebyś tego potem nie pożałowała...

– A tak przy okazji? Już zdążyłeś sobie uwić nowe gniazdko? Grałeś na dwa fronty? – syczała dalej Emilia, nawiązując do rozmowy z Krępskim. – Kim jest ta druga szczęściara? Kiedy ją poznałeś?

– Nie ma drugiego frontu – skłamał.

– Myślę, że kłamiesz. Nie jesteś lepszy od innych samców.

– Emilia... Sama nie jesteś święta. Słyszałem, co odpowiedziałaś Krępskiemu – zrewanżował jej się Roger.

– To bardzo świeża sprawa. Czeka nas dopiero pierwsza randka, ale już czuję, że nie dorastasz mu nawet do pięt. Myślałeś, że będę czekała na każde twoje skinienie? Tego kwiatu jest pół świata.

– Doskonale, życzę powodzenia – powiedział wściekły Roger, po czym odwrócił się na pięcie i ruszył ku wyjściu.

– Profesor jest u siebie w domu. Mieszka na rogu Małopolskiej i Pomorskiej. Wyślę ci w wiadomości dokładny adres, bo teraz nie pamiętam, muszę to sprawdzić – zawołała za nim Emilia.

Roger udawał, że nie słyszy.

†

Bliźniak profesora Matuszewskiego znajdował się w pięknej okolicy. Ulica Małopolska, przy której został zbudowany, przylegała do niezwykle malowniczego Parku Sołackiego o kształcie przypominającym wydłużoną i spłaszczoną elipsę. Pośrodku niego znajdowały się Stawy Sołackie, które powstały na skutek spiętrzenia potoku o wdzięcznej nazwie Bogdanka. Na terenie parku można było spotkać wiele malowniczych mostków oraz... wodospad. Mieszkanie przy Parku Sołackim należało do bardzo atrakcyjnych lokalizacji i trzeba było mieć na to sporo pieniędzy. Matuszewski widocznie miał. Ten bliźniak musiał być wart przynajmniej z milion złotych.

Drzwi otworzył Kalicie sam profesor Matuszewski. Wyglądał jeszcze gorzej niż na pogrzebie. Przypominał osiemdziesięcioletniego starca stojącego tuż nad grobem.

– Witam i proszę od razu o zachowanie ciszy. Moja małżonka śpi – szeptał prawie bezgłośnie profesor. Godzinę wcześniej jego żona przyjęła sporą dawkę leków antydepresyjnych i nie chciał jej budzić.

– Jak pan profesor się czuje? – zagadnął Roger, choć znał odpowiedź na to pytanie.

– A jak ma się czuć ojciec, który w ciągu zaledwie dwóch tygodni stracił obie córki. Mówiąc szczerze, gdyby nie moje wnuki i żona, która jest w jeszcze gorszej kondycji niż ja, sam targnąłbym się na własne życie. Ale co pana tu sprowadza?

– Panie profesorze, właściwie nie wiem, jak zacząć... – męczył się śledczy.

– Może pan wejdzie i napije się najpierw czegoś chłodnego? – westchnął Matuszewski. Podświadomie czuł, że śledczy nie ma dla niego dobrych wieści. Może to właśnie jemu, profesorowi, bardziej przydałaby się szklanka wody.

– W porządku – odpowiedział Roger, po czym udał się za gospodarzem w głąb domu. Po przejściu wąskiego i długiego korytarza doszli do dużego pokoju, który bardziej przypominał biblioteczkę niż salon. Wszystkie ściany, od sufitu do podłogi zajmowały regały wypełnione różnego rodzaju książkami. I tylko gdzieś w kącie upchnięto niewielki telewizor mający już swoje lata.

– Niech pan usiądzie – powiedział profesor, wskazując antyczne fotele obite przykurzoną, niegdyś wściekle czerwoną tapicerką.

Roger skorzystał z zaproszenia i opadł na jeden z nich. Faktycznie był bardzo wygodny.

- Czego się pan napije? – zapytał gospodarz.
 - Może być woda. Sobie niech pan też czegoś naleje – dodał Roger. Nie miał pojęcia, jak powiedzieć temu biednemu człowiekowi, że jedna z jego córek zamordowała drugą.
 - To będzie aż tak nieprzyjemna rozmowa? – zmartwił się Matuszewski.
 - Obawiam się, że tak – odpowiedział mu ze smutkiem Roger. Naprawdę było mu szkoda tego srogiego archiwisty, który choć w różnym stopniu, ale jednak kochał swoje obie córki. Profesor bez słowa udał się po wodę do dużej kuchni przylegającej do salonu-biblioteczki. Dwie minuty później był z powrotem. Roger spojrzął na antyczny zegar. Zostało piętnaście minut do konferencji prasowej. Przyjechał w ostatniej chwili. Musi mu to teraz powiedzieć.
 - Słucham pana – powiedział profesor, ciężko opadając na fotel.
 - Za piętnaście minut rozpocznie się konferencja prasowa prokuratury, na której zostaną przedstawione okoliczności śmierci pana córek – zaczął Roger.
 - Macie sprawcę? – ożywił się profesor.
 - Proszę dać mi mówić. Jak zapewne pan wie, Małgorzata została zamordowana, a Magdalena popełniła samobójstwo poprzez przedawkowanie kokainy. Dzisiaj pani prokurator Zalewska zamierza zamknąć sprawę. Przy zwłokach pana młodszej córki znaleziono list, w którym przyznała się do zamordowania Małgorzaty. I to właśnie dzisiaj ogłosi pani prokurator... – Roger spojrzął na profesora. Był błądy jak ściana. Kalita zaczął się obawiać, czy mężczyzna w ogóle będzie w stanie przeżyć tę wiadomość. Na chwilę zapadła złowroga cisza, w końcu Matuszewski przemówił:
 - Nie chce mi się w to wierzyć. To jakaś bzdura. Magdalena nie mogła tego zrobić. Była na to zbyt słaba. Była zbyt tchórzliwa. Ten list musiał napisać ktoś inny.
 - Pani prokurator uważa inaczej...
 - Dobrze – powiedział profesor przez zaciśnięte zęby, jednocześnie sięgając po pilota do niewielkiego telewizora. – Obejrzyjmy tę cholerną konferencję prasową.
- Kilkanaście minut później na jednym z kanałów informacyjnych pojawiła się jasna sala w poznańskiej prokuraturze. Przy długim stole usadzono Zalewską, komendanta Kuśmierskiego, rzecznika prasowego policji Gaworskiego, a także rzeczniczkę prasową prokuratury, której nazwiska Roger nie pamiętał. Zalewska wyglądała w telewizji na grubszą i bledszą, niż była w rzeczywistości. Konferencję rozpoczęła rzeczniczka prasowa prokuratury – krótko ścięta brunetka z aparatem na zębach.
- Szanowni państwo, zebraliśmy się tutaj, ponieważ znane są już wyniki autopsji Magdaleny M. Z przedstawionego przez patomorfologa raportu wynika, że denatka zmarła w wyniku przedawkowania dożylnej kokainy. Śmiertelna dawka to już dwadzieścia miligramów i tyle prawdopodobnie przyjęła ofiara. Wzięcie takiej ilości kokainy doprowadziło do jej uduszenia. Wszystko wskazuje również na to, że Magdalena M. przedawkowała ten narkotyk celowo, aby popełnić samobójstwo. Nie stwierdzono przy tym udziału osób trzecich. O tym, że denatka popełniła samobójstwo, świadczy treść listu, który znaleziono w jej komputerze. Przyznała w nim, że zamordowała swoją siostrę, profesor Małgorzatę Staroń-Matuszewską. Wymieniła również rzekome powody swojego czynu. Obarczała ją winą za swoje niepowodzenia w sferze osobistej i zawodowej – zakończyła rzeczniczka, po czym głos zabrała prokurator Zalewska:
 - Te i inne dowody przyczyniły się do tego, że prokuratura zdecydowała dzisiaj o zamknięciu sprawy morderstwa profesor Staroń-Matuszewskiej. Brak dowodów, aby ktoś pomagał Magdalenie M. w zabójstwie siostry. Magdalena M. była zdegenerowaną, silnie uzależnioną od kokainy narkomanką. Narkotyk ten powoduje, że osoba go zażywająca bywa w stosunku do osób trzecich bardzo agresywna i silniejsza, niż może się wydawać na pierwszy rzut oka, dlatego była w stanie zabić siostrę poprzez uduszenie. Niestety. W tym momencie chciałam podziękować policji w osobie komendanta Jarosława Kuśmierskiego za duże zaangażowanie i pracowitość. Bez pomocy jego podwładnych nie udałooby się tak szybko zakończyć tej skomplikowanej sprawy.
 - Dziękuję pani prokurator Emilii Zalewskiej za ogromne zaangażowanie i zaufanie w stosunku do poznańskiej policji. Raz jeszcze udowodniliśmy, że profesjonalizm to nasze drugie imię – powiedział krótko komendant, po czym oddał głos rzeczniczkę prokuratury.

– Czy mają państwo jakieś pytania? – zapytała brunetka.

– Czy mogą państwo uszczegółowić te motywy, którymi rzekomo kierowała się zabójczyni? – zapytał dziennikarz jednej z informacyjnych stacji telewizyjnych.

Zalewska spojrzała na rzeczniczkę i po ich mimice można było dostrzec, że zdecydowały się uchylić rąbka tajemnicy.

– Magdalena M. w liście oskarżała siostrę o załamanie jej kariery naukowej i rozbiecie jej związku wiele lat wcześniej – odpowiedziała rzeczniczka.

– Czy Magdalena M. zajmowała się masonami? Chodzą również plotki, że była współczesną czarownicą i oddawała się praktykom satanistycznym. Miała należeć też do jednej z łóż masońskich – zapytała nadzwyczaj poważnym tonem dziennikarka jednego z tabloidów.

– Czy ona naprawdę wierzy w te bzdury, czy robi to pod swój target, czyli czytelników jej głupekowej gazety? – zastanawiał się Roger.

– Nic nam nie wiadomo o tym, aby Magdalena M. należała, jak to pani określiła, do jednej z łóż masońskich. Nie była też czarownicą w dosłownym znaczeniu tego słowa. Przed laty zamierzała jedynie napisać pracę doktorską na podstawie dokumentów związanych z procesami czarownic, które zbierał szef SS Heinrich Himmler, i które są dostępne w Poznaniu oraz w pałacu w Ciężeniu – sprecyzowała rzeczniczka.

– A może jednak była czarownicą, skoro zgłębiała ten temat? – nie ustępowała dziennikarka tabloidu.

– Proszę się nie ośmieszać. Czy jak ktoś opisuje życie żab w pracy naukowej, oznacza to, że jest żabą? – odpowiedziała jej ostro Zalewska.

Roger miał ochotę się roześmiać, ale powstrzymał się, bo profesor Matuszewski cały poczerwieniał ze złości, chociaż ciągle się nie odzywał, tylko z napięciem oglądał transmisję.

– Mówi się, że zwłoki profesor Staroń pozostawiono na Okrąglaku w taki sposób, aby przypominały pochówek zaratusztriański – zmienił temat dziennikarz jednej z poznańskich gazet.

– To prawda – powiedziała z wahaniem Zalewska. Ci dziennikarze naprawdę sporo wiedzieli, ale diabeł tkwił w szczegółach. – Ale to wynikało z fascynacji Magdaleny M. Zastanawiała się kiedyś nad konwersją na tę starożytną religię, ale zrezygnowała. To jest jedna z licznych poszlak, które wskazują na to, że to Magdalena M. zamordowała siostrę.

– Czy były ukochany zabójczyni to obecny mąż pani profesor? – dopytywał dziennikarz znanego portalu plotkarskiego.

– Tak – odpowiedziała krótko Zalewska, po czym szybko szepnęła coś na ucho swojej rzeczniczce prasowej. Brunetka z rezygnacją skinęła głową, odchrząknęła i zwróciła się do zgromadzonych.

– Szanowni państwo, dzisiejszą konferencję uważam za zakończoną. Panią prokurator i pana komendanta wzywają obowiązki.

Odpowiedział jej duży szmer niezadowolenia dziennikarzy, ale nikt się nimi nie przejmował. Prokurator Zalewska szybko wstała od stołu i razem z komendantem Kuśmierskim czmychnęła z sali.

– Nie wierzę w te bzdury! – wyduślił z siebie w końcu profesor.

– Ja też nie – pozwolił sobie na szczerą, choć nie powinien, Roger.

– Czy to, co wygadywała ta prokurator, oznacza, że śledztwo zostało zakończone i nic już nie będzie robione w związku ze śmiercią moich dwóch córek? – grzmiał profesor. Całkiem zapomniał, że jego żona drzemała w sąsiednim pokoju. – I jej ojciec na to pozwala?! Cholerni Zalewscy! I oni mieli czelność przyjść na pogrzeb Małgosi! Czy to naprawdę koniec?!

– Obawiam się, że tak.

– Proszę na to nie pozwolić! Proszę dorwać zabójcę moich córek! – krzyczał wzburzony Matuszewski.

†

Kalita wyszedł z bliźniaka profesora Matuszewskiego kilka minut przed siedemnastą.

Postanowił, że nie wróci już na komendę. W sumie to nie miał po co. Sprawa była według Kuśmierskiego i Zalewskiej zamknięta. Pozostało mu działanie na własną rękę. Nie zamierzał zawieść profesora Matuszewskiego. Zamierzał dorwać prawdziwego zabójcę. W pierwszej kolejności postanowił pojechać do Słupcy i odwiedzić Szredera.

Dojechał tam kwadrans po osiemnastej. Słupca była wielkopolskim, nieco sennym miasteczkiem, w którym obecnie mieszkało nie więcej niż trzysta tysięcy ludzi. Jej historia nie obfitowała w znaczące wydarzenia, a i turystycznie odstawała od czołówki takich wielkopolskich perełek, jak choćby Gniezno, Jarocin, Kórnik i Gołuchów z ich zamkami czy Kłodawa ze swoją kopalnią. Co więcej, mocno zanieczyszczone Jezioro Słupeckie, które niegdyś przyciągało wędkarzy, cieszyło się obecnie nie najlepszą sławą ze względu na katastrofę ekologiczną, do której doszło tu kilka lat wcześniej. Doprowadziła ona do śmierci kilku ton ryb.

Szrederowie mieszkali w zaniedbanym, nieocieplonym jeszcze, pięciokondygnacyjnym bloku przy alei Tysiąclecia. Uroku osiedlu dodawała jedynie ciągle soczysta zieleń, która próbowała ukryć szarość tego blokowiska. Roger nie zamierzał przyglądać się zbyt długo peerelowskiej architekturze i pewnym krokiem wszedł do jednego z bloków. Drzwi wejściowe były otwarte, dlatego nie musiał posiłkować się domofonem. Mikołaj Szreder mieszkał na pierwszym piętrze i to właśnie on otworzył mu drzwi.

– Co pan tu robi? – powiedział wyraźnie zaskoczony widokiem Rogera.

– A tak sobie wpadłem – powiedział z przekąsem Kalita.

– Nie mogę pana wpuścić. Moja mama będzie się niepokoić. Oglądaliśmy dzisiaj konferencję prasową prokuratury i mamusia bardzo się zdenerwowała. Jest osobą poważnie chorą i pana widok mógłby pogorszyć jej stan.

– W takim razie zróbmy sobie spacer – nie ustępował Roger.

Na twarzy Szredera pojawiło się wahanie, ale po chwili zgodził się na niespodziewaną przechadzkę.

– Mamo, wychodzę na chwilę do sklepu – krzyknął w głąb mieszkania.

Odpowiedziała mu głucha cisza, ale Mikołaj nie przejął się tym zbyt, tak jakby był przyzwyczajony do takiej reakcji. Włożył sprane trampki i wyszedł na zewnątrz. Obaj mężczyźni ruszyli w kierunku wąskiej ulicy Wojska Polskiego wyłożonej sześciokątnymi, betonowymi płytami. Szreder zapalił papierosa. Był zdenerwowany? Przez chwilę milczeli.

– Tak jak mówiłem, oglądałem dzisiaj konferencję prasową, więc wiem, że sprawa została zamknięta, dlatego dziwięmnie pana odwiedzin – zaczął w końcu bibliotekarz.

– Nie wierzę, że to Magdalena zabiła siostrę. A pan? – odpowiedział mu Roger.

– Szczerze mówiąc, już sam nie wiem. Magdalena była dobrą osobą, ale kokaina zmienia człowieka. Mogła zmienić nawet ją. Czyli wynika z tego, że przyjechał pan do mnie bez wiedzy prokuratora?

– Wiem, że byłeś u niej w sobotę, tuż przed jej śmiercią – powiedział spokojnie Roger, nie zwracając uwagi na ostatnie zdanie bibliotekarza.

Mikołaj Szreder był zaskoczony tym, że ten policjant tyle wie.

– Śledził mnie pan?

– Nie będę bawił się w ceregiele. Był i jest pan dla mnie jednym z podejrzanych. Kto wie, może to pan zabił Małgorzatę, a Magdalenie podał odpowiednią ilość narkotyków, żeby przedawkowała. Zastanawia mnie jedynie, czy sam zabiłeś Małgorzatę, czy jej siostrunia ci w tym pomogła? A potem wykończyłeś ją, bo zbyt dużo wiedziała?

– Zwariowałeś! – wyrwało się Szrederowi. Wyglądał na porządnie zszokowanego.

– Absolutnie nie. Po co byłeś u niej w sobotę? Wiesz, że stwierdzono, iż jej zgon nastąpił właśnie w tym dniu między dwudziestą pierwszą a dwudziestą trzecią. Gdzie wtedy byłeś? Może przywoziłeś jej wcześniej narkotyki, żeby sama się wykończyła? – nie ustępował Roger. Chciał, żeby Szreder w końcu pękł.

– To niedorzeczne. Nie znam się na narkotykach. Nie wiem, gdzie można je kupić. A jeśli chodzi

o moje alibi... O dwudziestej pierwszej miałem pociąg do Słupcy. Sprawdźcie monitoring na dworcu – powiedział cicho bibliotekarz.

- Co w takim razie robiłeś chwilę wcześniej?
- Wróciłem na cmentarz i spędziłem trochę czasu przy grobie Małgorzaty.
- Brzmi to mało przekonująco. Ktoś to może potwierdzić?
- Nie wiem, nie pamiętam, abym kogoś mijał na cmentarzu.
- Po co tam poszedłeś tak późno?
- Chciałem jeszcze trochę posiedzieć przy grobie Małgorzaty... – powtórzył swoją wersję

Szreder.

Roger nic z tego nie rozumiał. Pierwszy raz słyszał o takiej zażyłości między szefową a podwładnym. Coś musiało łączyć bibliotekarza z zamordowaną, że zdecydował się wieczorem czuwać przy jej grobie niczym wierny pies. Brzmiało to tak niewiarygodnie, że Roger miał ochotę mu przyłożyć i wydusić z niego prawdę, którą tamten z pewnością ukrywał. Tymczasem ulica Wojska Polskiego wyprowadziła ich na przyjemną łąkę. Nie przestawali iść.

– A u Magdaleny po co byłeś. Skąd ją znasz?

– Poznałem ją przez Małgorzatę. Polubiliśmy się... – Szreder nie dokończył, bo Roger sprawnym ruchem, upewniając się wcześniej, że nikt ich nie obserwuje, przewrócił mężczyznę. Bibliotekarz jęknął:

– Co do...

– A, kurwa, to, że powiesz mi w końcu prawdę, co cię łączyło z siostrami. Pieprzyłeś obie, czy co? – wycodził Roger.

– Puść mnie. Jesteś... – wycharczał z siebie Szreder.

Śledczy go dusił i coraz bardziej brakowało mu tchu.

– Gadaj, kurwa... – nie ustępował Kalita. Miał ochotę zabić tego kłamcę. – Bo wyciągnę to z twojej chorej mamusi. Ona na pewno coś wie.

– Zostaw mamusię w spokoju – wycharczał ponownie Szreder. – Wszystko ci powiem, tylko daj mi oddychać. – Roger osłabił swój chwyt i dał mu możliwość zaczerpnięcia powietrza. Szreder nie od razu zaczął mówić. Przez chwilę milczał, zbierając siły na jakieś dłuższe wyznanie. Ale Roger był cierpliwy i miał dużo czasu.

– Nasza cała trójka... była rodzeństwem. Przyrodnim, ale rodzeństwem. Moim ojcem jest profesor Matuszewski. Pod koniec lat siedemdziesiątych moja mama zaczęła pracować w Ciężeniu, którego dyrektorem był wtedy mój ojciec. Mieli romans, ale profesor nie zdecydował się na odejście od żony. Na świecie były już ich dwie córeczki i nie chciał rozbijać małżeństwa, zwłaszcza że był i jest wierzący. Nie przekonała go nawet ciąża mojej matki. Tą ciążą, jak się pewnie domyślasz, byłem ja. Przez całe lata moja mama ukrywała przed światem, kto jest moim ojcem. Ileż ja musiałem się nasłuchać od innych dzieciaków, że jestem bękartem, a to chyba było najłagodniejsze określenie, jakiego w stosunku do mnie użyto. Kilka lat temu o moim istnieniu przypadkiem dowiedziała się Małgorzata. Była wściekła na ojca, że przed wszystkimi to ukrywał. Załatwiła mi pracę w Ciężeniu. Pomogła również mojej matce, finansując jej leczenie. Nie musiała tego robić, ale okazała wielkie serce. Potem o moim istnieniu dowiedziała się Magdalena. Staralem się utrzymywać z nią regularne kontakty, czasem jeździłem do Poznania, bo Małgorzatę widywałem na co dzień w pracy i to nam wystarczyło. O tym, że istnieję, nadal nie wie żona profesora. Choruje na serce oraz depresję, dlatego moje siostry wołały jej tego oszczędzić. I naprawdę nie miałem powodu, żeby zabijać je obie. Wiele mi pomogły, próbując naprawić krzywdę wyrządzoną mnie i mojej mamie przez naszego ojca.

Roger zwolnił całkowicie uścisk. Szreder wstał z ziemi, szybko się otrzepując.

– Czy profesor Matuszewski wiedział, że siostry się z panem kontaktują? – zapytał Roger.

– Wiedział, ale tego nie pochwałał. Nigdy go nie interesowałem, muszę to powiedzieć z przykrością. Widywałem go jedynie na uczelni, kiedy byłem studentem – powiedział zasmucony Szreder. – A pan mógłby na drugi raz nad sobą panować! Prawie zszedłem z tego świata.

– Trzeba było od razu mówić prawdę. Zresztą nie przesadzaj, nie jesteś z porcelany. Choć może faktycznie byłem zbyt brutalny. Przepraszam. Chcę tylko dowiedzieć się, kto zabił twoje siostry. Czy

masz jakieś podejrzenia?

– Nie. Może faktycznie Magdalena zabiła Małgorzatę? Była dość postrzelona. Chociaż to okrucieństwo... wcale to do niej nie pasuje – westchnął zrezygnowany Szreder. Chciał pomóc temu śledczemu, ale nie wiedział jak. Roger miał wrażenie, że dalsza rozmowa z bibliotekarzem w niczym mu nie pomoże. Zrezygnowany, powiedział Mikołajowi, że spotkanie z nim uważa za zakończone.

†

W domu był o dwudziestej. Zadzwoił do Julii i zaprosił ją do siebie, oferując film w telewizji i pizzę zamówioną przez telefon. Spodziewał się, że odmówi. Tymczasem ona przyjęła zaproszenie.

– Mam ci coś do opowiedzenia – powiedziała podekscytowana.

Zanim przysła, wziął prysznic i ogolił się. Zamówił też obiecaną pizzę, uwzględniając upodobania kulinarne Julii, które zdążyła przekazać mu przez telefon. Niestety, okazało się, że w pizzerii mieli sporo pracy tego wieczoru i trzeba było się naczekać na aromatyczne placki. W międzyczasie w jego domu pojawiła się Julia. Przysła przyjemnie pachnąca, z jeszcze lekko wilgotnymi włosami. Poczł, jak ogarnia go podniecenie, ale nie zamierzał tego na razie okazywać. Zanim dostarczono pizzę, opowiedział jej wydarzenia dzisiejszego dnia.

– Prokuratorka naprawdę zamknie tę sprawę? – niedowierzała.

– Nie tylko zamknie, ale już zamknęła – westchnął Roger.

– Z drugiej strony, jeśli nie Magdalena, to kto? – zastanawiała się Julia.

– Nie mam pojęcia. Teoretycznie mógł to zrobić Grzegorz Staroń albo nawet Mikołaj Szreder, ale praktycznie nie wierzę w to... – przerwał.

Ktoś zadzwonił do drzwi. Okazało się, że to dostawca przywiózł wyczekiwaną pizzę. Roger szybko go odprawił, rezygnując nawet z nie najmniejszej reszty. Chłopak podziękował za napiwek i szybko uciekł.

Otworzyli pachnące pudełko, w którym była pikantna pizza meksykańska. Julia wiedziała, co dobre, wybierając ten rodzaj placka. Nie pozostało im nic innego, jak skonsumować te pyszności. Po zjedzeniu pizzy i wypiciu kieliszka zbyt kwaśnego, jak na gust Rogera, czerwonego wina, Kalita wrócił do urwanego wątku:

– Miałaś mi coś do opowiedzenia.

– Tak. Przeszukałam sieć, aby znaleźć coś nietypowego, jeśli chodzi o sprawę morderstwa profesorki. Okazuje się, że zaledwie kilka godzin po pierwszych informacjach o śmierci Staroniowej na wielu portalach pojawiały się komentarze hejtujące Magdaleny i mocno sugerujące, że to ona zabiła siostrę. Że jest starą, zazdrosną ćpunką i takie tam. Dziwne, bardzo dziwne. To tak, jakby ktoś chciał zrobić ją w zamordowanie siostry... I był to ktoś, kto dobrze znał jej sytuację...

– Naprawdę? – ożywił się Roger. – Ale przerwałem ci, kontynuuj...

– Sprawdziłam IP tych komentarzy i niestety, okazuje się, że osoba, która je wrzuciła, sfalszowała je. Praktycznie jest ono nie do odtworzenia. Osobie, która opublikowała te hejty bardzo zależało na anonimowości i wiedziała, jak ukryć swoją tożsamość. Wbrew pozorom to nie jest skomplikowana sprawa – sfalszować swoje IP.

– Hejterom zazwyczaj zależy na anonimowości – zauważył z przekąsem Roger.

– Nie wszystkim. Większość z nich, mówię o tych nieopłacanych, wrzuca to, co im ślina na język przyniesie. Bo są wściekli, sfrustrowani itd. Ktoś, kto ukrywa swoje IP, ma jakiś głębszy cel niż wyładowywanie negatywnych emocji.

– Pewnie masz rację. Chcesz jeszcze więcej wina? Mówisz po nim całkiem sensownie – Roger zmienił temat i nie czekając na jej odpowiedź, sięgnął po butelkę.

– Czyżbyś chciał mnie upić? Jutro muszę iść do pracy.

– Zobacz, co za zbieg okoliczności, ja też muszę iść. Jeszcze tylko jeden kieliszek i ci odpuszczę – roześmiał się Kalita, patrząc jej głęboko w oczy. Po czym przysunął ją do siebie i zaczął całować. Najpierw delikatnie, a potem coraz bardziej łapczywie. Nie opierała się, a nawet w pewnym momencie stawała się aktywniejsza. Wsunął jej rękę pod koszulkę. Nie zatrzymała jego dłoni, co jeszcze bardziej

go rozkręciło. Nim się obejrzała, ściągnął jej bluzkę, a potem biustonosz, by jeszcze mocniej pieścić jej piersi. Wreszcie wziął ją na ręce, a ona oplotła się nogami wokół jego pasa. Łatwo wyczuła jego nabrzmiałego penisa. Cicho jęknęła, co go jeszcze bardziej podnieciło. Położył ją na kanapie. Zaczęli się rozbierać, całując i dotykając się wszędzie, gdzie prowadziło ich pożądanie. W końcu wszedł w nią, a ona z zadowolenia zamruczała. Najpierw pracował w niej niespiesznie, rozkoszując się chwilą, potem szybko, chcąc wycisnąć z tego podniecającego momentu jak najwięcej. Czekala ich naprawdę namiętna noc.

6 października 1943, środa,
Poznań

Heinrich Himmler nie czuł się szczególnie dobrze tego dnia. Niemiłosiernie bolał go brzuch, a on, biedak, nie miał przy sobie swojego osobistego masażysty o cudownych dłoniach – Feliksa Kerstena, który kilka miesięcy wcześniej oświadczył mu, że wyjeżdża do Szwecji, bo w Niemczech coraz mocniej pachniało mu, jak to określił, cmentarzem. Ach, gdyby miał Feliksa przy sobie! Ale nie miał i musiał teraz wygłosić tu, w Poznaniu, w Zamku Cesarskim, ważną mowę. Mowę, w której otwarciu miał przyznać się przed dobranym odpowiednio audytorium do tego, co stało się z europejskimi Żydami. Nie ulegało wątpliwości, że ta ciężka robota była już prawie zakończona. Została ich w Europie zaledwie garstka. Himmler sapnął z zadowolenia i dumy ze swojego dzieła, ale po chwili skrzywił się. Sapnięcie nasiliło ból brzucha. Tymczasem oczy zgromadzonych wbijały się w niego jak szpilki. Heinrichowi nie pozostało nic innego, jak powiedzieć swoje, a potem zadzwonić do nieszczęsnego Kerstena i poprosić go o konsultację, aby pomógł mu rozwiązać jego palący problem. Palący problem. A to dobre sformułowanie! Żydzi też kiedyś byli takim kłopotem. Teraz są co najwyżej spalonym problemem. Himmler, szczęśliwy z powodu trafności swojej metafory, nabrał powietrza w płuca i zaczął swój obrzydliwy wykład.

Stanęliśmy przed pytaniem: a co z kobietami i dziećmi? Zdecydowałem się znaleźć całkowicie jasne rozwiązanie także w tej kwestii. Nie uważałem się mianowicie za uprawnionego do tego, by wytepić mężczyzn – to znaczy zabić lub kazać zabić – jednocześnie pozwalając, by ich dzieci zemściły się kiedyś na naszych synach i wnukach. Trzeba było podjąć ciężką decyzję: ten naród musi zniknąć z powierzchni ziemi. Wykonano ją, unikając szkody, jaką mogliby ponieść na duszy i umyśle nasi ludzie i nasi przywódcy. Tym samym chciałbym zamknąć kwestię żydowską. Teraz wiecie już wszystko, panowie, i proszę was, abyście zachowali to dla siebie. Może kiedyś, znacznie później, będzie można się zastanowić nad tym, czy by nie powiedzieć czegoś więcej narodowi niemieckiemu. Myślę, że będzie lepiej, jeśli my - my wszyscy - weźmiemy to na siebie w imieniu naszego narodu, weźmiemy na siebie odpowiedzialność, a potem zabierzemy tę tajemnicę do grobu!

Nareszcie skończył. Przez audytorium przeszedł szmer podziwu, po czym wszyscy zaczęli klaskać. Zszedł z podium i wmieszał się w tłum. Po krótkich, ale krzepiących rozmowach z niektórymi esesmanami i innymi notablami w końcu podszedł do niego jego przyjaciel i namiestnik kraju Warty – Artur Greiser. Ten niemiecki władca Wielkopolski pogratulował mu dobrej mowy.

– Nigdy nie sądziłem, że stać cię na taką szczerość – zarechotał.

– Jedziemy zaraz do ciebie do Jezior? – odpowiedział mu pytaniem Heinrich. Ból brzucha nie ustępował i ewidentnie psuł mu humor. Marzył o tym, aby spocząć na którymś z wygodnych szezlongów Greisera w jego pięknej rezydencji położonej nad jeziorem Góreckim w samym sercu puszczy, wypić jakiś kojący napar z ziół i zdrzemnąć się.

– Poczekaj, Heinrich. Miejscowi folksdojczycy chcieli się z tobą spotkać. Prasa zrobiłaby ci fotografie z miejscowymi niemieckimi dziećmi. To podniosłoby morale...

– Skoro tak mówisz... – powiedział niezadowolony Himmler. Normalnie ucieszyłby się na takie spotkanie, ponieważ z folksdojczami od lat wiązał duże nadzieje, ale nie dzisiaj, kiedy ból wykręcał mu kiszki. – Gdzie oni są?

– Czekają na ciebie w osobnej sali. To nie potrwa długo, Heinrich. Szczerze mówiąc, nie wyglądasz najlepiej – zmartwił się Greiser.

Obolały Himmler był dla niego problemem, a nie atrakcją.

– Mam nadzieję, że to faktycznie nie potrwa długo, bo znów mnie męczą te cholerne bóle brzucha, a łachudra Kersten siedzi przecież w Szwecji.

– Doprawdy? A czemuż to?

– Strach go obleciał. Boi się, że przegramy wojnę, niewdzięcznik jeden. Póki było dobrze, to spijał śmietankę z naszych zwycięstw. Zaczęło iść gorzej, to zwiął, łajza jeden.

– Nie on jeden. Defetyzm to największe zagrożenie Trzeciej Rzeszy, a nie tam jacyś alianci – westchnął Greiser i poprowadził Heinricha do osobnej sali.

Nie wiedział, że Himmler coraz częściej za największe zagrożenie dla Niemiec uważał Hitlera, a nie kiepskie nastroje w narodzie, jak głosiła nazistowska propaganda. Doszli nareszcie do sali, gdzie czekali na nich dziennikarze oraz nieliczna grupa folksdojczów z dziećmi.

– *Heil Hitler!* – krzyknął Himmler.

Zebrani odpowiedzieli mu takim samym pozdrowieniem, a twórca SS zapytał: – Jak wam się wiedzie w Poznaniu, rodacy?

– Dobrze, Reichsführerze – odpowiedzieli mu folksdojczowie.

Himmler spojrział na nich badawczo, w końcu zauważył znajomą twarz. To był człowiek, który pracował dla niego już od wielu lat. Na spotkanie z Himmlerem zabrał syna. Heinrich widział tego chłopca po raz pierwszy. Żywe oczy dziecka wpatrywały się w niego z nieukrywanym podziwem.

– Doktorze Taube, co pan tu robi? – zwrócił się do znajomego folksdojczaka.

– Reichsführerze, chciałem pokazać mojemu synowi, jak wygląda Heinrich Himmler we własnej osobie. Aby miał wzór do naśladowania. Tyle pan zrobił dobrego dla Niemiec!

– Nie przesadzajmy, Taube – udał fałszywą skromność Himmler. – A jak ten twój synek ma na imię?

– Gerhard – zapiszczał chłopczyk.

– Witaj, Gerhardzie. Chcesz zdjęcie z Himmlerem? – zaśmiał się Heinrich.

Urzeczony bliskością Reichsführera chłopiec skinął głową.

– Reichsführerze, Reichsführerze, proszę jeszcze wziąć do zdjęcia moją córkę – usłyszał nagle Heinrich gdzieś za swoimi plecami.

To krzyczała jakaś kobieta, której głos, w jego mniemaniu, był zbyt głośny. Ponadto niemczyzna tej pani pozostawiała wiele do życzenia. Po co Greiser przysyła mu folksdojczów trzeciej kategorii?! Z dezaprobatą odwrócił się i już chciał zbesztać tą kobietę, kiedy zdał sobie sprawę, że ma do czynienia z wielką pięknoscią. W jednej chwili zmienił do niej stosunek. Obok niej stała nieco starsza od Gerharda dziewczynka.

– Oczywiście. Bardzo chętnie, tylko proszę popracować więcej nad swoją niemczyzną – odpowiedział Himmler z promiennym uśmiechem. Greiser jednak zna się na kobietach.

1 Cyt. za: Piotr Bojarski, *Woskowa płyta Himmlera*, http://wyborcza.pl/alehistoria/1,121681,13484821,Woskowa_plyta_Himmlera.html.

5 października 2014, niedziela,
Poznań

Restauracja Monidło należała do ulubionych lokali profesora Górczewskiego. Zawsze lubił tu przychodzić na niedzielny obiad zaraz po zajęciach ze studentami w jednej z prywatnych uczelni, a przed powrotem do Szczecina, w którym mieszkał. Szkoła dobrze mu płaciła, więc tym chętniej pozwalał sobie na wizyty w tej restauracji. Nazwa lokalu kojarzyła mu się z ciepłem domu rodzinnego. Za każdym razem, kiedy tu przychodził, przypominał sobie obraz, który wisiał w mieszkaniu jego nieodżałowanych rodziców, przedstawiający ich, kiedy byli młodzi, piękni i bardzo zakochani w sobie. Jakże było to różne od tego, co naprawdę przez lata działo się między nimi. Zrozumiał to, kiedy podrośł już na tyle, aby zauważyć, że jego rodzice wcale nie byli sobie przeznaczeni. Ich odmienne charaktery i temperamenty nie pozwalały im się dogadać. Nie oni pierwsi, nie oni ostatni. Fakt faktem, nigdy się nie rozwiedli, ale męczyli się ze sobą do końca swoich dni. Rozumiał to poświęcenie. On sam, choć dawno przestał kochać swoją pierwszą żonę, nie rozwiódł się z nią, tylko wspierał ją do końca, zanim kostucha zabrała ją do siebie.

Nie tylko nazwa tego lokalu była swojska. Również wystrój odpowiadał gustom profesora. Bogato zdobiony kominek, robiący wrażenie żyrandol i ogromne lustro w złoconej ramie sprawiało, że chciał tutaj siedzieć godzinami. I tylko nadchodząca pora odjazdu pociągu do Szczecina zmuszała go, aby w końcu opuścić ten lokal. I choć wszystko w tej restauracji na pierwszy rzut oka trąciło kiczem, jemu to odpowiadało. Czuł się prawie jak w domu babci, której udało się ocalić różnorodne antyki od pożyłości hitlerowskiego najeźdźcy. Zajadając startowe, czyli chleb ze smalcem i twarożek, czekał na swojego nieślubnego syna. Poza nim miał jeszcze dwoje legalnych dzieci. Najstarsza, Anna, z pierwszego małżeństwa, od lat mieszkała w Stanach Zjednoczonych, gdzie robiła karierę naukową, tyle że medyczną, a nie jak jej ojciec w dziedzinie historii, ale to go akurat nie martwiło. Dzięki swojej zawodowej pasji mogła wieść w Ameryce wolne od trosk materialnych życie. Najmłodszy, Edward, z drugiego małżeństwa, był oczkiem w głowie profesora, może dlatego, że miał dopiero osiem lat, ale już teraz bardzo interesowała go historia... Górczewski przerwał swoje rozmyślenia, ponieważ w końcu do Monidła przybyło jego średnie dziecko – Roger, który wybrał karierę gliniarza. Niestety był sam. Nie wziął ze sobą wnuka profesora.

– Witam. A gdzie Seweryn? – Górczewski nie krył rozczarowania.

– Przykro mi, ale trochę mi gorączkuje. Zostawiłem go pod opieką Julii.

– A kim jest Julia? – zapytał zaciekawiony profesor. Nagle zdał sobie sprawę, że nic nie wie na temat aktualnej sytuacji uczuciowej swojego syna.

– Moja nowa partnerka – odpowiedział Roger.

– To wspaniale. Opowiadaj, kim jest i czym się zajmuje – zapytał podniecony profesor.

– Jest cztery lata młodsza ode mnie. Pracuje jako programistka w dużej firmie informatycznej.

– Nietypowy zawód jak na kobietę, ale dobrze opłacany. Tak przynajmniej słyszałem... – Ich rozważania przerwało nadejście starszej kelnerki, która przyniosła profesorowi zamówiony obiad. Stanisław Górczewski skusił się tym razem na zraza staropolskiego z kluskami śląskimi i buraczkami.

– A ty co zamawiasz? Jadłeś już coś? – zapytał profesor, uprzedzając w tym niezbyt szybko kelnerkę.

– Tylko zupę. Jest może jakaś wątróbka? – zapytał Roger.

– Tak – odpowiedziała kelnerka. – Podajemy ją z jabłkami i cebulką. Do tego, oczywiście, ziemniaczki razem z sałatką z kiszzonego ogórka i papryki.

– W porządku, może być. Do tego poproszę jakąś herbatę – odpowiedział szybko Kalita, po czym zwrócił się do ojca: – Dawno się nie widzieliśmy. Chyba jakoś przed wakacjami, i to nawet grubo przed.

– Ubolewam nad tym, ale były wakacje, a potem przydarzył mi się wyjazd zagraniczny. Całkiem owocny zresztą. Mam materiał na dobrą książkę. Miałem jednak nadzieję, że zobaczę dzisiaj mojego wnuka...

– Gdybyś odwiedził nas wczoraj wieczorem, spotkałbyś się z Sewerynem, a tak niestety... – zwrócił mu uwagę Roger.

– Byłem już umówiony. Musiałem zobaczyć, jak się urządził w Poznaniu doktor Aleksander Szulik. Zdążyłeś go poznać...

– Tak, pomagał mi w śledztwie dotyczącym morderstwa profesorki.

– Nieodżałowanej profesor Małgorzaty Staroń-Matuszewskiej, a nie jakiejś tam profesorki – poprawił go Górczewski. Stanisława trochę denerwowała ta zbyt bezpośrednia jego syna. Franciszka starała się go dobrze wychować, ale chyba to ją przerosło.

– A co on tu robi? – zdziwił się Roger.

– Przeniósł się ze Szczecina, odkąd zdobył posadę kierownika biblioteki w Ciężeniu. Myślałem, że o tym słyszałeś? Dołączył też do tutejszej kadry uniwersyteckiej. Po śmierci profesor Staroń-Matuszewskiej w jej zakładzie powstał wakat. Na szefa tej jednostki awansowano innego doktora habilitowanego, a na jego miejsce przyjęto właśnie Szulika. Wygrał konkurs, będąc osobą z zewnątrz, bo nikt tutejszy nie spełniał kryteriów. A to naprawdę rzadko się zdarza.

– Dlaczego? – zaciekał się Roger.

– Synku, tak między nami, większość konkursów jest ustawianych. Każdy profesor szykuje sobie następcę, któremu później próbuje znaleźć ciepłą posadkę. Z tego, co mi wiadomo, profesor Staroń-Matuszewska nie miała swojego następcy.

– A Mikołaj Szreder? – rzucił Roger.

– Nie wystartował. Ponoć wystarcza mu praca w Ciężeniu. Mówią, że stan zdrowia jego mamy pogorszył się i poświęca jej więcej czasu niż wcześniej. Dlatego też zrezygnował z proponowanego mu awansu na kierownika tej biblioteki. Miałby więcej pracy. Dopiero potem przyjęto Szulika. Musieli szybko kogoś znaleźć.

– Skąd tyle wiesz o życiu Szredera?

– Byłem kilka razy w Ciężeniu, poza tym Szulik mi opowiadał. Wracając jednak do tego konkursu – śmierć Małgorzaty była niespodziewana i tak jak już mówiłem, nie zdążyła przygotować sobie następcy. A kryteria były dość wyśrubowane. Nowy pracownik naukowy musiał wykazać się pracą doktorską związaną z masonami. A nie wiem, czy wiesz, że Aleksander napisał znakomity doktorat o dziejach wolnomularstwa na Pomorzu Zachodnim, dlatego udział w tym konkursie był tylko formalnością. – Roger, słysząc te słowa, poczuł nagłe olśnienie.

– Mówiłeś, że pracę magisterską poświęcił nazistom?

– Tak. Jej dokładny tytuł brzmiał *Obraz Heinricha Himmlera w powojennej prasie niemieckiej*, ale potem zmienił swoje zainteresowania badawcze i zajął się wolnomularstwem. Zasugerował mu to promotor, który wskazał na to, że nikt do tej pory na Pomorzu nie zajmował się historią miejscowego wolnomularstwa – wyjaśnił śledczemu Górczewski.

– Czyli Szulik musiał poznać się z profesor Staroń-Matuszewską?

– Oczywiście. Jeździli na te same konferencje naukowe. Ponadto, pisząc swoją pracę doktorską, często przebywał w Ciężeniu. Z tego, co mi wiadomo, była dla niego autorytetem naukowym. Dlatego też poprosiłem go w sierpniu, żeby pomógł ci w śledztwie. Wiedziałem, że będzie zmotywowany i że przede wszystkim posiada dużą wiedzę dotyczącą tematyki, którą zajmowała się pani profesor. Przecież nie przysłałbym ci laika! – uniósł się profesor.

– Ojciec mi chyba przysłał mordercę – odpowiedział spokojnie Roger.

– Co ty opowiadasz?

– Że to twój protegowany Aleksander Szulik zamordował siostry Matuszewskie.

– Oszalałeś? Doktor Szulik to nie jakiś psychopata, tylko obiecujący historyk – oburzył się profesor. Nie wierzył własnym uszom. Czy Roger właśnie zwariował?

– Ojciec, nie oszalałem. Doktorek znał dobrze ofiarę, orientował się w tematyce, którą się zajmowała, to ciągle zbyt mało, ale... – Kalita nagle zmarł. Przypomniał sobie fragment rozmowy telefonicznej z Szulikiem, którą odbył półtora miesiąca temu. Był to ten moment, kiedy dopiero umawiali się na spotkanie, a młody doktor nie znał szczegółów wyglądu ciała ofiary. A przynajmniej nie powinien.

Mógł wiedzieć tylko tyle, ile przekazał mu profesor Górczewski. A Roger zdążył wspomnieć ojcu jedynie o pogruchotanych kościach i rozciętym brzuchu. Pomiął kwestię symboli, które pozostawiono na zwłokach denatki.

– *A wspominał o literze H i liczbie 1511? – zapytał Roger, mając na myśli ojca.*
– *Nie – odpowiedział Szulik.*
– *Faktycznie, nie wspominałem mu o tym – zreflektował się Roger.*
– *Jeśli pan tego sobie życzy, spróbuję dowiedzieć się, co mogą znaczyć te symbole.*
– *Być może to nic ważnego. Ofiara urodziła się piętnastego listopada i może to oznaczają te cyfry.*
– *Nie jestem śledczym... ale po co morderca zadałby sobie tyle trudu, aby wyciąć tę liczbę na skórze ofiary?*

Skąd Szulik, do cholery, wiedział o tym, że literę H i liczbę 1511 wycięto na ciele, a nie na przykład napisano krwią czy umieszczono je na ubraniu ofiary? Mógł się domyślić, ale w odczuciu Rogera powiedział to zbyt pewnie. Nigdy do mediów nie przedostała się informacja o tej symbolice. On po prostu musiał wiedzieć, jak wyglądały zwłoki. On po prostu musiał ją zabić. Roger nie podzielił się swoim odkryciem z ojcem, zwłaszcza że kelnerka akurat przyniosła mu smakowicie wyglądającą wątróbkę. Tyle tylko, że on zdążył stracić apetyt. Trochę jej zjadł, trochę podziobał. Robił to wszystko w złowieszczym milczeniu, po czym odezwał się do ojca:

– Gdzie on mieszka?
– Kto? – zdziwił się profesor.
– No jak to kto? Szulik!
– Po co ci to wiedzieć? Nie mów, że zamierzasz do niego pojechać?!
– Zamierzam grzecznie z nim porozmawiać i rozwiązać swoje szaleńcze, w twoim mniemaniu, przeczucia, co do jego winy.
– Nie wiem, czy to dobry pomysł... Ale jak coś, to nie mów, że ten adres masz ode mnie. – Profesor wahał się.

– I tak się domyśli, ale jeśli ma cię to uspokoić, to nie powiem mu, że to ty maczałeś w tym palce.
– Górczewski ciężko westchnął. Czy Bóg musiał go ukarać bękartem-policjantem? Ustąpił mu jednak i podyktował nazwę ulicy wraz z numerem, przy której mieszkał Szulik. Roger podziękował, następnie rzucił pieniądze za swój obiad i wybiegł z Monidła jak oparzony.

†

Aleksander Szulik z uznaniem patrzył na stół, który właśnie przed chwilą starannie przygotował. Bielił się na nim elegancki obrus z wymyślnym ornamentem na brzegach, a na jego środku postawił pozłacany świecznik, który całkiem niedawno wypatrył na wystawie jednego z poznańskich antykwariatów. Nie zabrakło również eleganckich, co ważne z materiału, a nie z papieru, czerwonych serwet. To na pewno zrobi wrażenie na Emilii. To musi zrobić wrażenie na Emilii! Zadowolony, usiadł na kanapie. Był naprawdę z siebie dumny. Ostatnie miesiące nie były łatwe, ale przyniosły mu to, czego pragnął – stanowisko adiunkta na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza oraz posadę kierownika filii Biblioteki UAM w Ciężeniu. Kosztowało go to wiele wysiłku, ale warto było. Z fałszywym rozrzewnieniem wspominał teraz profesor Małgorzatę Staroń-Matuszewską. To dzięki jej poświęceniu, a raczej śmierci, udało mu się tyle osiągnąć w tak krótkim czasie.

Choć była aż sześć lat od niego starsza, spodobała mu się od pierwszego wejrzenia, zwłaszcza, że wiedział, z kim ma do czynienia i że jest to kobieta o dużych koneksjach i możliwościach. Poznali się niecałe dziewięć lat temu, kiedy jako dwudziestopięciolatek, świeży doktorant przyjechał na konferencję naukową, zorganizowaną przez Uniwersytet Wrocławski w Krzyżowej. Szybko złapali dobry kontakt. Wiedział, że pani doktor habilitowana była świeżo po porodzie pierwszego dziecka, ale nie przeszkadzało mu to zabiegać o jej względy. Na początku odrzucała jego umizgi. Te jego usilne starania trwały co najmniej dwa lata. W międzyczasie zaczął przyjeżdżać do Ciężenia, aby zbierać materiały do

swojej pracy doktorskiej. To właśnie wtedy, wieczorem, w jej przyjemnym gabinecie zerznął ją po raz pierwszy. Piszcząca, że aż miło, spodobała jej się i wówczas zaczął się ich romans. Trwał, z przerwami, cztery lata. Przez ten czas nikt się nie domyślił, co ich łączy. W międzyczasie zdążył obronić pracę doktorską, a ona solennie obiecała, że chętnie odda mu posadę kierownika biblioteki w Ciężeniu, bo jest już zmęczona łąčeniami obu stanowisk. Niestety, nie dotrzymała słowa.

– Głupia suka – powiedział sam do siebie Szulik.

Mąż Staroniowej zaczął podejrzewać romans żony, a Małgorzata miała już dosyć napadów agresji swojego kochanka, zwłaszcza podczas seksu. Miłość fizyczna z Aleksandrem stawała się nieprzyjemnym, a nawet bolesnym obowiązkiem. W końcu pewnego wieczoru pokłócili się o Heinricha Himmlera. Ona potępiała go w czambuł, on bronił go, uważając za gorącego, niemieckiego patriotę. Nazwała go wówczas nazistą, folksdojczem, ukrytą opcją niemiecką i innymi, w jej mniemaniu, obraźliwymi epitetami. Wówczas zerwali ze sobą, a obietnica umocowania kochanka w Poznaniu nie została spełniona. Aleksander uniósł się honorem i próbował ułożyć sobie życie w Szczecinie. Niestety, nie szło mu najlepiej. Kolejne kobiety odchodziły od niego, zarzucając mu niekontrolowane wybuchy złości i agresję, a Uniwersytet Szczeciński rzucał mu ochłapy w rodzaju zajęć na umowę zlecenie bądź o dzieło. W końcu miał tego dość i postanowił polepszyć swój los i dokonać zemsty na kobiecie, która oszukiwała go, obiecując mu coś, czego nie zamierzała dać. Zdecydował się ją zabić. Zanim to zrobił, odnowił z nią kontakt, wymyślając jakiś lipny powód związany z nieistniejącym projektem naukowym. Ona chętnie ponownie go nawiązała, mając widocznie ciągle do niego słabość, a przy tym nie pamiętając o ich gorszych chwilach.

Zanim zrobił to, co zrobił, obserwował jej otoczenie, męża, siostrę. Jakież było jego zdziwienie, gdy okazało się, że Magdalena jest mocno uzależniona od narkotyków, a Małgorzata kilka razy kupiła jej kokainę od swojego starego znajomego z czasów szkolnych. Jak się z nim zgadła? To już pozostaje jej słodką tajemnicą. Najważniejsze, że udało mu się strzelić im kilka fotek. Potrzebował teraz jakiegoś szantazysty, który w jego imieniu ponękałby trochę panią profesor. W sukurs przyszedł mu przypadek. W pociągu poznał jakiegoś nawiedzonego i prawdopodobnie chorego psychicznie sekciarza, Zbigniewa Jesienia. Oczywiście Aleksander nie opowiedział o swoich zamiarach względem niego, ale zdążyli wymienić się adresami. Po jakimś czasie wysłał Zbigniewowi, oczywiście anonimowo, wspomniane już zdjęcia. Naturalnie, ześwirowany na punkcie różokrzyżowców Jesień zrobił to, czego spodziewał się po nim Aleksander. Szulik doszedł więc do wniosku, że sprzyja mu szczęście i nastąpiła godzina prawdziwej zemsty. Wreszcie umówił się z Małgorzatą na tarasie widokowym na Okrąglaku. Ona co prawda chciała się z nim spotkać w kawiarni Rotondo, ale namówił ją na zmianę planów. Wiedział, że dostała kartę wejściową na taras od siostry, a w budynku trwała wymiana systemu monitoringu. Też dowiedział się o tym przypadku, kiedy tydzień wcześniej powiedział ochroniarzowi, że chciałby obejrzeć film z monitoringu, ponieważ podejrzewa, że ktoś z obsługi lub gości Rotondo ukradł mu portfel. Dozorca odpowiedział Aleksandrowi, że przez cały sierpień Okrąglak jest i będzie pozbawiony działających kamer, dlatego nie jest mu w stanie pomóc.

Doktor Szulik cały czas kontaktował się z profesorem Staroń-Matuszewską z numeru, który kupił specjalnie dla niej, tak aby policja później go nie namierzyła. Zabicie Małgorzaty okazało się dziecinnie proste. Nie spodziewała się ataku z jego strony, więc nie stawiała większego oporu. Potem jeszcze odstawił ten cyrk z symboliką związaną z zaratusztrianizmem i czarownicami, aby uwagę śledczych skierować na jej siostrę narkomankę. Co, faktycznie, udało się. Dodatkowo potajemnie informował media o szczegółach śledztwa, a także wrzucał anonimowo do Internetu komentarze wskazujące na domniemaną winę Magdaleny. Potem pozostało mu jeszcze upozorowanie samobójstwa młodszej Matuszewskiej. Kokainę kupił w rodzinnym Szczecinie, bo tak było bezpieczniej. Następnie w sobotę po południu przyjechał do Poznania, odwiedził Magdaleny, której wmówił, że przysłał go Królik z promocyjną, bo darmową, dostawą dożylnego narkotyku. Początkowo Matuszewska odmówiła przyjęcia narkotyku, ale w końcu nie wytrzymała, była zbyt długo na głodzie. Zgodnie z przewidywaniami Aleksandra, poprosiła go o pomoc, bo jej ręce trzęsły się jak w skrajnym przypadku Parkinsona. Nie pozostało nic innego, jak odmierzyć jej śmiertelną dawkę i wstrzyknąć tuż pod kolanem.

Magdalena nie była w stanie skontrolować ilości, jaką jej podał. Szulik odczekał trochę, aż Matuszewska straciła świadomość. Następnie na jej laptopie, oczywiście w przygotowanych wcześniej rękawiczkach, napisał list, w którym miała się przyznać do zabicia siostry. Prokuratura, zgodnie z jego oczekiwaniami, uwierzyła w tę bajeczkę i szybko zamknęła sprawę. Dla świętego spokoju i dobrych statystyk.

W całej tej sprawie spotkały go dwa dość miłe zbiegi okoliczności. Najpierw profesor Górczewski okazał się ojcem poznańskiego śledczego, jak mu tam było, Rogera Kalitę. Swoją drogą, jak można dać na imię synowi Roger?! Pewnie gdyby urodził się dziewczynką, jego matka nazwałaby go Isaurą, jak w tej popularnej telenoweli z lat osiemdziesiątych. Dzięki temu, że Górczewski zaproponował synowi udział Szulika w śledztwie w roli konsultanta, Aleksander wiedział, co dzieje się w tej sprawie. Drugi szczęśliwy przypadek to było poznanie ślicznej pani prokurator Emilii Zalewskiej, która jak prawie każda znana mu samotna trzydziestolatka bardzo pragnęła towarzystwa przystojnego, wykształconego, niekoniecznie z pieniędzmi, rówieśnika. Nie sądził, że tak łatwo pójdzie mu jej uwiedzenie, ale zdobycie jej serca szybko zaprocentowało. Poznał wszystkie szczegóły śledztwa oraz upewnił się, że sprawa nie zostanie wznowiona. Czuł się geniuszem zbrodni. Spojrzał ponownie na stół. Zaklął, zapomniał schować zdjęcie, którego Emilia nie powinna zobaczyć. Chwycił je i jeszcze raz na nie spojrzął z lekkim wzruszeniem. Na zdjęciu był Heinrich Himmler z dwójką dzieci. Jedno z nich, młodszy chłopiec, było jego ojcem. Personalistów starszej dziewczynki nie udało mu się ustalić. Fotografię zrobił jego dziadek, który pracował dla Himmlera w jego zespole gromadzącym dokumenty masońskie. Zdjęcie zrobiono w październiku 1943 po mowach poznańskich Heinricha. Himmler po tym wykładzie znalazł chwilę na spotkanie z poznańskimi folksdojczami, aby dodać im otuchy w tamtych, coraz gorszych dla nich czasach. Wśród nich był również jego dziadek i ojciec. To były ostatnie chwile, kiedy jego przodkowie byli szczęśliwi. Zaledwie dwa lata wcześniej sprowadzili się do Poznania, gdzie dostali piękne mieszkanie po Polakach w samym centrum miasta. Niestety, wojna rozpętana przez Niemców powoli stawała się przekleństwem tego narodu. Zwycięska Armia Czerwona nieuchronnie zbliżała się do Kraju Warty. I właśnie dlatego jesienią 1944 roku dziadek Aleksandra zdecydował, żeby jego żona i syn pojechali do Augustwalde, obecnego Wielgowa, które wtedy było podmiejską dzielnicą wielkiego Szczecina. Mieszkała tam siostra żony, która udostępniła im część swojego domu. Niestety, szybko okazało się, że i Augustwalde nie jest bezpieczne. Marsz Armii Czerwonej na Berlin posuwał się w iście błyskawicznym tempie. W marcu 1945 roku Rosjanie weszli do Wielgowa, gdzie zgwałcili i zamordowali matkę i ciotkę małego Gerharda. Przerażonym chłopcem, na którego oczach dokonano tej ohydnej zbrodni, zaopiekował się przymusowy robotnik rolny – Polak – Bronisław Szulik. W ten okropny wieczór powiedział małemu Gerhardowi, że przypomina mu jego zmarłego na tyfus synka. Przerażony chłopiec postanowił, że zostanie u Szulika. Bronisław nie okazał się jednak dobrym ojcem. Pił sporo bimbrowa i co gorsza bił małego Gerharda, kiedy ten odważył mu się sprzeciwić. Ale chłopiec nadal nie chciał wyjeżdżać z Augustwalde, które w międzyczasie stało się polskim Wielgowem. Cały czas miał nadzieję, że przyjedzie po niego jego ojciec, a dziadek Aleksandra. Niestety, nigdy do tego nie doszło, bo jak potem ustalił już dorosły Gerhard, doktor Taube zginął w Poznaniu zimą 1945 roku. W międzyczasie mały Niemiec Gerhard Taube stał się Polakiem Gerardem Szulikiem. Wiele lat później urodził mu się jedyny syn – Aleksander. Doktor Szulik westchnął. Musiał schować to zdjęcie, za daleko wybiegał wspomnieniami. Niewiele myśląc, włożył fotografię do jednej z książek, które zalegały na półce meblościanki. To zdjęcie miało dla niego dużą wartość. Jedyna fotografia jego ojca, kiedy był dzieckiem. Bronisław Szulik nie chciał wydawać pieniędzy na robienie zdjęć swojemu przybranemu synowi. Nawet gdy Gerard poszedł do pierwszej komunii świętej. Tym bardziej takie pamiątki jak ta fotografia z Himmlerem Aleksander traktował niczym relikwie.

Nagle ktoś zadzwonił do drzwi. Jak na jego gust, zbyt przeciągle. Spojrzał na tani zegar wiszący na ścianie. Było jeszcze za wcześnie na przybycie Emilii. To musiał być ktoś inny. I Aleksander nie mylił się. Za drzwiami ujrzał śledczego, z którego imienia zaledwie kilka minut wcześniej dość mocno się wyśmiewał. Szulik niechętnie, ale jednak wpuścił Kalitę do środka.

– Szkoda, że nie uprzedziłeś mnie o swojej wizycie. Niedługo będę miał gościa i wolałbym zostać z nim sam na sam, a nie z tobą na doczepkę – powiedział beczelnie Aleksander. Miał nadzieję, że dał

Rogeroi wystarczająco do zrozumienia, żeby szybko sobie poszedł.

– Postaram się nie zająć ci dużo czasu – powiedział grzecznie Kalita, po czym najdyskretniej jak umiał, rozejrzał się po mieszkaniu. Szulik mieszkał w nie najgorszej kawalerce. Nie było osobnej kuchni, tylko nowoczesny aneks kuchenny, który od pokoju oddzielała efektowna wyspa. Stół przy wesolej, żółtej kanapie był elegancko nakryty schludnym obrusem. Duży świecznik na nim stojący utwierdził Rogera w przekonaniu, że doktorek faktycznie na kogoś czekał i że była to prawdopodobnie kobieta.

– Doskonale, w takim razie, co cię sprowadza?

– Nie będę bawił się w uprzejmości i zapytam wprost: dlaczego zabiłeś siostry Matuszewskie?

– Co?! – Szulik udawał zaskoczonego. – Na jakiej podstawie tak uważasz? Jak dobrze ci wiadomo, żadna osoba trzecia nie zabiła sióstr Matuszewskich, tylko jedna z nich zabiła drugą. Tym bardziej nie rozumiem, dlaczego mnie oskarżasz o to bestialstwo. Pomagałem ci przecież w śledztwie, a ty mi teraz tak się odwdzięczasz?

– Na jaki temat napisałeś swój doktorat? – Roger zignorował jego wywód.

– To nie jest żadna tajemnica. *Dzieje wolnomularstwa na Pomorzu Zachodnim*. Właśnie dlatego twój ojciec poprosił mnie o pomoc w śledztwie.

– Na podstawie jakich dokumentów napisałeś tę pracę?

– To naprawdę rozczulające, jak bardzo interesuje cię mój doktorat. Nie sądziłem, że przeciętnego policjanta interesują takie kwestie – powiedział z przekąsem Szulik.

– Daruj sobie takie teksty. Ciągłe nie odpowiedziałeś mi na pytanie?! Ale spróbuję cię naprowadzić. Czy korzystałeś z dokumentów przechowywanych w Ciężeniu?

– Oczywiście.

– W takim razie znałeś wcześniej profesor Staroń-Matuszewską? – zapytał retorycznie Kalita.

– Naturalnie, ale ja nigdy tego nie ukrywałem. Po prostu nie zapytałeś, Roger – powiedział z ironicznym uśmiechem Szulik.

– Co cię z nią łączyło? – drażył dalej śledczy.

– Nic. Była mężatką, a ja zajętych nie tykam – zarechotał Szulik.

Roger miał ochotę mu przywalić, ale się powstrzymał. Nie chciał późniejszych oskarżeń o pobicie. I tak sporo ryzykował, nachodząc Aleksandra w jego domu.

– Znałem ją zaledwie z widzenia – dodał Szulik.

– Pamiętasz naszą rozmowę telefoniczną sprzed półtora miesiąca? Wiedziałaś, że symbole H i 1511 zostały wycięte na skórze ofiary ostrzem, a nie na przykład napisane, nie wiem, flamastrem...

– Domyśliłem się... Miałem szczęście... – nie ustępował Aleksander. – Myślę, że powinieneś już pójść sobie stąd. Zaraz przyjdzie mój gość. Chcę uniknąć nieprzyjemnych sytuacji. Możemy się umówić na inny dzień. Muszę jednak podkreślić, że twoje oskarżenia są absurdalne. Jeśli dalej będziesz je powtarzał, wniosę przeciwko tobie skargę, a wołałbym tego uniknąć przez wzgląd na sympatię, jaką darzę twój ojca.

– Mój ojciec powiedział mi, że dobrze znałeś Staroniową.

– Może za bardzo się przechwalałem przed nim tą znajomością? Doktor chciał zrobić wrażenie na profesorze, to naprawdę zaskakujące... Dobra, koniec tych pogaduszek. Do zobaczenia... – dodał Aleksander i wskazał Rogeroi drzwi.

Śledczy, bezsilny ze złości, ruszył w stronę wyjścia. Czuł, że nie ma nic na Szulika i tym razem może przegrać z kretesem. Jednak świadomość, że morderca był na wolności, była nie do zniesienia. A jak znów kogoś zamorduje?

†

Emilia Zalewska zapłaciła zmęczonemu taksówkarzowi odliczoną kwotę i wysiadła przed blokiem stojącym na niezbyt urokliwym osiedlu Lecha. Tutaj mieszkał jej nowy mężczyzna. Przystojny i dobrze wykształcony doktor Aleksander Szulik. Już pierwszego dnia, w ten sierpniowy piątek, kiedy go ujrzała, zdała sobie sprawę, że niepotrzebnie traciła czas na Rogera Kalitę. Ta elokwencja i piękne oczy Aleksandra zrobiły na niej piorunujące wrażenie. Kiedy zaczęli ze sobą randkować, okazał się

bardzo szarmancki i romantyczny. Co prawda, według niej, za dużo wypytywał ją o sprawę sióstr Matuszewskich, ale z drugiej strony rozumiała go, doradzał im w tym śledztwie i był ciekaw szczegółów.

Dzisiejsze późne popołudnie i wieczór zamierzała spędzić w jego towarzystwie, zając się zapowiedzianymi przez Aleksandra owocami morza, popijając dopasowanym do nich białym winem, a potem przetrząsnąć jej martini. Pełna dobrych przeczuc, ruszyła w stronę wejścia do bloku, w którym mieszkał Szulik, kiedy nagle spostrzegła znajomą twarz. Co on tu robił, do cholery? Nie przypominała sobie, żeby Roger Kalita miał kogoś znajomego na osiedlu Lecha.

– Co tu robisz? – syknęła na jego widok.

– A ty? Nie mów mi, że to ty jesteś tą naiwną, na którą czeka Szulik? – odpowiedział jej Roger. W głębi duszy miał nadzieję, że to nie Emilia jest wybranką tego psychopaty.

– Byłeś u niego? Po co? – zaniepokoiła się Zalewska.

– Odpowiedz mi na pytanie. Zadałem je pierwszy – nie ustępował Kalita.

– Tak, jestem tą naiwną, na którą czeka Aleksander. A co zazdrość cię zżera? Miałeś już swoją szansę. Zmarnowałeś ją – syknęła ponownie.

– Emilia, przestań. Martwię się o ciebie. Ten facet jest niebezpieczny.

– Niby dlaczego? – zapytała z niedowierzaniem.

– Dlatego, że to on zamordował siostry Matuszewskie – powiedział wprost Roger. Wiedział, że mu nie uwierzy.

– Daj spokój. Nie mogę tego słuchać, przecież ta sprawa jest zamknięta od prawie dwóch miesięcy. Nie dotarło to do ciebie?!

– Emilia, poświęć mi chwilę, a wszystko ci wyjaśnię, proszę – powiedział potulnie Roger.

To zaskoczyło panią prokurator. Potulność była ostatnią cechą, o jaką mogła podejrzewać teraz Kalitę. Może jednak warto go wysłuchać? Nic na tym nie straci, przynajmniej dobrze się ubawi z jego teorii spiskowych, a i tak przyjechała o kwadrans za wcześnie. Kobieta nie powinna przychodzić do mężczyzny za wcześnie. Świadczyć to może o jej desperacji. Przynajmniej tak uważała Emilia.

– Dobrze, masz piętnaście minut – odparła po chwili zastanowienia.

Roger opowiedział jej pokrótce o obiedzie z ojcem i swoich spostrzeżeniach. I choć odniósł wrażenie, że nie przekonał Zalewskiej, to miał chociaż nadzieję, że zasieje w niej maleńkie ziarenko wątpliwości.

– Gdy zostawi cię na chwilę samą, przeszukaj jego mieszkanie, proszę. Może znajdziesz coś interesującego. To tylko kawalerka, nie zajmie ci to dużo czasu.

– Mam mu grzebać w rzeczach?! Oszalałeś?! – Emilia nie wierzyła własnym uszom.

– Dokładnie tak. Ale tylko jeśli nadarzy się okazja. I na miłość boską, bądź ostrożna, proszę. Może nawet lepiej, żebyś odwołała to spotkanie i zakończyła tę znajomość? Jakoś inaczej go dorwiemy – nie ustępował Roger.

– A jednak ci się podobałam – odpowiedziała z nutą triumfu Emilia. – Ale nie będziesz mi mówił, jak mam układać sobie życie. Wysłuchałam twojej niezbyt rozsądnej teorii, teraz wybac, spieszę się. Mam zamiar spędzić dzisiaj miło wieczór. – Po czym ominęła osłupiałego Rogera i weszła do środka budynku.

Minutę później była już w mieszkaniu Szulika. Przywitali się pocałunkiem, po czym Aleksander zdjął jej kurtkę i odwiesił.

– Kolacja nie jest jeszcze gotowa. Może najpierw napijesz się martini, skarbie?

– Chętnie – ucieszyła się Emilia. Po tym, co usłyszała od Rogera, faktycznie miała ochotę sobie coś gołnąć. Aleksander podszedł do lodówki i wyciągnął stamtąd nieotwartą jeszcze butelkę martini. Po czym zmartwił.

– Kurczę, zapomniałem kupić oliwki. Jak chcesz, skoczę po nie do sklepu, to mi zajmie chwilę.

– W pierwszej chwili Emilia chciała powiedzieć, żeby się nie fatygował, że martini samo w sobie jest atrakcyjne, że obędzie się bez oliwek, ale nagle przypomniała sobie słowa Kality. Może jednak warto sprawdzić, czy dobrze ulokowała swoje uczucia?

– Nie chcę robić kłopotu, ale z oliwką wermut smakuje lepiej.

– Skarbie, nie robisz mi kłopotu. Już po nie śmigam, a ty, moja droga, rozgość się. Zaraz będę z powrotem – powiedział Aleksander, cmokając ją w usta, następnie szybko włożył buty, narzucił kurtkę i wyszedł.

Emilia odczekała chwilę, po czym zaczęła swoje nielegalne przeszukanie. Pierwsze kroki skierowała do meblościanki. W szufladach nie znalazła nic interesującego poza bielizną i jakimiś drobiazgami. Aleksander mieszkał w Poznaniu od niedawna. Nie zdążył jeszcze wszystkiego przywieźć ze Szczecina. Książek też miał jeszcze niewiele. Zaczęła je przeglądać, jedna po drugiej. Przy czwartej coś wyleciało ze środka. To było bardzo stare zdjęcie. Podniosła je. Na zdjęciu był jakiś facet w nazistowskim mundurze. Po jednej jego stronie stał na oko pięcioletni chłopczyk, a po drugiej kilka lat starsza dziewczynka. Oboje pozowali fotografowi z szerokimi uśmiechami. Zniecierpliwiona Emilia odłożyła zdjęcie na stół i kontynuowała swoje poszukiwania. W końcu zainteresowała się laptopem. Ku jej zaskoczeniu nie był zabezpieczony hasłem. Zaczęła przeglądać foldery. W jednym z nich były przechowywane zdjęcia. Foldery miały typowe nazwy: *Wakacje 2013*, *Sylwester 2012*, *Wesele Marka*, *Urodziny* itd. Tylko jeden nazywał się dziwnie znajomo: *Małgorzata*. Poczula, że robi jej się słabo, gdy go otwierała. Miała jak najgorsze przeczucia, które po przejrzeniu folderu okazały się, niestety, słuszne. Pierwsze zdjęcia były niewinne. Pochodziły z jakiejś konferencji naukowej i zostały zrobione w szerszym gronie. Poza Aleksandrem i profesorką Staroń-Matuszewską znajdowali się na nich inni historycy. Kolejne zdjęcia przedstawiały już samą Małgorzatę. W jakimś hotelu, lesie, a nawet w samym pałacu w Ciężeniu. Na następnych profesorka pozowała razem z Aleksandrem. Robili sobie romantyczne selfie. Kolejne fotografie już raz gdzieś widziała. I dobrze wiedziała gdzie. Znalezione je w mieszkaniu Zbigniewa Jesienia. Były robione z ukrycia i przedstawiały profesorkę kupującą kokainę od dilerów. Ostatnie zdjęcia były najgorsze i świadczyły najdobitniej o tym, że Kalita miał rację. To Aleksander Szulik zamordował siostry Matuszewskie. Doktorek zrobił zdjęcia zamordowanej Małgorzacie przed okaleczeniem i zaraz po.

– Co za psychopata! – szepnęła do siebie Emilia. Zaczęła się zastanawiać, czy szybko nie wziąć kurtki i nie uciec stąd. Nagle usłyszała trzaśnięcie drzwiami i aż podskoczyła. Zamiast jednak zamknąć okno folderu *Małgorzata*, zminimalizowała je. Za bardzo się zdenerwowała.

Do pokoju wszedł Szulik. W rękę trzymał nieszczęsne oliwki. Odstawił je na stół. Ciągle leżało tam zdjęcie jego ojca z Himmlerem. Szulika przeszedł nieprzyjemny dreszcz. Czyżby ta wścibska prokuratorka grzebała mu w rzeczach? Następnie spojrzął na laptopa.

– Co tam przeglądasz? – zapytał groźnie. Był pełen najgorszych przeczuc.

– Nic, sprawdzałam pogodę w Internecie... – skłamała przestraszona Emilia.

Aleksander nie uwierzył jej.

– Pokaż – powiedział lodowatym tonem. – Odsuń się.

Emilia posłusznie to zrobiła, po czym rzuciła się do ucieczki. Nie zdążyła. Aleksander sprawnym ruchem złapał ją za rękę, którą następnie silnie wykręcił. Emilia zawyła z bólu. Popchnął ją na kanapę, po czym szybko sprawdził w komputerze, czego tak naprawdę szukała prokuratorka. Niestety, był to folder, w którym trzymał wszystkie zdjęcia Małgorzaty. Zamierzał go usunąć, ale ciągle o tym zapominał. Siarczyście przeklął. Zachował się jak jakiś trzeciorzędny kłusownik, który trzymał zdjęcia swoich nielegalnych zdobyczy na laptopie. Emilia chciała zerwać się z kanapy, ale nie miała szans. Aleksander rzucił się na nią, przygniatając ją swoim wysportowanym ciałem.

– Po co ci to było, ciekawska dziwko – wycedził. – Chciałem cię dzisiaj zerznąć, a zostanie mi tylko cię zarznąć.

Emilia próbowała krzyknąć, ale udało jej się to zrobić tylko przez chwilę, ponieważ Szulik zatkał jej usta. Wiedział doskonale, co teraz musi zrobić. To wszystko komplikowało jego sytuację, ale z drugiej strony perspektywa kolejnego zabójstwa podnieciła go. Jedną dłoń zacisnął jej na szyi, po chwili dołączyła druga. Emilia nie była w stanie już wezwać pomocy. Wierzgała nogami, walczyła najmocniej, jak potrafiła, ale nie mogła krzyknąć ani przez chwilę. Nie była w stanie pokonać tego potwora. A zatem Kalita miał rację, a ona go nie chciała słuchać i teraz zapłaci za tą najwyższą cenę. Ale miała szczęście, bo nagle ostatkiem świadomości usłyszała:

– Puść ją, skurwysynu. – To był Roger, który wtargnął do kawalerki Szulika. W ręku trzymał broń. Wycelował ją prosto w Aleksandra, ale Szulik nie zamierzał reagować, tak bardzo chciał zabić tę śliczną prokuratorkę, tak bardzo. Prawie już szczytował, podczas gdy z Emilii uchodziły resztki życia, kiedy Roger nacisnął spust. Pistolet wystrzelił, pocisk przeszedł przez prawą skroń zabójcy, wylatując lewą. Szulika aż odrzuciło i po chwili ześlizgnął się z Emilii, zwalniając swój morderczy uścisk. Roger zrzucił go z kobiety, sprawdzając, czy Zalewska żyje. Na szczęście okazało się, że Szulik nie zdążył popełnić swojej trzeciej zbrodni. Kobieta była ledwo żywa, ale jednak żyła.

†

Godzinę później ciągle siedzieli w mieszkaniu Szulika. Byli po pierwszych przesłuchaniach, policjanci uwijali się w kawalerce jak mrówki, a po Emilii lada chwila miało przyjechać pogotowie, choć ona już kilka razy zapewniała, że czuje się dobrze.

– Nie zdążyłam ci podziękować. Uratowałeś mi życie – powiedziała słabym głosem do Rogera.

– Nie ma za co. Nie mogłem cię samej tutaj zostawić. Jak cię znam, wiedziałem, że zaraz zaczniesz myszkować i pewnie zostaniesz przyłapana.

– Gdyby Szulik raczył przyjść minutę później, na niczym by mnie nie przyłapał – powiedziała, ciężko oddychając, Emilia.

– Widzę, że z tobą wszystko w porządku, znowu się ze mną kłócisz – roześmiał się Roger. – Przykro mi, że spodobał ci się akurat podwójny morderca.

– Widziałeś to stare zdjęcie? To, które leży na stole? – zapytała Emilia, zmieniając temat.

– Tak. To Heinrich Himmler i jakieś dzieci.

– Tak wyglądał Himmler? Wybacz, ale nie pamiętałam jego facjaty.

– Tak, to sam Himmler.

– A te dzieciaki?

– Nie wiem. Może któreś z nich to jakiś przodek Szulika? I ten psychol trzymał to jak jakąś rodzinną relikwię? Może stąd wzięło się jego zainteresowanie masonikami? W końcu twórcą tego zbioru był sam Himmler.

– Być może. Wiesz, Roger, mam nadzieję, że pomimo tych wszystkich złych rzeczy, które między nami ostatnio się wydarzyły, zostaniemy przyjaciółmi? – zapytała pojednawczo Emilia.

– Oczywiście, pani prokurator. Gdybym miał same takie śliczne przyjaciółki... – rozmarzył się śledczy.

– Roger... – powiedziała ostrzegawczo Emilia, po czym po prostu się uśmiechnęła.

12 października 2014, niedziela,
Poznań

Babcia Franciszka robiła na drutach, kiedy ktoś mocno zapukał do drzwi. To był jej ukochany wnuk. W końcu! Nie widzieli się od ponad tygodnia, a ona była ciekawa całej tej morderczej sprawy, którą ostatnio rozwiązał Roger. Była z niego bardzo dumna.

– Otwarte – krzyknęła.

Jej wnuk po wejściu do środka od razu zaczął marudzić.

– Babciu, ile razy ci mówiłem, że powinnaś się zamykać. Mieszkasz na Opolskiej, a nie na Krakowskim Przedmieściu.

– Daj spokój, jestem stara i nic nie mam. Kto mnie okradnie? – powątpiewała babcia.

– Uwierz mi, że zawsze znajdują się tacy, dla których twoje graty będą cenne. Miałem wiele takich spraw.

– Wiem, wnusiu, ale mnie interesuje zwłaszcza ta ostatnia. Z tym całym psychopatycznym historykiem. – Staruszka zmieniła temat. – Różne brednie wygadują na jego temat w telewizji. Że to pogrobowiec hitlerowca i takie tam. I zmieszali z błotem tę biedną prokuratorkę. Dlaczego ten historyk właściwie zabijał?

– Z zemsty i dla kariery. Myślał, że jak usunie profesorkę, to sam zajmie jej eksponowane stanowiska na uniwersytecie i w bibliotece w Ciężeniu. Poza tym chciał kontynuować dzieło swojego niemieckiego dziadka, który jak się okazało, pracował dla samego Himmlera, opiekując się zbiorem jego masońskich dokumentów.

– Ale tej prokuratorce nic się nie stało? – martwiła się Franciszka.

– Nic a nic. Żyje i ma się dobrze.

– To z nią kiedyś się spotykałeś?

– Tak.

– Ładna kobieta, wiesz, że ona nigdy nie zapomni ci, że ją uratowałeś? Jadłaby ci z ręki – zauważyła babcia. Ciągle nie mogła pogodzić się z tym, że Roger wołał jakąś tam programatorkę czy programistkę. Ki diabeł wie! Co to znowu za zawód?!

– Babciu, ja mam Julię. Poza tym Emilia to Emilia. Ona nikomu nie je z ręki. To nie ten typ charakteru.

– Wiem, lecz mam wrażenie, że to właśnie ta piękność z prokuratury jest ci pisana, ale opowiedz mi lepiej, w jaki sposób ją uratowałeś... – Rogerowi nie pozostało nic innego, jak zreferować Franciszce wydarzenia z ostatniej niedzieli. Wspomniał również o zdjęciu z Himmlerem i dwójką dzieci. Babcia, słysząc o tej fotografii, dziwnie posmutniała.

– Ponoć zostało zrobione w Poznaniu... – zakończył, rozglądając się po pokoju. Było tu przeraźliwie zimno. Czy babci włączyli już ogrzewanie?

– A czy chłopczyk z fotografii nie miał przypadkiem na imię Gerhard? – zapytała nagle babcia. Po czym wstała z fotela i podeszła do starej meblościanki, którą zaczęły nadgryzać już korniki. Wyjęła coś z jednej z szuflad, po czym podeszła do Rogera, przybierając przy tym niepewną minę. Może nie powinna mu o tym mówić?

– Wiesz, wnusiu, muszę ci coś wyznać. Nasza rodzina przez całe lata trzymała cuchnącego trupa w szafie. Wiele razy chciałam ci o nim opowiedzieć, ale nie wiedziałam, jak zacząć tę trudną rozmowę – powiedziała Franciszka, po czym podeszła jeszcze bliżej do Rogera i włożyła mu coś do ręki. Mężczyzna otworzył dłoń. Skądś to znał. Nie mógł uwierzyć własnym oczom. To była identyczna fotografia z Himmlerem jak ta, którą posiadał Szulik.

– Babciu, skąd masz to zdjęcie?

– Dostałam od swojej mamy – powiedziała smutno Franciszka. – A tą dziewczynką na zdjęciu jestem ja. Nazywałam się wtedy Franziska Kaniewski. Córka Niemki i Polaka, który zginął jesienią 1939 roku. Późniejsza folksdojczka. Moja mama długo nie oplakiwała męża. Wiedziała, że nasze szczęście

i bezpieczeństwo w tamtych trudnych czasach zależy tylko od jej przedsiębiorczości. Dlatego zdecydowała się związać z niemieckim oficerem, który zakochał się w niej bez pamięci. Zamieszkali razem w pięknym mieszkaniu mojego ojca, gorsząc przy tym polskie otoczenie. Mama wróciła do swoich niemieckich korzeni, podpisując volkslistę. Co prawda ciągle kaleczyła niemiecki strasznie, ale to nie przeszkodziło jej zostać folksdojczką, gorliwą wyznawczynią jej nowego wodza – Adolfa Hitlera. W międzyczasie na froncie wschodnim zginął jej ukochany oficer. A potem, kiedy Niemcy uciekli z Poznania, nadeszła godzina zemsty i Polacy wyrzucili moją matkę z mieszkania, obcięli jej włosy, pobili, ale dali jej w końcu spokój ze względu na pamięć o moim ojcu, którego mimo wszystko szanowano. Mieszkanie, a raczej jedną lichą izbę znalazłyśmy dopiero na Opolskiej. I cóż to za ironia losu, trafiłyśmy do jednej z chałup postawionych w czasie wojny przez Niemców dla Polaków, których uprzednio wyrzucili z ich wygodnych mieszkań na Wildzie czy Łazarzu. Zamożni poznaniacy musieli zrobić miejsce dla napływających do naszego miasta Niemców. Po wojnie część lokatorów tych obskurnych chałup wróciła do swoich przedwojennych mieszkań, a ich miejsce zajęli między innymi folksdojczce niższych kategorii, którym łaskawie pozwolono pozostać w Polsce. Wśród nich byliśmy my.

– Nie wierzę – wydusił z siebie zszokowany Roger. Wszystko, w co wierzył, okazało się nieprawdą.

– Przepraszam cię, wnusiu, że cię okłamywałam przez te wszystkie lata. Że wmawiałam ci, że nasze piękne mieszkanie zabrali nam Niemcy i w zamian za to wygnali nas na Opolską. To nieprawda, wyrzucili nas po wojnie Polacy. Bo moja matka woląla zostać folksdojczką, niż pozostać wierną Ojczyźnie. Wstydę się tego strasznie.

– Babciu, tak się nie robi...

– Wiem, Roger, ale nie miałam wpływu na wybory mojej matki, a nie chciałam też, abyś dorastał w przekonaniu, że pochodzisz od zdrajców. Zobacz, co dzisiaj wyprawia się w polityce. Wyciąga się różnych dziadków z Wehrmachtu albo z UB.

– Babciu, a jednak pochodzę z rodziny zdrajców. Zawiodłaś mnie... Nie mogę tego słuchać, muszę jechać do domu, przetrwać to – powiedział wzburzony Roger, po czym wyszedł bez słowa pożegnania z lichego mieszkania babci Franciszki. Preraźliwie cuchnęło w nim starością. I kłamstwem. Starym kłamstwem.

Podziękowania

Chciałabym podziękować wszystkim osobom, które zainspirowały mnie do napisania tej powieści i/lub wspierały w różny sposób jej powstanie. Wśród nich są moi przyjaciele i znajomi z liceum, uczelni, pracy czy osiedla: Adam Bojek, Anna Bojek, Anna Molik, Anna Sobańska, Anna Zielińska, Annetta Rafka, Arkadiusz Śliwa, Dagmara Rajchel, Dorota Adamiec, Iwona Wardal, Izabela Szućko, Joanna Niekrasz-Pietraszek, Joanna Olszewska, Joanna Poprawa, Kamila Bondarowicz, Karolina Pawłowska, Karolina Wysocka, Katarzyna Andrzejkowicz, Katarzyna Tsukasaki, Kinga Kowalska, Konrad Derech, Lucyna Dmitrowicz, Magdalena Jankowska, Magdalena Wiśniewska, Magdalena Zacharewicz, Małgorzata Kryczka, Mariola Bator, Pierre Weber, Sandra Jutrzenka-Bukowska, Seweryn Purolczak, Stanisław Gałka, Teresa Szczepańska, Tomasz Jankowski, Tomasz Tryc, Weronika Miechowicz. Bez waszej pomocy ta książka by nie powstała.

Szczególne podziękowania należą się również profesorom historii z Uniwersytetu Szczecińskiego, zwłaszcza Włodzimierzowi Stępińskiemu i Janowi M. Piskorskiemu, którzy podsunęli mi pomysł na tę powieść. Dzięki nim dowiedziałam się o istnieniu niezwykłego archiwum dokumentów masońskich i kartoteki procesów o czary, które należały do samego Heinricha Himmlera, a dziś są zdeponowane w Poznaniu i Ciężeniu.

Chciałabym również podziękować wydawnictwu Novae Res w osobach Jakuba Krzyškowa, Katarzyny Dambiec i pozostałych pracowników, którzy uwierzyli w ten projekt, zdecydowali się na wydanie tej powieści oraz potrafili odpowiedzieć na moje liczne pytania.